ZORRO, HULAJNOGA, FLAGA, KLUCZ, PIWO I SNUS
RANKING GADŻETÓW KAMPANII PREZYDENCKIEJ
MAKSYMILIAN SCHNEPF I „MAŁY KATYŃ"
CZY LECH POZNAŃ SŁUSZNIE ZDOBYŁ TYTUŁ?
GWIAZDY SERIALU „RUDY I BRUDY"
POŚWIĘCAMY SIĘ DLA „TENKRAJU"
SIECI
SIECI
NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
23 (653) 2025
2–8 czerwca 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)
TYLKO U NAS
PIĘŚCIĄ, KAMERĄ I KŁAMSTWEM
WSZYSTKIE ŚWIŃSTWA DOZWOLONE – TAK DZIAŁAŁY NAJWIĘKSZE TELEWIZJE I PORTALE, GDY DECYDOWAŁY SIĘ LOSY POLSKI.
ATAKUJĄC KAROLA NAWROCKIEGO, ZŁAMANO WSZYSTKIE REGUŁY. RĘKĄ W RĘKĘ Z WŁADZĄ
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 9 VI 2025 r.

DUMNI
Z POLSKIEGO ZŁOTEGO

Złoty jest filarem budowy dostatniej Polski.
Dzięki własnej walucie Polska dynamicznie się rozwija i szybko dogania zamożniejsze kraje, a bezrobocie pozostaje niskie.

NARODOWY BANK POLSKI

Polski złoty to niezależność. Narodowy Bank Polski prowadzi niezależną politykę pieniężną dostosowaną do polskich uwarunkowań.

prof. dr hab. Adam Glapiński, Prezes NBP

nbp.pl

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 2ea2b4f482

Wielkie wymieranie. Co robić?

Kilka dni temu Elon Musk zamieścił mapę Europy z danymi dotyczącymi dzietności. Cała na czerwono, z wyjątkiem Francji, gdzie dzieci rodzą się w rodzinach imigranckich, krajów byłej Jugosławii oraz Bułgarii. Ale i tam wskaźnik urodzeń jest znacznie niższy od tego, który gwarantuje zastępowalność pokoleń, czyli 2,1 dziecka na kobietę. Nawet na Węgrzech, które od 16 lat prowadzą rzeczywiście aktywną i przemyślaną politykę prorodzinną, statystyczna kobieta rodzi 1,39 dziecka. Z kolei Polska ma najniższą dzietność w Unii Europejskiej, a i w Europie gorzej od nas wypada jedynie Ukraina (1.0). W Hiszpanii formalnie wskaźnik wynosi 1,12, ale słyszałem o danych, według których po odliczeniu rodzin imigranckich spada o 0,72. Czyli tyle, ile w Korei Południowej, uważanej za kraj szczególnie spektakularnej katastrofy w tym obszarze. Polska wyraźnie zmierza w tę stronę, podobnie jak Koreańczycy z południa płacąc wysoką cenę za bardzo szybki sukces ekonomiczny i społeczny. Teraz wciąż ciężko pracujemy jako naród, a także cieszymy się życiem, podróżujemy, bawimy się. Szkoda tylko, że to naprawdę bal na Titanicu.

Z problemem przyspieszającej katastrofy demograficznej zmaga się cały świat, nie tylko Zachód. Dzietność jest dramatycznie niska także w Turcji, Iranie, Afryce Północnej. Problemów nie mają jedynie kraje Czarnej Afryki. Przyczyn jest wiele, ale moim zdaniem zasadnicza jest utrata kontroli nad socjalizacją kolejnych pokoleń. Za sprawą telefonu komórkowego, będącego w istocie zaawansowanym komputerem, młodzi ludzie przyswajają takie wartości, wzorce i aspiracje, które w zasadzie uniemożliwiają im założenie rodziny. A nawet budowę jakichkolwiek trwałych relacji z drugim człowiekiem, co przecież zawsze wymaga empatii, rezygnacji z kawałka siebie, prawdziwej, dobrze rozumianej tolerancji i choćby minimalnego panowania nad sobą. Żaden rząd nie ma pomysłu, co z tym zrobić, oczywiście zakładając, że jest gabinetem, któremu sprawa ta leży na sercu. Bo jest także jasne, że potężne ponadnarodowe siły wciąż wspierają kurs na depopulację.

System mediów społecznościowych jest przecież systemem sterowalnym. Gdyby decydentom – tym prawdziwym – zależało na złamaniu fatalnego trendu, promowali by to, co zwiększa dzietność. Tymczasem wciąż lansują to, co niszczy rodzinę. A bez silnej rodziny kobiety będą miały najwyżej po jednym dziecku. Samodzielnie, bez gwarancji stabilności, więcej nie udźwigną.

Czy obecnemu polskiemu rządowi zależy na tym, by Polacy nie wymarli lub by nie skarleli do pozycji małego, starego narodu? W sferze retorycznej, jak przystało na tę ekipę, powiedzą wszystko, ale w praktyce nie robią nic. Symbolicznej rangi nabiera likwidacja powołanego przez rząd PiS Instytut Pokolenia, czyli specjalistycznej instytucji mającej badać problem demograficzny i jednocześnie proponować politykom odpowiednie rozwiązania. Wycięto ją w pień zaraz po zmianie władzy, wysyłając jasny sygnał, że rząd Donalda Tuska jak zwykle będzie patrzył na nawet największe katastrofy społeczne z doskonałą obojętnością, skupiając się wyłącznie na sferze PR, kiedyś zwanej propagandą.

Nowy niepodległościowy rząd, a już widać go na horyzoncie, z walki o dzietność musi uczynić swój priorytet. Nie wystarczą tu programy społeczne, choć każdy, kto rozumie skalę problemu, powinien poprzeć podwojenie, a nawet potrojenie 800+ i radykalną przebudowę systemu podatkowego na rzecz rodzin z dziećmi. Trzeba też przełamać lub przynajmniej ograniczyć te wątki antykultury, które nieraz wprost zwalczają dzietność. Być może nadchodzi moment, by państwo sięgało w tej sferze po twardsze środki. Stawka – przetrwanie narodu – uzasadnia nawet bardzo drastyczne kroki.

Trzeba myśleć, trzeba szukać sposobów na wyrwanie się ze spirali śmierci. I trzeba od czegoś zacząć. Ja proponuję: wprowadźmy zakaz korzystania z telefonów komórkowych w szkołach. Stwórzmy możliwie szerokie przestrzenie wolne od świata cyfrowego, możliwie bliskie klasycznej szkole. Później rozszerzajmy te strefy, traktując media społecznościowe (w istocie to media bez żadnych hamulców) jako zagrożenie dla najmłodszych równe narkotykom, alkoholowi, papierosom. Spróbujmy. Działania w tym jednym punkcie mogą zmienić naprawdę wiele w przestrzeni społecznej. Politycznie to zadanie do udźwignięcia.

Jeśli chcemy ratować dzieci, nie dawajmy im laptopów. Przeciwnie, zabierzmy im komórki, dajmy książkę, piłkę i pracownię techniczną. Wychowajmy na silnych ludzi, którzy nie będą się bali żyć i dawać życie.

Jacek Karnowski

Reklama | 12/0525/F

eprasa.pl 2ea2b4f482

SIECI spis treści

22 Powyborczy portret Polaków
Konrad Kołodziejski

25 Mentzena sny o potędze
Piotr Gursztyn

38 Wzbierająca fala
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

5 **TUSK MA RACJĘ**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SMARTFONOM ŚMIERĆ!**
Dorota Łosiewicz

9 **PARTNERSTWO TRANSATLANTYCKIE KONTRA BRUKSELSKA BAŃKA, CZYLI JAK PRZETRWAĆ W ŚWIECIE POLITYCZNEGO ABSURDU**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **DEMOKRACJA DZIEŃ PO**
Samuel Pereira

13 **ZMIANA GEOPOLITYCZNYCH WEKTORÓW?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JAROSŁAWA RĘDZIAKA**
Michał Korsun

16 **JAN PARYS NOWYM PREZESEM!**
Jan Pietrzak

17 **ZORRO I PIWO**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **CHCIELI „ZABIĆ" NAWROCKIEGO**
Marek Pyza

KRAJ

22 **POWYBORCZY PORTRET POLAKÓW**
Konrad Kołodziejski

25 **MENTZENA SNY O POTĘDZE**
Piotr Gursztyn

28 **W KTÓRYM KIERUNKU PÓJDZIE RAZEM?**
Goran Andrijanić

30 **ZORRO NA OGÓRKU**
Stanisław Janecki

34 **CIĘŻKO ZROBIĆ SATYRĘ Z CZEGOŚ, CO BYWA SATYRĄ**
Rozmowa z aktorami serialu „Rudy i brudy"

ŚWIAT

38 **WZBIERAJĄCA FALA**
Aleksandra Rybińska

41 **DEMOKRACI NA ŁOPATKACH**
Dariusz Matuszak

44 **HARVARD NA WOJNIE Z TRUMPEM**
Jan Rokita

47 **UKRAINA CHCE WYGRAĆ WOJNĘ DZIĘKI LINII DRAPATEGO**
Marek Budzisz

HISTORIA

50 **SCHNEPF I „MAŁY KATYŃ"**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

53 **DECYDUJĄCY GŁOS**
Jolanta Gajda-Zadworna

56 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

58 **CZAS PATRIOTÓW**
Robert Tekieli

60 **FAKTOM NIE ZAPRZECZYMY**
Robert Bogdański

SPORT

63 **KOLEJORZ NA WŁAŚCIWYCH TORACH**
Maciej Muzyczuk

GOSPODARKA

66 **BEZPIECZNE OSZCZĘDNOŚCI, RYZYKOWNE INWESTYCJE**
Stanisław Koczot

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: KRYSTYNA SOKOŁOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **HISTORYZM**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **ŚMIECH I „ŚMIECH"**
Aleksander Nalaskowski

73 **NR 539, CZYLI BRONEK MISTRZ**
Ryszard Czarnecki

74 **PILNICZEK NITRASA**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 2ea2b4f482

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tusk ma rację

Kiedy piszę ten felieton, nie wiem jeszcze, kto wygrał wybory prezydenckie. Wiem jednak, że były one najbardziej brudne i agresywne ze wszystkich, jakie przeprowadzono dotąd w III RP. Donald Tusk zapowiadał to i miał rację. On je takimi uczynił.

Narzekamy, że to najbardziej zakłamany polityk polski. I tak jest, a przecież jesteśmy w stanie wyczytać prawdę z jego wypowiedzi.

Nie słuchajmy, kiedy Tusk mówi o sobie. Słuchajmy, kiedy mówi o przeciwnikach. Wtedy mówi o sobie.

Pamiętny wywiad premiera dla Bogdana Rymanowskiego był modelowym przykładem strategii insynuacji i manipulacji. Zaczął się „trzęsieniem ziemi", czyli histerycznym oświadczeniem Tuska, że „sprawa jest na krawędzi". „Stoimy przed wyborem, o którym nikt jeszcze parę lat temu by nie pomyślał, że jest możliwy. W wyborach na najważniejsze stanowisko w Polsce wszyscy debatujemy nie o tym, co jest najważniejsze, ale o tym, czy kandydat na prezydenta Karol Nawrocki, co wynika prawie jednoznacznie z wielu relacji, coraz większej liczby dokumentów, programów i audycji telewizyjnych, związany jest z twardym światem przestępczym. Słyszymy to ze wszystkich stron: z relacji z jego życia, ale także z jego teraźniejszości. Niektórzy ludzie mówią to pod nazwiskiem. Zaraz pozwolę sobie na cytaty z tych, którzy się na to odważyli. W stosunku do nich Nawrocki nie chce podjąć żadnych kroków prawnych. Ludzie w Polsce muszą to wreszcie usłyszeć. W Polsce mamy system prawny, który umożliwia w ciągu 24 godzin dojście prawdy w trybie wyborczym przez kogoś, kto czuje się obrażony. Zwracam się do Karola Nawrockiego, aby udał się do sądu, jeśli opowieści o jego związkach ze światem przestępczym nie są prawdą".

Wypowiedź Tuska skróciłem i uporządkowałem, informacje w niej zawarte powtórzyłem dokładnie, a poetykę usiłowałem zachować i dlatego pozwoliłem sobie wziąć ją w cudzysłów.

Na wątpliwości dziennikarza, że świadectwa są anonimowe, a Nawrocki wystąpił do sądu z pozwem w sprawie cywilnej, Tusk powtarzał, że jeśli nie odwoła się do trybu wyborczego, to faktycznie przyzna rację oskarżycielom. Tyle że w poprzednich wyborach sąd oddalił pozew pomówionego prezydenta Andrzeja Dudy. Oto uzasadnienie:

„Materiał prasowy, którego treść kwestionuje wnioskodawca, zdaniem Sądu nie stanowi materiału wyborczego w rozumieniu powołanego przepisu. Artykuł dotyczy wprawdzie wyborów na Prezydenta RP i zawiera informacje mogące w społecznym odbiorze być odebrane jako negatywne dla kandydatury wnioskodawcy, nie propagują one jednak żadnego innego kandydata, w szczególności stawiając wnioskodawcę w negatywnym porównaniu z jakimkolwiek innym kandydatem".

To na tym orzeczeniu opiera się prowokacja wymierzona w Nawrockiego. Jeśli zdecydowałby się on na pozew w trybie wyborczym, to sąd oddaliłby go na cytowanej zasadzie, a propagandowy front Tuska przedstawiłby to jako prawne uznanie prawdziwości insynuacji pod adresem. Tak jak przedstawiany jest brak odwołania się do trybu wyborczego.

Okazuje się, że „ludzie [w domyśle liczni], którzy pod nazwiskiem" oskarżają Nawrockiego, do których odwołuje się premier, to Jacek Murański, recydywista, oszust i mitoman skazany m.in. za nieprawdziwe oświadczenia. Miał słyszeć od innego przestępcy, który temu zaprzecza, że ten dysponuje hakami na Nawrockiego. Wielki Bu zdobył je podobno, gdy prezydencki kandydat, który pracował na bramce w sopockim hotelu, miał nadzorować jego prostytutki. Działo się to w 2007 r., kiedy Wielki Bu, prezentowany przez Murańskiego jako król świata przestępczego, miał... 17 lat. Jego zażyłość z Nawrockim przedstawiana przez media głównego ścieku i polityków obecnej władzy jako fakt zasadza się na jednym zdjęciu, na którym razem występują.

Wywiad Tuska dla Polsatu to wzór strategii insynuacji: pytanie na temat pomawianego w kolejnym zdaniu przedstawiane jest już jako informacja i to z nich budowana jest opowieść o Nawrockim jako kandydacie świata przestępczego.

Rzeczywiście znaleźliśmy się na krawędzi i trzeba bić na alarm. Do operacji niszczenia konkurenta obozu Tuska zaprzęgnięty został cały aparat państwa i powolne mu ośrodki opiniotwórcze. To metody autorytarnych reżimów, które w obronie swojej władzy nie cofają się przed niczym. Dzieje się to za cenę destrukcji państwa i jego instytucji, a także rozbicia wspólnoty narodowej. Demokratyczna fasada ma zostać zredukowana do nic nieznaczącego pozoru. Demokracja liberalna odsłania swoje oblicze.

Głosowanie na Trzaskowskiego to akceptacja tego stanu rzeczy. Świadomy obywatel, choćby wcześniej popierał kandydata PO wobec prowadzonej przez nią kampanii, która łamie normy demokracji i zwykłej przyzwoitości, powinien zmienić swoje preferencje. Wielka liczba Polaków, którzy głosowali na Trzaskowskiego albo uległa manipulacji, albo, co jeszcze gorsze, dała przyzwolenie na kłamstwo i kampanię oszczerstw na rzecz swojego kandydata.

To osiągnięcie Tuska.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2ea2b4f482

Sygnalista nadaje

Wstrząsające słowa premiera ***Donalda Tuska***: „Polską rządzą polityczni gangsterzy!". Usłyszały je setki tysięcy, a raczej nawet miliony uczestników marszu miliarda serc w Warszawie. Ta wiadomość to szok, bo wszyscy europejscy, postępowi i prawdziwie demokratyczni obywatele byli przekonani, że 13 grudnia 2023 r. nastała nowa era. Epoka Polski praworządnej – tak, jak my rozumiemy prawo. Co mogło się stać? Nic takiego. Po prostu premier przez pomyłkę wydrukował tekst przemówienia sprzed dwóch lat. Zwykły lapsus. Tak bywa, mała freudowska pomyłka. W tym wieku to się zdarza, zwłaszcza gdy człowiek jest zdenerwowany na wszystko i wszystkich. A to przemówienie, które było przygotowane na tę okazję, nie zmarnuje się. Przyda się na następną kampanię.

A tego Rymanowskiego trzeba wywalić z roboty! Z wilczym biletem. Sposób, w jaki prowadził wywiad z premierem Polski Uśmiechniętej Donaldem Franciszkiem przeczy wszelkim standardom obowiązującym w mediach demokracji walczącej. Ten Rymanowski wyraźnie zdenerwował premiera, który nie spodziewał się bezmiaru bezczelności w stacji telewizyjnej, która dzięki jego decyzji jest podmiotem strategicznym. Prawdziwi demokraci nie mogą się godzić na tak jawną dywersję. Te wybory są o tym, aby nie zadawać takich pytań. Podpisujcie listy z żądaniem wyrzucenia Rymanowskiego z roboty i dożywotnim odebraniem mu prawa do wykonywania zawodu. Jakiegokolwiek.

Jednak dzięki premierowi poznaliśmy cudownego człowieka. Jacula Murański – wybitny sportowiec, świetny aktor, intelektualista i autorytet moralny. Dziękujemy, Panie Premierze, młodzież potrzebuje takich wzorców.

Lista zbrodni tego ***Nawrockiego*** z Gdańska jest nieskończona. Dlatego tu dajemy tylko znak nieskończoności i nie będziemy ich wymieniać. Od ich wyliczania jest przede wszystkim portal Onet, który podziwiamy za to, że w swej demokratyczno-walczącej gorliwości pobił nawet Silnych Razem. A wydawało się to niemożliwe. Jedyna mała pretensja jest taka, że Stankiewicz i Harłukowicz do swojego tekstu o dwóch anonimach, którzy ponoć kiedyś znali Nawrockiego, nie dopisali poseł Pomaski. A to ona nagrała cały im przecież tekst i teraz biedna została odarta ze sławy demaskatorki zbrodni tego Nawrockiego z Gdańska. Przecież to jakby kradzież własności intelektualnej. Oczywiście gdyby chodziło o inną osobę, bo przecież wszelkie podejrzenia pani poseł o jakiekolwiek właściwości intelektualne są ohydnym oszczerstwem. A tak w ogóle to te dwa anonimy są bardzo przestraszone o swoje bezpieczeństwo i dlatego ukrywają się tak głęboko. Nie ma co się dziwić, przecież Polską rządzą polityczni gangsterzy – jak słusznie zauważył premier Tusk.

À propos politycznych gangsterów: cała Polska zobaczyła i nie może odzobaczyć sfilmowanej sceny, gdy naczelny antysystemowiec, antyglobalista i suwerenista kraju ***Sławomir Mentzen*** wywracał stolik, przy którym siedział układ. Na szczęście wywracał symbolicznie, bo na stoliku stało piwo, które Sławek podawał swoim miłym gościom. Nie rozlała się ani kropelka, cho-

eprasa.pl 2ea2b4f482

ciaż Sławkowi trochę drżały ręce. Jego wyborcy nie nadążają za genialnymi posunięciami swojego lidera, więc wykrzykiwali obraźliwe okrzyki pod adresem miłych gości Sławka. A nawet go wzywali, aby do nich dołączył: „Dawaj, Sławek!". Sławek wytrzymał presję i nie dołączył. Miał tylko trochę smutną i niepewną twarz. No ale przecież każdy może mieć gorszy dzień. Nawet Sławek Mentzen.

Zawsze najgorsza jest niepewność. Ta szczęśliwie się skończyła i już wiadomo, co myśleć o Mentzenie. Po trzech dniach wychwalania i komplementów pod swoim adresem Sławek wrócił do swojego naturalnego środowiska, czyli faszystów, onuc i skrajnej prawicy. Ale od soboty nie było to takie jasne. Można było zwariować: najpierw partner do kulturalnej rozmowy przy piwie. Nawet Baśka Nowacka tak pisała. Ale potem na marszu miliarda serc wyskoczyła pani Biejat i wzywała, aby zatrzymać skrajną prawicę, zwłaszcza Sławka Mentzena. A potem Radek Sikorski, przemawiając, dziękował Sławkowi i wzywał, by go nie zatrzymywać. No i cały czas w internecie wisi akcja profrekwencyjna, gdzie Sławek występuje w brunatnej koszuli, i to razem z pisowcami. Dziś już jednak wiadomo, i to za sprawą samego Mentzena, który fałszywie oskarżył ekipę Rafała o to, że mu zostawiła syf w biurze. A ekipa tego Nawrockiego z Gdańska nie nabałaganiła. Po co gadać takie rzeczy? I to w kampanii wyborczej. Bo nawet jeśli to fakty, tym gorzej dla faktów.

Sławek był rozgoryczony po tym piwie. Miał dobre intencje, ale mało kto docenił. Nie licząc Silnych Razem, SokuzBuraka oraz Giertycha i Sikorskiego. Ciekawe jest natomiast to, że Plenum KC PiS kazało siedzieć cicho swoim i nie krytykować Sławka, bo jest drażliwy. Trochę jednostronnie, bo jedne rzeczy go nie drażnią, a inne strasznie denerwują. To znaczy wkurza się, gdy krytykuje go jakiś pisowiec, ale za to nie wkurza się, gdy wyzywa go ktoś z Platformy. Ciekawa forma aspergera.

Za to spokojnie, wręcz z godnością Sławek przemilczał słowa Stanowskiego, który nazwał go „breloczkiem Koalicji Obywatelskiej". W sumie to tylko taki niewinny żarcik. Nie ma się co obrażać.

Przez to piwo ze Sławkiem wszyscy trochę zapomnieli, co wcześniej Rafał u niego opowiadał. A obiecywał, że nie wprowadzi euro, będzie przeciw cenzurze, nie zablokuje internetu. Bardzo pozytywny przekaz. Każda obietnica została wzmocniona zapewnieniem, że „dzisiaj" nikt tego nie chce robić. Oraz że „w chwili obecnej" nie ma takich planów. Chwilo, trwaj, jesteś taka piękna!

Mimo wszystko ***Radek Sikorski*** to w ogóle mądry gość. Niezależny, prostolinijny i nikomu się nie podlizuje. A jakie piękne słowa powiedział o premierze Tusku. „To najwybitniejszy polityk tysiąclecia" – rzekł. Trzeba to zapamiętać.

Tymczasem w Rumunii, u kolegi Rafała, który nazywa się Nicuşor Dan, dzieją się bardzo ciekawe rzeczy. Nicuşor, ulubieniec całej postępowej Europy, wygrał wybory prezydenckie z tamtejszym pisowcem, onucą, faszystą i populistą, niejakim Simionem. Postępowa Europa odetchnęła, a jej radość jest tym większa, że rumuńscy przyjaciele z miejsca zadeklarowali przyjęcie dowolnej liczby imigrantów, którzy są nielegalni w Niemczech, ale za to będą legalni w Rumunii. Na razie 500 tys. inżynierów i lekarzy chirurgów. Najfajniejsze jest to, że nie zasłaniają się tym, że wcześniej przyjęli uchodźców z Ukrainy. No bo co? Jak przyjęli jednych, to mogą przyjąć i drugich. Przynajmniej będzie kolorowo i ubogacająco. A jak komuś się nie podoba, to buzia w kubeł. Jednocześnie prawdziwie europejskie władze Rumunii pracują nad nowym prawem, dzięki któremu nie będzie można pisać głupot w internecie. A jak ktoś napisze coś niewłaściwego – to kara! I bardzo dobrze, bo nie każdy dorósł do wolności słowa. U nas też trzeba tak zrobić i wiemy, że wicepremier Krzysiek Gawkowski ma już pierwsze pomysły.

Kinga Duda mówi, że snus jest modny wśród młodych. To te białe torebeczki, które ten Nawrocki z Gdańska wpycha sobie do buzi. Może i modne, ale czy daje kopa? Bo ***Sławek ze Szczecina*** mówi, że inne rzeczy są lepsze i mocniejsze. Takie białe w proszku. Tyle że drogie, więc nie każdego na to stać. I pamiętajcie, nie łączymy tego z Rafałem. A jak już łączymy, to potem żadnych badań, bo ślady w organizmie zostają na kilka miesięcy.

Dzięki informacjom od premiera Tuska wiadomo już, że Polską rządzą polityczni gangsterzy. Skrajna prawica, faszyści i populiści. Oto ich pierwsza ofiara: Janusz Palikot. Jeszcze niedawno ceniony biznesmen, ulubieniec celebrytów, popularny polityk. A dzisiaj? Bankrut i osoba w kryzysie bezdomności. „Nie mam pracy, domu, rodziny" – wyjawił w pierwszym wywiadzie przeprowadzonym po tym, jak został wypuszczony z lochów, gdzie był przetrzymywany przez wspomnianych wyżej politycznych gangsterów. Chodzi oczywiście o kryptoziobrystów i kryptokaczystów, bo o gangsterstwo nie można podejrzewać praworządnych prokuratorów ministra Bodnara i całkowicie niezawisłych od niego paleosędziów ze stowarzyszenia Iustitia. Niby PiS nie rządzi, a i tak wszystko kręci się wokół niego.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2, Tomasz Warszewski/Shutterstock.com

eprasa.pl 2ea2b4f482

WIEŻA BAB

Smartfonom śmierć!

73 proc. Polaków popiera wprowadzenie zakazu korzystania z telefonów w szkołach. Pora na ruch MEN

Temat ustawowego zakazu korzystania ze smartfonów w szkołach co jakiś czas wraca do debaty publicznej. Wielokrotnie podnosił go marszałek Sejmu Szymon Hołownia, a ostatnio z takim postulatem zwróciły się do MEN związki zawodowe i Instytut Spraw Obywatelskich.

„Szanowna Pani Minister, zwracamy się do Pani z apelem o wprowadzenie od 1 września 2025 r. powszechnego zakazu używania smartfonów, tabletów oraz innych urządzeń mobilnych (za wyjątkiem tych stricte przeznaczonych do realizacji zajęć edukacyjnych) w żłobkach, przedszkolach i szkołach podstawowych, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Centralna, rządowa regulacja powinna obejmować dzieci, młodzież i personel placówek. Rekomendujemy wprowadzenie zakazu na okres próbny, trzech lat. Jeśli późniejsza ewaluacja wykaże, że zakaz nie przyniósł założonych rezultatów, wówczas smartfony powrócą do szkół" – czytamy w apelu związków i ISO.

To nie pierwsza próba wprowadzenia zakazu używania smartfonów w szkołach. Gdy szefem MEN był Przemysław Czarnek, z taką petycją wystąpiło Centrum Życia i Rodziny. Wydaje się więc, że jest to jeden z niewielu postulatów, który może połączyć różne środowiska.

Chce tego także większość Polaków. Z badań przeprowadzonych przez CBOS w marcu 2025 r. wynika, że 73 proc. naszych rodaków popiera wprowadzenie zakazu korzystania ze smartfonów w szkołach. Przeciwnych jest 21 proc. respondentów, a 6 proc. nie ma zdania. Co istotne, 71 proc. badanych uważa, że wprowadzenie jednolitych zasad obowiązujących we wszystkich szkołach byłoby skuteczniejsze niż obecna indywidualna polityka szkół.

A szkolne regulacje dotyczące tej materii badała fundacja GrowSpace – zebrała dane z 350 placówek: losowo wybranych szkół podstawowych, techników, liceów oraz szkół branżowych I stopnia z całej Polski. Okazało się, że na wprowadzenie zakazu zdecydowała się co druga z badanych szkół, zrobiło to 51,59 proc. placówek w Polsce. Według danych zebranych przez fundację 89,42 proc. szkół w kraju reguluje w swoich statutach kwestie korzystania z telefonów komórkowych. Niestety tylko w 15,08 proc. szkół funkcjonuje depozyt, do którego należy odłożyć telefony po wejściu do szkoły. 32,01 proc. szkół zmieniało regulacje związane z korzystaniem telefonów komórkowych w ciągu ostatnich trzech lat (2022–2024). W trakcie minionego roku 92,86 proc. szkół prowadziło działania związane z edukacją cyfrową skierowane do młodzieży.

W wielu europejskich krajach takie zakazy już wprowadzono w życie. We Francji od 2018 r. obowiązuje całkowity zakaz używania smartfonów w szkołach podstawowych i średnich dla uczniów do 15. roku życia. Wyjątki przewidziano jedynie dla celów edukacyjnych i uczniów z niepełnosprawnościami. Podobnie jest we Włoszech, Grecji, Austrii, na Węgrzech, w Finlandii, Norwegii i Holandii.

Dlaczego warto ograniczyć dzieciom i młodzieży korzystanie ze smartfonów? Badanie przeprowadzone w Finlandii wykazało, że dzieci spędzające więcej czasu przed ekranami częściej doświadczały wyższego poziomu stresu i objawów depresyjnych w wieku dorastania. 23 proc. nastolatków wykazuje objawy uzależnienia od smartfona, takie jak lęk i złość w przypadku braku dostępu do urządzenia. Nadużywanie technologii cyfrowych prowadzi do radykalnego obniżenia wyników edukacyjnych dzieci.

W cytowanym już apelu do MEN czytamy: „Jednolite zasady higieny cyfrowej zmniejszą wśród dzieci problemy ze wzrokiem. Nawet co trzeci pierwszoklasista może mieć problemy ze wzrokiem – wynika ze wstępnych szacunków badań katowickich uczniów, przeprowadzanych w ramach inicjatywy »Szkoła Zdrowego Widzenia«; narastające trudności z koncentracją uwagi i zapamiętywaniem oraz spadek kreatywności; izolację społeczną prowadzącą do utraty zdrowych relacji rówieśniczych; podatność na niewłaściwe wzorce dotyczące wyglądu promowane w części mediów społecznościowych; zagrożenia cyberprzemocą".

A skoro w sprawie zdrowia młodego pokolenia zgadza się ze sobą większość Polaków (a to rzadko nam się zdarza), to może warto, by MEN wreszcie zrobiło coś pożytecznego.

Dorota Łosiewicz

Partnerstwo transatlantyckie kontra brukselska bańka, czyli jak przetrwać w świecie politycznego absurdu

Bruksela to miejsce, gdzie słowa takie jak „subsydiarność" czy „neutralność klimatyczna" wywołują więcej emocji niż finał Ligi Mistrzów. Ale czy ktoś naprawdę wierzy, że ta bańka (*nomen omen*) jest w stanie uratować świat? Pozwólcie, że was rozczaruję – nie.

Zamiast tego spójrzmy na coś znacznie bardziej ekscytującego i pragmatycznego: partnerstwo transatlantyckie, które, jak się okazuje, ma więcej sensu niż wszystkie brukselskie dyrektywy razem wzięte. A jeśli potrzebujecie dowodów, wystarczy spojrzeć na ostatnie konferencje: CPAC Rzeszów i CPAC Budapeszt – te dwa wydarzenia pokazują, że Europa Środkowa może być czymś więcej niż tylko „nową wschodnią flanką NATO".

„Brukselska bańka" to władcy wieży z kości słoniowej. Wyobraźcie sobie świat, w którym decyzje o waszym codziennym życiu podejmują ludzie, którzy nigdy nie stali w kolejce po chleb w Biedronce ani nie próbowali przerejestrować samochodu w polskim urzędzie. Właśnie tak działa Bruksela. Polityczne elity zamknięte w swoim eurokratycznym raju wydają się żyć w alternatywnej rzeczywistości, gdzie każdy problem można rozwiązać za pomocą dodatkowego podatku albo nowego regulaminu.

Nie zrozumcie mnie źle – kocham Europę, ale Unia Europejska przypomina mi nadopiekuńczą matkę, która zakazuje dziecku się bawić, bo się ubrudzi, albo zjeść czekoladę, bo to niezdrowe. Brukselska bańka ma obsesję na punkcie kontrolowania wszystkiego: od emisji CO_2 po rozmiar ogórków. Tymczasem w Rzeszowie i Budapeszcie ludzie rozmawiają o prawdziwych problemach: jak zachować suwerenność, jak bronić wartości i jak budować trwałe sojusze.

Kiedy mówimy o partnerstwie transatlantyckim, nie sposób nie wspomnieć o CPAC Rzeszów – wydarzeniu, które wprowadziło Polskę na mapę globalnych debat o wolności i konserwatywnych wartościach. Rzeszów, wcześniej znany głównie z lotniska i bliskości do granicy z Ukrainą, nagle stał się centrum politycznego świata. Amerykańscy i europejscy konserwatyści, politycy, eksperci i lokalni działacze spotkali się, by rozmawiać o tym, jak powstrzymać lewicowy marsz. CPAC Rzeszów to nie tylko konferencja – to manifestacja ducha wolności, który łączy Polskę i Stany Zjednoczone. To tutaj padają pytania, których brukselska bańka nigdy nie odważyłaby się zadać: czy państwo ma prawo decydować o tym, jak wychowujemy nasze dzieci? Dlaczego chińskie korporacje technologiczne mają w Europie tak dobrze? Dlaczego niewybierani brukselscy urzędnicy mają więcej władzy niż demokratycznie wybrane rządy?

Pewnie wszyscy z was słyszeli o „brukselskiej bańce" – tej mitycznej enklawie, gdzie politycy, lobbyści i eurokraci przemierzają przeszklone korytarze w idealnie skrojonych garniturach, snując wielkie wizje o „zielonej przyszłości" i „integracji europejskiej"

A potem mamy CPAC Budapeszt, który udowodnił, że Viktor Orbán to nie tylko polityk, lecz także mistrz politycznego marketingu. Podczas gdy Bruksela próbuje go zaszufladkować jako „czarny charakter" Europy, CPAC Budapeszt pokazuje, że Węgry mają coś, czego brakuje reszcie kontynentu: odwagę, by powiedzieć „nie" absurdalnym pomysłom uderzającym w kieszenie wszystkich europejskich Kowalskich. Orbán i jego goście z CPAC Budapeszt przypominają nam, że Europa Środkowa ma własną tożsamość i nie potrzebuje brukselskich nauczycieli, by wiedzieć, co jest dla niej dobre.

Partnerstwo transatlantyckie w przeciwieństwie do brukselskiej bańki bazuje na rzeczywistości. Stany Zjednoczone i Europa Środkowa rozumieją, że świat jest pełen wyzwań – od agresywnych sąsiadów po rosnące wpływy Chin. W tym kontekście CPAC Rzeszów i CPAC Budapeszt są jak latarnie na wzburzonym morzu politycznych absurdów. Ameryka i Europa Środkowa patrzą w przyszłość, podczas gdy Bruksela utknęła w przeszłości, próbując nas przekonać, że plastikowe słomki to największe zagrożenie XXI w. Partnerstwo transatlantyckie to nie tylko sojusz polityczny – to wspólnota wartości, która przypomina nam, że wolność i suwerenność mają znaczenie. Więc następnym razem, gdy usłyszycie o „brukselskiej bańce", pamiętajcie, że prawdziwe życie toczy się gdzie indziej – w Rzeszowie, Budapeszcie i wszędzie tam, gdzie ludzie mają odwagę myśleć inaczej.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 2ea2b4f482

Wypieranie nazizmu

Niemcy

80 lat po zakończeniu II wojny światowej coraz więcej Niemców woli o niej nie pamiętać. To kluczowy wniosek z badania „Multidimensional Memory Monitor" przeprowadzonego przez fundację „Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość" (EVZ).

„W Niemczech są niepokojące luki w wiedzy i zniekształcenia pamięci, jeśli chodzi o narodowy socjalizm. Wiedza społeczeństwa na ten temat jest skąpa, a gotowość do krytycznego podejścia wobec III Rzeszy maleje" – twierdzą autorzy badania. Według prof. Jonasa Reesa z uniwersytetu w Bielefeld po raz pierwszy „względna większość" społeczeństwa zadeklarowała, że ma dość zajmowania się zbrodniami narodowego socjalizmu. Tylko 42,8 proc. ankietowanych stwierdziło, że ważne jest dla nich podtrzymywanie pamięci o tym okresie niemieckiej historii. 38,1 proc. zdecydowanie lub raczej zgodziło się z tezą, że „nadszedł czas, aby położyć kres erze narodowego socjalizmu" w kulturze pamięci, a 43,6 proc. uznało za zasadne „skupić się na bieżących problemach". Ponadto 44,8 proc. stwierdziło, że irytuje ich to, iż „wciąż muszą się tłumaczyć ze zbrodni popełnionych na Żydach", a około trzech czwartych nie potrafiło podać realistycznych szacunków dotyczących liczby ofiar nazizmu.

Za to 43 proc. respondentów stwierdziło, że film „Lista Schindlera" zrobił na nich wrażenie. Rees uważa to za znaczące: „To pasuje do niemieckiej kultury pamięci. Film, który jest o pomaganiu, a nie o sprawstwie". W badaniu przeprowadzonym dwa lata wcześniej aż 54 proc. respondentów uważało, że ich przodkowie byli ofiarami narodowego socjalizmu. Zapytani, jakie terminy najlepiej opisują to, co dla Niemiec oznaczał koniec II wojny światowej, większość wybrała „wyzwolenie", a na drugim miejscu znalazło się określenie „nowy początek". Wpisuje się to w zbiorową narrację, zgodnie z którą w tamtym czasie większość Niemców odrzucała system nazistowski i sama była uciskana.

Podobne wyniki przyniosło obecne badanie: 19 proc. respondentów zgodziło się ze stwierdzeniem, że podstawą dobrobytu wielu rodzin w Niemczech są zbrodnie popełnione w okresie nazistowskim, jednak tylko 2,8 proc. odpowiedziało twierdząco na to samo pytanie dotyczące własnej rodziny. „Im bliżej nas, tym bardziej stajemy się defensywni. Nazistami zawsze byli ci drudzy" – podkreślił prof. Rees. Jego zdaniem dla coraz większej liczby Niemców narodowy socjalizm jest tylko jedną z wielu epok historycznych, które nie mają wiele wspólnego z teraźniejszością.

Aleksandra Rybińska

Maoiści w odwrocie

Indie

Zabicie Basavaraju, 70-letniego dowódcy partyzantki w Indiach, daje rządowi Narendry Modiego szansę na zakończenie trwającej od blisko 60 lat rebelii maoistów.

Basavaraju, w rzeczywistości Nambala Keshava Rao, był jednym z 27 maoistowskich partyzantów zastrzelonych przez indyjskie siły bezpieczeństwa w potyczce, do której doszło w środkowoindyjskim stanie Chhattisgarh. Od 2018 r. stał na czele Komunistycznej Partii Indii (maoistowskiej), najważniejszej grupy partyzanckiej w Indiach. Jego śmierć może stanowić punkt zwrotny w walce z tym ruchem.

Niektórzy eksperci mówią o inspirowanym i zaopatrywanym z Chin powstaniu, które w ostatnich dziesięcioleciach z różną intensywnością objęło 28 indyjskich prowincji, głównie w środkowej części kraju. Według oficjalnych danych od 2000 r. śmierć w walkach poniosło ponad 2,7 tys. funkcjonariuszy i żołnierzy indyjskich oraz co najmniej 4,1 tys. cywilów.

Początkowo ruch maoistowski był aktywny głównie w najbiedniejszych i zaniedbywanych przez władze centralne regionach, w których bogaci właściciele ziemscy wyzyskiwali bezrolnych chłopów. Potem maoiści zaczęli zyskiwać poparcie w radykalizujących się środowiskach studenckich.

Powstanie wybuchło w 1967 r. w graniczącym z Nepalem rolniczym stanie Naxalbari, a jego dowódcy realizowali strategię „wojny ludowej" Mao Zedonga. Z czasem ruch podzielił się na wiele zwalczających się grupek, z których największe znaczenie miała Komunistyczna Partia Indii kierowana przez Basavaraju.

Indyjskie MSW postawiło sobie za cel likwidację partyzantki maoistycznej do 2026 r. Jak dotąd udało się wyeliminować 200 partyzantów i ograniczyć ich aktywność do 6 obszarów znajdujących się w zalesionych i trudno dostępnych częściach Indii. Ostatnia duża twierdza maoistów znajduje się w Abudżhmadh, pagórkowatym obszarze leśnym w regionie Bastar na południe od Chhattisgarh. Ten słabo rozwinięty region jest w przeważającej mierze zamieszkany przez plemiona wrogie wobec rządu w Delhi. Maoiści bezwzględnie podporządkowali sobie starszyznę plemienną i przymusowo rekrutują miejscową ludność, realizując też politykę wymuszonych kontrybucji.

Indyjski rząd ocenia, że po śmierci Basavaraju kierowana przez niego formacja może się rozpaść. W ostatnich latach zginęło 450 rebeliantów, a pozostali przy życiu zaproponowali w kwietniu zawieszenie broni.

Marek Budzisz

eprasa.pl 2ea2b4f482

Rosja

Kłopoty z chlebem

Przez wiele dekad w Rosji istniały trzy strategiczne produkty żywnościowe, których ceny musiały być niskie, aby nie drażnić społeczeństwa. Były to chleb, ziemniaki i wódka. Teraz jednak te reguły najwyraźniej się zmieniły. Okazało się bowiem, że cena chleba bardzo szybko idzie w górę.

Pod koniec ub.r. średnia cena chleba w Rosji wzrosła o 15 proc. w stosunku do roku poprzedniego, a w ciągu pięciu miesięcy 2025 r. poszła w górę już o 6 proc. Oznacza to, że w 2024 r. chleb drożał półtora raza szybciej niż średnia innych produktów żywnościowych, a teraz drożeje już dwukrotnie szybciej.

Jako główną przyczynę podaje się nieurodzaj w ub.r. spowodowany przez katastrofalne upały na południu Rosji i ulewy w północnej części kraju. Co więcej, obecny rok zapowiada się równie źle, bo nie zdołano obsiać wszystkich pól. Jednak to tylko jeden z powodów wysokich cen ziarna. W 2021 r. szykujący się do wojny Kreml wprowadził eksportowe cło na zboże, aby zatrzymać w kraju jak najwięcej taniego ziarna. Dopóki żniwa były dobre, nie stanowiło to aż tak dużego problemu, ale dziś sektor rolny, aby zachować rentowność, przerzuca koszty cła na krajowych konsumentów. Sporo ziarna trafia też na eksport po zmieleniu na mąkę, która nie jest obciążona cłem. Ogranicza to jej podaż i podbija ceny.

Co więcej, wydajność rosyjskiego rolnictwa gwałtownie spada. Oblicza się ją, przeliczając, ile ziemi trzeba obsiać, aby z zysku ze sprzedaży zboża można było kupić kombajn. Okazało się, że dziś, aby zarobić na tę maszynę, trzeba obsiać trzy razy więcej ziemi niż w 2021 r. Różnica wynika m.in. z pogarszającej się jakości ziarna. Wcześniej co roku w zachodnich laboratoriach kupowano zarodki wydajnych odmian pszenicy i żyta, jednak po wprowadzeniu sankcji te zakupy się skończyły. Dlatego plony są coraz słabsze.

Wreszcie problemem jest brak rąk do pracy. Szacuje się, że średnio ok. 10 proc. robotników rolnych dostało powołania na front. Jeszcze większy problem mają piekarnie, gdzie utracono w ten sposób nawet 40 proc. pracowników. I to według oficjalnych danych, co oznacza, że w rzeczywistości brak rąk do pracy może być znacznie większy. Braki trudno uzupełnić robotnikami z Azji Centralnej, ponieważ Kreml zaostrzył prawo imigracyjne. W najgorszej sytuacji są małe i średnie agroholdingi. Padło podejrzenie, że celem polityki władz jest doprowadzenie mniejszych firm do upadłości, aby ich ziemie mogli przejąć oligarchowie z otoczenia Putina.

Zwykli Rosjanie mówią niekiedy, że choćby mieli jeść same ziemniaki, nie dadzą się nikomu złamać. No chyba, że ziemniaki też zdrożeją.

Konrad Kołodziejski

Francja

Nowy model braterstwa

Zgromadzenie Narodowe zdecydowaną większością głosów (305 do 199) przyjęło projekt ustawy legalizującej eutanazję i wspomagane samobójstwo, choć oba te wyrażenia nie znalazły się w nowo uchwalonym prawie. Zamiast tych sformułowań ustawodawcy woleli użyć innych: „wspomagane umieranie" i „samoaplikacja" środka śmiercionośnego. Ustawa wymaga jeszcze zatwierdzenia przez senat, ale przy obecnym składzie tej izby powinno być to formalnością.

To drugi duży krok, jaki zrobiła ostatnio Francja w stronę cywilizacji śmierci. W 2024 r. tamtejsi parlamentarzyści uznali aborcję za prawo konstytucyjne. Obowiązujący w tym kraju kodeks karny przewiduje też karę do 2 lat więzienia i grzywnę do 30 tys. euro za publiczne mówienie o szkodliwych skutkach aborcji.

Podobne rozwiązania przyjęto teraz. Zgromadzenie Narodowe ustanowiło nowy rodzaj naruszenia prawa: „Przestępstwo utrudniania wspomaganego samobójstwa". Oznacza to, że każdy, kto próbuje zapobiec eutanazji lub odwieść kogoś od zamiaru popełnienia wspomaganego samobójstwa, ryzykuje karą 2 lat pozbawienia wolności i grzywną 30 tys. euro.

Obecny szef MSW i nowo wybrany lider Partii Republikańskiej Bruno Retailleau skrytykował ten zapis, mówiąc: „Trzymanie za rękę tych, którzy cierpią, jest znakiem rozpoznawczym człowieczeństwa".

Inne zdanie ma natomiast prezydent Emmanuel Macron, który z zadowoleniem przyjął wynik głosowania, mówiąc, że jest to ważny krok na „ścieżce braterstwa". O tym, jak rozumie braterstwo, mówił 5 maja podczas swego wystąpienia przed masonami Wielkiej Loży Francji, gdy przedstawił im projekt wspomnianej ustawy z „nowym modelem końca życia". Pogratulował też wolnomularzom, iż mają ambicję uczynić człowieka „wolnym kowalem własnego życia od narodzin do śmierci". We Francji triumfuje więc model braterstwa Kaina i Abla.

Grzegorz Górny

Fot. Andreas Wolochow/Shutterstock.com, Shutterstock x3

eprasa.pl 2ea2b4f482

Demokracja dzień po

Samuel Pereira

Piszę ten felieton jeszcze przed drugą turą wyborów prezydenckich, a jednak wiem, że gdy się ukaże, Polska będzie inna. Jak to możliwe?

Każdy z wariantów niedzielnego głosowania przynosi diametralną zmianę. Jeśli zwycięzcą okaże się Rafał Trzaskowski, będziemy mieli do czynienia z początkiem bardzo ponurego i ekspresowego okresu domykania się systemu. I nie chodzi tu o sam fakt kontrolowania parlamentu, rządu i pałacu prezydenckiego, ale towarzyszący władzy parasol medialny – zarówno ze strony siłowo przejętych mediów publicznych, jak i licznych mediów prywatnych. Do tego dochodzi całkowita bierność instytucji unijnych oraz wielu organizacji zagranicznych, które poprzez swoją ideologiczną i światopoglądową inklinację nie tylko przymykają oko na „eksperyment nad Wisłą", lecz wręcz pchają polskie władze, by działały szybciej i ostrzej.

Ta rzeczywistość oraz doświadczenie ostatnich kilkunastu miesięcy w razie wygranej Trzaskowskiego każą nam się spodziewać całkowitej porażki demokracji w kształcie, jaki znamy. Zacznie się masowe podpisywanie niebezpiecznych i szkodliwych dla polskich obywateli ustaw, wdrażanie unijnych paktów – takich jak migracyjny, Zielony Ład czy Mercosur – oraz legalizowanie przestępstw popełnionych od grudnia 2023 r. Do tego oczywiście będzie dochodzić przejmowanie resztek niezależnych instytucji, takich jak KRRiT, NBP czy KRS. Wszystko po to, by uzyskać pełną kontrolę nad władzą wykonawczą, ustawodawczą, sądowniczą i mediami, czyli każdą z czterech władz.

Jest też wariant przeciwny, w którym wygrana Karola Nawrockiego będzie wyraźnym głosem obywateli, że nie godzą się na zakusy ekipy Donalda Tuska. Będzie to również mocny sygnał, że prawicowe poglądy zyskują na sile, a całe to szaleństwo ideologiczne lewicy, które na dekady zamroczyło Europę, można zatrzymać i przywrócić normalność, jak dzieje się to obecnie w USA.

Dlatego nie znając dziś wyniku niedzielnych wyborów, wiem na pewno, że po nich obudzimy się w nowym kraju. Oby lepszym!

Nie zwątpiłem w to, co najważniejsze

Z reżyserem Krzysztofem Zanussim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czym jest tytułowe „CV" w spektaklu, którym wraca pan do Teatru TV?

Krzysztof Zanussi: Mało kto pamięta, jak brzmi po łacinie pełna wersja tego skrótu [*curriculum vitae* – bieg życia]. Po polsku to spisany życiorys, narzędzie robienia kariery czy też przemieszczania się w świecie zawodowym. Od tej strony tytuł jest mylący.

W zapowiedzi czytamy, że scenariusz składa się z dwóch jednoaktówek, które „opowiadają historie damsko-męskich relacji opartych na różnicy wieku i różnicy ekonomicznej zaangażowanych stron". Co jeszcze znajdziemy w tym „CV"?

Na pewno jest to refleksja o karierze, uczuciach, kłamstwie, które nam bardzo łatwo towarzyszy i o tym, jak się za to płaci i w jaki sposób się na tym traci. Nie jestem człowiekiem – w moich zaawansowanych latach życia – głęboko zawiedzionym czy rozczarowanym światem, który mnie otacza. Jest on tak smutny, jak się tego spodziewałem (choć są w nim też jasne punkty). Mimo wszystko nie zwątpiłem w to, co najważniejsze. Nie zwątpiłem, że istnieją prawda, dobro, miłość.

W duetach z Karoliną Porcari i Katarzyną Łubik stanęli na telewizyjnej scenie bracia: Jędrzej i Marcin Hycnar. Jest w tym dodatkowy zamysł?

Angażowałem ich osobno. Obu znam ze wspaniałych spektakli, z tym że od razu byłem nastawiony na starszego, który już u mnie grał, a który wydaje mi się najbliższy pamięci Zbyszka Zapasiewicza, z którym pracowałem wiele razy. Myślę, że taki aktor byłby mi zawsze bardzo potrzebny – aktor, który nie tylko ma ekspresję, lecz także umie też ukrywać swoje intencje.

Fot. Denis Makarenko/Shutterstock.com

eprasa.pl 2ea2b4f482

Zmiana geopolitycznych wektorów?

Marta Kaczyńska-Zielińska

Śp. prezydent Lech Kaczyński i premier Jarosław Kaczyński już na początku lat 90. opowiadali się za przystąpieniem Polski do NATO i zacieśnieniem współpracy z USA. Uznawali obecność Polski w Sojuszu za cel strategiczny, wbrew opinii mainstreamu snującym wizje NATO-bis. Po latach Lech Kaczyński mówił, że po upadku komunizmu w Polsce żywa była koncepcja, wedle której Polska zachodnia miała być bardziej pod wpływami zachodnio-niemieckimi, a wschodnia – rosyjskimi. Przystąpienie do NATO miało być gwarancją suwerenności całego kraju. Lech Kaczyński zdawał sobie sprawę, że członkostwo w Unii Europejskiej, w której zasadniczą rolę odgrywają Francja i Niemcy, w wymiarze geopolitycznym nie niweluje dostatecznie ryzyka związanego z naszym położeniem pomiędzy Niemcami a Rosją.

Agresja Federacji Rosyjskiej na Gruzję stanowiła dla Lecha Kaczyńskiego oczywisty dowód podjęcie przez Putina próby odbudowy imperium. Wraz z przywódcami Estonii, Łotwy, Ukrainy i Litwy udał się on do Tbilisi, aby powstrzymać Putinowskie wojska. Wielu ludzi pamięta dziś te słowa prezydenta: „My też wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę".

Nie mając złudzeń co do imperialnej natury rosyjskiej polityki, zwłaszcza w obliczu wzrastającego zagrożenia ze strony Rosji i coraz intensywniejszej współpracy między Berlinem, Paryżem a Moskwą, Lech Kaczyński był zdeterminowany, by doprowadzić do geopolitycznego przeorientowania środkowego regionu Europy. Ma temu służyć zbudowanie tarczy antyrakietowej i rozmieszczenie w Polsce wojsk NATO, w tym przede wszystkim amerykańskich. Drugim strategicznym celem było wyjście Polski i regionu spod energetycznej dominacji rosyjskiej oraz wzmocnienie naszego kraju w UE i wobec Rosji poprzez odbudowę koncepcji Międzymorza. Wolę umieszczenia na naszym terytorium elementów amerykańskiego systemu antyrakietowego jako pierwszy polski gabinet oficjalnie zadeklarował w 2005 r. rząd PiS. 20 sierpnia 2008 r. podpisano deklarację o rozmieszczeniu w Polsce baterii rakiet Patriot i ustanowieniu garnizonu, a także „Deklaracji w sprawie współpracy strategicznej". Przez kolejne lata rządów PO nie zrealizowano postanowień z sierpnia 2008 r. Przełom nastąpił w 2015 r. po wygranej PiS, zwycięstwie Andrzeja Dudy oraz po objęciu władzy przez Donalda Trumpa. W 2018 r. prezydenci RP i USA podpisali deklarację o partnerstwie strategicznym, a w Polsce zaczęli stacjonować amerykańscy żołnierze. Tarcza została uruchomiona w 2024 r.

W 2020 r. podpisano umowę o wzmocnieniu trwałej obecności wojsk USA w Polsce, potwierdzoną na szczycie NATO w Madrycie. Obecnie w naszym kraju stacjonuje ok. 10 tys. żołnierzy Sił Zbrojnych USA. W 2023 r. utworzono stały garnizon wojsk amerykańskich w Polsce. W trakcie ubiegłotygodniowej konferencji CPAC Poland sekretarz bezpieczeństwa USA Kristi Noem zapowiedziała możliwość wybudowania w Polsce stałej bazy wojsk amerykańskich znanej jako Fort Trump.

W ostatnich dniach Niemiecki Instytut Spraw Międzynarodowych i Bezpieczeństwa zasugerował, że polska suwerenność w zakresie polityki bezpieczeństwa, a w szczególności sojusz z USA, powinna zostać zastąpiona zacieśnieniem współpracy z Niemcami. Ma temu służyć powołanie polsko-niemieckiej Rady Bezpieczeństwa i Obrony na szczeblu ministerialnym oraz grupa robocza wysokiego szczebla do obrony wschodniej flanki NATO i bezpieczeństwa w regionie Morza Bałtyckiego. W 2026 r. jest planowane wznowienie traktatu o dobrym sąsiedztwie z 1991 r., który ma ogłosić polsko-niemieckie partnerstwo w dziedzinie bezpieczeństwa z wymogiem jednolitego oraz spójnego bezpieczeństwa w Europie, której Niemcy zamierzają przewodzić.

REKLAMA

18/0525/F

eprasa.pl 2ea2b4f482

Walizka Jarosława Rędziaka

reżysera, producenta i założyciela Fundacji Eleusa Film

Fundacja Eleusa Film powstała, aby tworzyć katolickie filmy, ewangelizować i zapalać serca do Boga, odkrywać piękno wiary i dzielić się radością z jej przeżywania. Nazwa „eleusa" pochodzi od wyjątkowego typu ikony, która przedstawia Matkę Bożą Czułą, wskazując na szczególną więź, jaka łączy ją z synem – Jezusem. Maryja, tuląc w swoich ramionach Dziecię, pochyla głowę i czule przykłada swój policzek do jego policzka. Wszystkie nasze przedsięwzięcia oddajemy Bogu przez Maryję i wraz z nią chcemy robić dobre filmy. To pragnienie zapoczątkował nasz pierwszy film – „Oblicze Jezusa" (był on wyświetlany w kinach, otrzymał nagrodę Feniks 2024 w kategorii multimedia), przy którym zetknęliśmy się z wieloma pasjonującymi historiami dotyczącymi Boga i człowieka. Obecnie tworzymy film dokumentalny „Oblicze Boga Ojca".

Produkcja filmów dokumentalnych wiąże się z częstym podróżowaniem. Staramy się, by nasze filmy były bogate zarówno merytorycznie, jak i wizualnie, dlatego każdy z nich to kilka wyjazdów – zarówno polskich, jak i zagranicznych. Przy obecnym filmie „Oblicze Boga Ojca" zrealizowaliśmy już dwa duże plany. W Polsce kręciliśmy w Kaliszu, we Wrocławiu, w Karkonoszach, w Warszawie oraz w więzieniu w Opolu Lubelskim. We Włoszech natomiast odwiedziliśmy Rzym, Asyż, L'Aquilę i Anzio. Przed nami są jeszcze zdjęcia w Ziemi Świętej i Brazylii. W Ziemi Świętej pojawimy się w Jerozolimie, w Nazarecie, na Górze Tabor i Górze Karmel oraz nad Jeziorem Genezaret. W Brazylii polecimy do miejscowości Trindade położonej niedaleko stolicy, gdzie znajduje się największe na świecie sanktuarium Boga Ojca. To tam na początku lipca odbywa się wielkie święto poświęcone Bogu Ojcu, na które przyjeżdża ok. 3 mln ludzi.

„OBLICZE JEZUSA"

Zawsze mam przy sobie kilka egzemplarzy filmu. Jest to nie tylko wspaniały prezent dla tych, którzy występowali w tym dokumencie i pomagali przy jego realizacji. Na mojej drodze pojawiają się kolejne osoby, które wspierają nas przy obecnym projekcie „Oblicze Boga Ojca".

Fot. Andrzej Wiktor, Monika Rędziak, materiały prasowe Eleusa Film

eprasa.pl 2ea2b4f482

KSIĄŻECZKA „BÓG OJCIEC MÓWI DO SWOICH DZIECI”

Jest to orędzie, które sam Bóg Ojciec objawił włoskiej zakonnicy Eugenii Ravasio. Miało ono miejsce we Francji w Lyonie w XX w. Orędzie to zostało uznane przez Kościół katolicki i m.in. na jego podstawie tworzymy nasz nowy film, choć oczywiście główną bazą jest Pismo Święte – Stary i Nowy Testament.

KLAPS

Niezbędny jest nie tylko przy filmach fabularnych, lecz także dokumentach. Służy do synchronizacji wizji i dźwięku.

BIBLIA AUDIO

Fantastyczna produkcja superprofesjonalnie zrealizowana przez polskich twórców, przeczytana przez świetnych aktorów. Jeżeli ktoś tego nie słuchał, serdecznie polecam, a poznawanie Biblii w tej formie jest wyjątkowe. Dla mnie Pismo Święte stanowi źródło inspiracji w pracy twórczej.

PASTYLKI NA GARDŁO

Na planie filmowym mówię znacznie więcej niż normalnie i dlatego muszę łykać pastylki nawilżające.

WIZYTÓWKA

Założyliśmy Fundację Eleusa Film tworzącą katolickie filmy, a ja i moja żona Monika jesteśmy ich producentami. W formie filmowej opowiadamy piękne i inspirujące historie dotykające najważniejszych tematów dotyczących Boga i człowieka.

PREZENTACJA FILMU „OBLICZE BOGA OJCA”

Wożę ze sobą prezentację filmu, aby pokazywać ją i przekonywać do wsparcia tego projektu. Budżet projektu nie jest jeszcze domknięty, a dzięki pozyskiwaniu nowych sponsorów lub inwestorów będziemy mogli zrobić film na najwyższym, światowym poziomie. Prezentacja zawiera cel i opis filmu. Wersja elektroniczna jest dostępna na stronie fundacji www.eleusafilm.com.

SŁUCHAWKI

Są potrzebne reżyserowi na planie do lepszego odsłuchu, co mówią bohaterowie filmu i jak to brzmi, jeżeli chodzi o aurę dźwiękową oraz czy nagrywany dźwięk będzie wyraźnie słyszalny dla widzów.

RÓŻANIEC

Nie rozstaję się z różańcem. Modlitwa różańcowa jest moją ulubioną i staram się odmawiać ją codziennie.

WIZERUNEK Z MANOPELLO

Przepiękny wizerunek Jezusa, który powstał ponad 2 tys. lat temu na chuście z bisioru, która leżała na jego twarzy podczas zmartwychwstania. Oryginalna chusta znajduje się w pięknej, małej miejscowości Manoppello we Włoszech. To m.in. o niej opowiadaliśmy w naszym filmie „Oblicze Jezusa”.

NOTES

Służy mi do planowania i notowania informacji, myśli oraz wszelkich uwag. To mój reżyserski analogowy niezbędnik, bo opisuję tutaj hasłowo także charakter scen.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 2ea2b4f482

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Jan Parys nowym prezesem!

Jan Pietrzak

Niezależnie od zamętu medialnego związanego z wyborami nowego prezydenta moja fundacja – Towarzystwo Patriotyczne, wymieniła prezesa, czyli mnie, na Jana Parysa. Uroczystość odbyła się w kameralnym gronie kilkudziesięciu osób. Prawdę mówiąc, nieco się wzruszyłem wspominając 14 lat aktywności Towarzystwa. Na starość robię się niebezpiecznie sentymentalny. Nie wiem, czy w wieku 88 lat to normalne, ale chyba zrozumiałe. Natomiast organizm mój trochę się buntuje z powodu licznych obowiązków, jakie mu narzucam. Szczerze mówiąc, wymaga remontu, jeżeli ma doczekać czasu, kiedy Polska będzie Polską. A ja bardzo na to liczę. Mam sentyment do tego marzenia. Tyle na temat osobisty, a teraz sprawy publiczne.

Towarzystwo Patriotyczne powstało w dramatycznym posmoleńskim czasie. My, Polacy, wpadliśmy wtedy w jakąś czarną dziurę. Rząd ówczesnego Tuska poddał się kłamliwej,rosyjskiej narracji o katastrofie TU-154, umywając ręce od prawdy. To była jaskrawa zdrada 96 polskich obywateli z parą prezydencką i wieloma wybitnymi Polakami. Co zdumiewające, nastąpił rządowy atak medialny na ludzi domagających się godnego zachowania wobec kłamstw Moskwy. Upokarzająca, zawstydzająca sytuacja niemająca precedensu w „wolnym" świecie, do którego aspirowaliśmy od lat 90. ub.w. Media łgały codziennie, w dodatku prowadząc obrzydliwą nagonkę na środowiska szukające prawdy. Pamiętam, jak zaszczuwano Antoniego Krauzego i jego aktorską ekipę, kiedy zgłosił projekt filmu o Smoleńsku.

Trzeba się było ogarnąć i pozbierać. W gronie: Janusz Śniadek, Piotr Andrzejewski, Rafał Ziemkiewicz, Jan Żaryn, Józef Orzeł i wielu innych wspaniałych ludzi zaczęliśmy knuć, co mamy robić, by nie zwariować z bezradności i beznadziei. Poszły pierwsze koncerty na pl. Zamkowym. „Mobilizacja" z kapelą Staśka Wielanka. Wiec w obronie Mickiewicza pod jego pomnikiem. Polonezy z okazji 3 maja. Galowe koncerty niepodległości związane z wręczaniem nagród Żeby Polska była Polską. Znaczące trasy „Niech żyje Polska", „Niepodległość 100+" grane w wielu miejscowościach. Koncerty w rocznicę Bitwy Warszawskiej. Kilka lat przed 100. rocznicą wystąpiliśmy do władz z inicjatywą budowy łuku triumfalnego. Apel wymusił na ratuszu pozorne zainteresowanie. Odbyło się wiele narad. Niestety rok przed obligatoryjnym terminem ratusz się wycofał. Próbował nam pomóc ówczesny minister środowiska prof. Jan Szyszko. Ponieważ Wisła nie podlega władzom miasta, zgodził się na postawienie pomnika w nurcie. Niestety, szybko został odwołany ze stanowiska...

To tylko drobny fragment wspomnień o Towarzystwie, które przejmuje Jan Parys, świetny gość, wielokrotny minister, dużo młodszy ode mnie, niezmiennie prawy.

wPolsce 24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać!

Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.

Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

Autopromocja

eprasa.pl 2ea2b4f482

TRENDY I OWĘDY

Zorro i piwo

Ryszard Makowski

Kampania prezydencka przypomniała nam, że III RP jest produktem demokratycznopodobnym. Podstawą demokracji są wybory. A tu po raz kolejny okazało się, że namiestnicy na Polskę z ramienia Unii Europejskiej (czytaj: Niemiec) nie cofną się przed niczym, by zdeformować ten akt. Na rzecz kandydata Platformy pełną parą pracowały służby, media, fundacje, szare eminencje i nawet przyjechał syn George'a Sorosa, by dopatrzeć interesu. Niestety czymś normalnym stało się przeświadczenie, że władza „poprawi" wynik II tury, by domknąć system i postawić kraj w stan likwidacji.

Jednak w pamięci gminnej pozostaną inne zdarzenia. W Tarnowie na rynku podczas wiecu Rafała Trzaskowskiego z dachu jednej z kamienic zwisał pokaźny baner #ByleNieTrzaskowski. A na dachu ukazał się Zorro. Polska oszalała na punkcie mężczyzny w masce. Śmiechu było, a było, gdy policja wszczęła poszukiwania wywrotowca.

Jeszcze nie wszyscy ochłonęli, a akcja przeniosła się do pubu Mentzena. Tu właściciel gościł Rafała Trzaskowskiego i Radosława Sikorskiego. Piekło zamarzło. Lider Konfederacji był na noże z politykami PO za oszczerstwa w tzw. kampanii profrekwencyjnej. Zamiast wywracać stolik, postawił na nim piwo i biesiadował z konkurentami. To jednak nic.

By zrobić z Karola Nawrockiego gangusa i alfonsa, oskarżono go, że kiedy był ochroniarzem w Grand Hotelu w Sopocie, załatwiał klientom prostytutki. Kto jak kto, ale to „Gazeta Wyborcza" prowadzi piękną akcję zachęcającą do bycia seksworkerką, zachwala taką pracę, a teraz się okazuje, że to zwykła prostytucja. Tak to my nie zbudujemy demokracji.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, WPOLSCE24, IPN, PAWEŁ JASKÓŁKA/AGENCJA SE/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/ ILIRI STEPANOV, MR. DONNI, ANDREY ZYK, PITUKTV, HAETON, YELLOW CAT, MIKE FLIPPO, SMARTPHOTOLAB, IGOR LINK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 2ea2b4f482

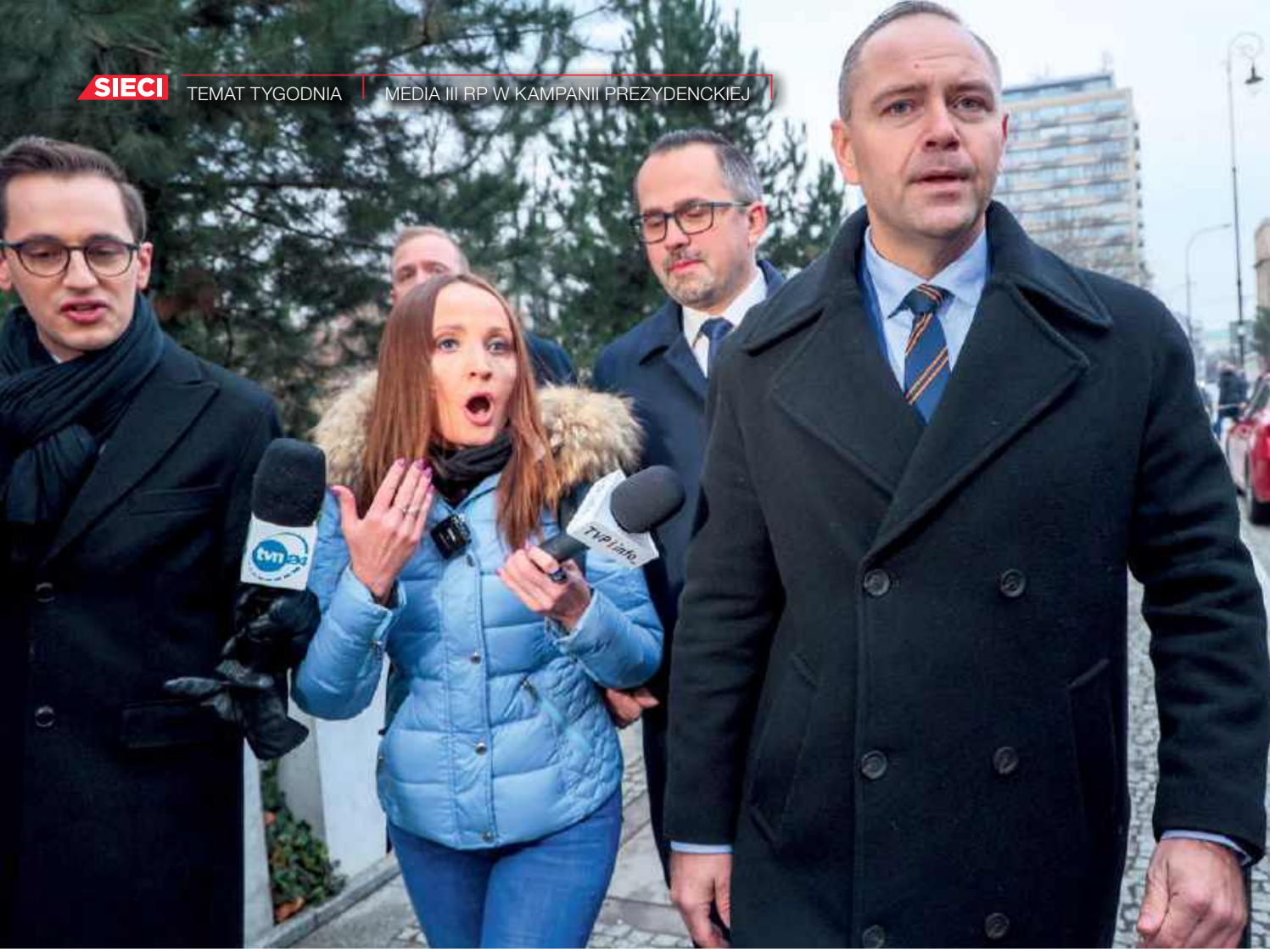

Chcieli „zabić” Nawrockiego

To była najpodlejsza walka wyborcza w naszej historii. Antydemokratyczny system użył w niej wszelkich zasobów, zastosował wszystkie możliwe faule, oparł kampanię na strategii kłamstw, udziale służb specjalnych i dyspozycyjnych dziennikarzy. Ci ostatni mieli odegrać kluczową rolę w operacji medialnego uśmiercenia Karola Nawrockiego

eprasa.pl 2ea2b4f482

MAREK PYZA

Jeszcze nigdy w III RP nie przeprowadzono tak szerokiego ataku na jednego człowieka. Nawet najbardziej znienawidzone (przez lewicowo-liberalne pseudoelity) postacie prawicy, jak Jarosław Kaczyński czy Antoni Macierewicz, nie były przedmiotem tak silnej nagonki i ofiarami takich pomówień.

Gdy piszę niniejsze słowa, jeszcze nie wiadomo, czy te metody pomogły zwyciężyć kandydatowi obozu antydemokratycznego. Ale nad tym zjawiskiem nie można przejść do porządku dziennego. To wynaturzenie kampanii wyborczej zasługuje na poważne opisanie w szerszym wymiarze niż kilka kolumn w tygodniku opinii. To będzie przedmiot badań dla naukowców i studentów dziennikarstwa oraz politologii na dekady. Bo wiosną 2025 r. okazało się, że klasyczny bezpiecznik w demokracji, jakim są media, nad Wisłą przeobraził się w machinę politycznego barbarzyństwa.

Jej zadaniem nie było jakieś trywialne podważenie wiarygodności Karola Nawrockiego. To było w zestawie podstawowym. Zestaw premium, który na tę kampanię przygotował obóz antypolski, miał wygenerować jak najbardziej negatywne emocje wokół prezesa IPN – pogardę, gniew, wręcz nienawiść. Stąd całe seriale samych złych wiadomości, szyderstw i najcięższych oskarżeń.

Media głównego nurtu nie pochylały się nad tym, co naprawdę jest stawką tych wyborów. Nie były głosem Polaków wyjaśniającym, jaka jest rzeczywistość w sprawie paktu migracyjnego, Zielonego Ładu czy bezpieczeństwa międzynarodowego. W ogóle nie zajmowały się weryfikowaniem tego, o czym jak najęty kłamał kandydat obozu władzy. Roztoczyły nad nim parasol ochronny i skupiły się wyłącznie na waleniu w jego głównego konkurenta niczym w bęben.

ONET NA PEŁNEJ… MOCY

A robiły to w ścisłej współpracy z obozem rządowym. 19 tekstów wymierzonych w Nawrockiego na stronie głównej Onetu 4 dni przed końcem kampanii to soczewka albo raczej jądro tej operacji. Zresztą dwa dni później ta liczba urosła do 22. Wtedy uznaliśmy w redakcji, że liczenie przestało mieć sens. Okazało się, że dla niemiecko-szwajcarskiego medium nad Wisłą nie ma granicy, której nie przekroczy.

Ten polskojęzyczny portal stał się oddziałem specjalnym przeznaczonym do najpodlejszych zadań. To on dostał zielone światło do użycia wszelkich medialnych brudnych bomb, broni chemicznej, pocisków kasetowych. I robił to z głęboką satysfakcją.

> Wiosną 2025 r. okazało się, że klasyczny bezpiecznik w demokracji, jakim są media, nad Wisłą przeobraził się w machinę politycznego barbarzyństwa

Przeprowadził dwie ofensywy. Jedna dotyczyła kawalerki Nawrockiego, druga – jego życia, zanim został dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, czyli okresu kibicowskiego oraz pracy w zawodzie ochroniarza.

Zarzucono mu niemal wszystko. Zaczęło się od rzekomego oszukania starszego człowieka poprzez wyłudzenie mieszkania, co stawiano na równi z praktykami czyścicieli kamienic, tak świetnie radzącymi sobie w czasie platformerskich rządów w Warszawie. Gdy pojawiła się realna, jak najbardziej współczesna afera z mieszkańcami kamienicy przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie, Onet się nią nie zainteresował. Nie wypytywał lokatorów, co im obiecał Trzaskowski – a było to niewinne „czasowe wysiedlenie" na potrzeby remontu budynku i później rychły powrót do swoich mieszkań. Gdy się okazało, że był to tylko fortel, aby pozbyć się ludzi zajmujących atrakcyjną kamienicę i ją sprzedać, mieszkańców nie wpuszczono na posiedzenie Rady Miasta (wezwano w tym celu Straż Miejską), a zamiast nich miejsca dla publiczności bezczelnie zajęli działacze PO. Platforma w pigułce.

Nad cyklem publikacji dotyczących gdańskiej kawalerki Nawrockiego (przed pierwszą turą przekazał ją Chrześcijańskiemu Stowarzyszeniu Dobroczynnemu z Gdyni) wisi cień służb specjalnych. Informacje, które Onet miał w tej sprawie, musiały pochodzić z teczki sprawdzeniowej w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gdy ta (kilkakrotnie) weryfikowała uczciwość historyka, by przyznać mu dostęp do informacji niejawnych. Nigdy – a Nawrocki był sprawdzany trzykrotnie: w latach 2009, 2014 i 2021 – nie zakwestionowano przyznania mu takiego certyfikatu. Ani w czasach rządów PO-PSL, ani PiS, ani przez półtora roku władzy koalicji 13 grudnia.

Jak się to „wysypało"? Kluczowy był 9 maja, gdy Interia opublikowała oświadczenie z 2021 r., w którym Nawrocki potwierdza, że zobowiązał się do opieki nad Jerzym Ż. do jego śmierci, a ten swoim podpisem potwierdził, że prezes IPN wywiązuje się z obietnicy. Na ujawnionym dokumencie zasłonięto pieczęcie. Konrad Piasecki w TVN24 w ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie powiedzieć o „pieczęci służ..." i poprawił się na „pieczęć urzędową". Renata Grochal w radiowej Trójce już się w nic nie gryzła i jednoznacznie stwierdziła, że to dokument pochodzący z ABW.

Dodatkowo Andrzej Stankiewicz z Onetu, opisując papier pokazany przez Interię, poinformował swoich widzów, że w 2021 r. ABW nabrała podejrzeń w sprawie kawalerki, więc zaczęła zadawać Nawrockiemu pytania. My więc pytamy: w jaki sposób dziennikarz poznał przebieg tajnych czynności związanych z procedurą wydania dostępu do informacji niejawnych? Skąd ma pewność, że dokument powstał właśnie w tej procedurze?

Fot. Paweł Wodzyński/East News

eprasa.pl 2ea2b4f482

Bo to chyba pewność, zresztą nie tylko wśród wyrobników z Onetu. Piotr Pacewicz, redaktor naczelny OKO.press, a wcześniej wieloletni wiceszef „Gazety Wyborczej", wprost pisał o pochodzeniu oświadczenia z 2021 r.: „Jest prawdopodobne, że w trakcie sprawdzania Nawrockiego przez służby, padły pytania o jego drugie mieszkanie, które wykazał w oświadczeniu majątkowym. Może jakiś oficer, usłyszawszy mętne wyjaśnienia, że przecież to nie jest prawdziwa własność, bo pan Jerzy tam mieszka, a pan Karol nie ma kluczy, skrzywił się lekko i poradził, żeby trochę to wszystko sformalizować". Pacewicz musi wiedzieć, że wykorzystanie w kampanii wyborczej materiałów z tej sprawy jest nielegalne i sprzeczne z jakimikolwiek normami państwa demokratycznego. Lecz jego obrona demokracji w ogóle nie interesuje.

BROŃ ATOMOWA

Na ostatni tydzień kampanii zostawili sobie to, co miało być ich Wunderwaffe.

Chronologia tej operacji wyglądała następująco. 22 maja Donald Tusk w TVN24 zapowiedział w sprawie Nawrockiego: „Te najbliższe dni, tam będą kolejne zaskoczenia". Dopytywany przez Piotra Kraśkę, czy ma „informacje, które się pojawią", odpowiedział jasno: „Tak". Skąd premier wiedział, co się pojawi w Onecie? Ma stałe łącze z wiernymi sobie redakcjami czy je inwigiluje? Innej możliwości nie widać. Pewne jest, że następnego dnia niejaki Jacek Murański, wyjątkowo odrażający patocelebryta, chwalił się w internecie, że przekazał swoje rewelacje dziennikarzom śledczym, którzy za kilka dni opublikują artykuł. Tak się stało.

26 maja ukazał się tekst, w którym Andrzej Stankiewicz i Jacek Harłukowicz oskarżają Nawrockiego, że sprowadzał prostytutki dla gości sopockiego Grand Hotelu (pracował tam jako ochroniarz). Pracownicy niemiecko-szwajcarskiego koncernu wykorzystują pomówienia dwóch anonimowych osób z niezbyt wiarygodnego środowiska. Stawianie tak ciężkich zarzutów bez żadnych dowodów to dziennikarski rynsztok. Ale etyka nie mogła tu mieć zastosowania. Cel był prosty: zrobić z Nawrockiego alfonsa. Za wszelką cenę.

26 maja wieczorem Donald Tusk miał utwardzić ten przekaz. W Polsacie przyznał, że atak na Nawrockiego jest inspirowany wypowiedziami Jacka Murańskiego, którego nazwał „postacią znaną" m.in. z walk MMA, a także... aktorstwa w niedużych rolach. Nie wiemy, jakie filmy ogląda premier i jaki sport naprawdę go fascynuje, ale większość Polaków dopiero od niego dowiedziała się o istnieniu Murańskiego. Gdy błyskawicznie zaczął się festiwal drwin z premiera (a rozkręcili go odlegli od Prawa i Sprawiedliwości tiktokerzy czy instagramerzy), Onet próbował się od tego odcinać, twierdząc, że wielokrotnie skazywany patus nie jest ich informatorem. Niewiele to dało. Premierowi we własnych rękach wybuchł granat, którym chciał rzucić w Nawrockiego. A że obok stali propagandyści z Onetu, pokiereszowało również ich. I dobrze.

> 19 tekstów wymierzonych w Nawrockiego na stronie głównej Onetu 4 dni przed końcem kampanii to soczewka albo raczej jądro tej operacji

Dwa dni przed ciszą wyborczą Onet opublikował wyniki sondażu, z którego – jak stwierdzono – wynikało, że według „niemal połowy" badanych nowe informacje na temat Karola Nawrockiego przekreślają jego kandydaturę na prezydenta. Tymczasem nie połowa, lecz 42,4 proc., czyli trochę za mało. Plan zakładał zapewne, iż historia o prostytutkach odciśnie takie piętno w świadomości wyborców, że tuż przed końcem kampanii będzie można zakomunikować światu – a wręcz się pochwalić – że lincz odniósł skutek. Nie udało się.

Co zostanie z tej „afery"? Zapewne tytuł Hieny Roku dla Stankiewicza i Harłukowicza. Postulat, by to ich wyróżnić tą antynagrodą za 2025 r. zgłosił już dokumentalista Mariusz Pilis, wiceprezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Zrobił to na Facebooku, opatrując swój wpis zdjęciami autorów z Onetu. Meta (właściciel FB) skasowała ten post, uznając, że narusza on... „standardy społeczności dotyczące nękania i prześladowania".

Ale w stowarzyszeniu nie zapomną o tej publikacji. Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP w specjalnym oświadczeniu uznało, że tekst Onetu „jest jedynie elementem wyjątkowo bulwersującej i nieuczciwej kampanii wyborczej" i dlatego zaapelowało do dziennikarzy „o szczególną ostrożność przy wyjaśnianiu tego tematu".

Onetowcy wiedzieli, że Nawrocki nie pozwie ich w trybie wyborczym, bo sądy już nieraz pokazywały, że nie zamierzają rozstrzygać kampanijnych publikacji medialnych. Prezes IPN złożył więc pozew cywilny oraz prywatny akt oskarżenia i będzie się procesował w normalnej procedurze. Nie wiemy, jaki będzie tego efekt, ale można się spodziewać, że podobny jak w przypadku publikacji Onetu z 2018 r. o ks. Jacku Stryczku i rzekomego stosowania przez niego mobbingu w stowarzyszeniu Wiosna. Po nagonce medialnej księdzu zabrano stowarzyszenie. W zeszłym tygodniu okazało się, że śledztwo zostało prawomocnie umorzone 9 maja 2025 r. Czynu zabronionego nie stwierdzono.

BEZZĘBNA MICHNIKOWSZCZYZNA

Ale przecież to wszystko nie miało początku w Onecie. Największy portal ukazujący się w naszym języku odpalił swoje pełne moce dopiero w drugim etapie kampanii. Zaczęło się tam, gdzie wszyscy się spodziewali – w „Gazecie Wyborczej". Pismo Michnika od lat atakuje Karola Nawrockiego. Skoro antypolonizm mają we krwi przez dekady i tak bardzo „zasłużyli się" w wykrzywianiu naszej historii, tradycji i wartości, to nic dziwnego, że wzięli na celownik człowieka, którego codziennością od lat jest krzewienie polskości.

Zanim jeszcze oficjalnie ogłoszono kandydaturę Nawrockiego, w październiku biuletyn z Czerskiej opublikował na niego paszkwil pod jakże finezyjnym tytułem „Jeśli gość hotelowy potrzebował kobiety, starczyło dać znać Nawrockiemu

eprasa.pl 2ea2b4f482

– mówi dawny kolega prezesa IPN". Znamienne, kto się podjął zadania naplucia na prezesa IPN. Był to Piotr Głuchowski, dawno skompromitowany cyngiel Agory, o którym branżowy (i zaprzyjaźniony z „GW") „Press" pisał: „Znany ze zmyśleń, plagiatów, kreowania anonimowych informatorów i podkręcania tekstów".

Gdyby to był 1995 albo nawet 2005 r., mogłoby się udać. „Gazeta" narzuciłaby swoją narrację już na początku, a później tylko pilnowała, by temperatura wokół jej doniesień nie spadała, a kordon sanitarny wobec kandydata, którego trzeba medialnie unieszkodliwić, był szczelny. Dziś jednak pismo Michnika nie jest nawet cieniem swej dawnej potęgi. W pierwszym kwartale br. zanotowało największy spadek sprzedaży wśród dzienników ogólnopolskich (o blisko 20 proc. – to dwa razy więcej niż w całym segmencie rynku). Ma już średni wynik poniżej 30 tys. egz. każdego wydania. A więc czytają ją już chyba tylko fanatycy nieboszczki Unii Demokratycznej.

Nie można mówić o jakiejkolwiek równowadze, ale faktem jest, że w siłę urosły media konserwatywne oraz społecznościowe, które tysiącom ludzi zastępują tradycyjne środki masowego przekazu. Tym ostatnim widownia leci na łeb na szyję, wprost proporcjonalnie do wiarygodności. Tylko konserwatywne stacje telewizyjne – wPolsce24 czy Republika – stale notują poszerzanie zasięgów. Powstają kolejne kanały na YouTube, podcasty. Olbrzymie wzrosty zanotował w kampanii Kanał Zero. Dobrze oglądają się rozmowy Bogdana Rymanowskiego czy te w Otwartej Konserwie. Tusk nie ma nad nimi kontroli, dlatego nie wypalił jego totalitarny w swej istocie plan.

Wróćmy do plugawego tekstu w „Wyborczej", który nie porwał mas. Był za to dość powszechnie krytykowany. Michnikowszczyzna zarzuciła więc temat, ale nie złożyła broni. Mieliśmy kolejny serial – o rzekomych nieprawidłowościach dotyczących korzystania przez Nawrockiego z apartamentu w Muzeum II Wojny Światowej, który poetycko nazwano „statkiem miłości" (tu wykazał się Wojciech Czuchnowski – niektórzy mówią, że to najbardziej odległy od jakichkolwiek standardów dziennikarstwa pracownik Agory), sugerując, że dyrektor placówki urządzał tam jakieś bachanalia. Pomawiany zdetonował ich rewelacje, m.in. wykazując, że w dniach, w których miał zajmować pokój, był zupełnie gdzie indziej. Ale kłamstwo poszło w świat, a poprawiła je prokuratura, wszczynając groteskowe śledztwo. Minęły trzy miesiące. Sprawa jakoś dziwnie przycichła.

TV PO

W ostatnich dniach kampanii „Wyborcza" nie tylko pracowała piórami swoich robotników, lecz nawet pieniędzmi! Redakcja zapłaciła Facebookowi za reklamowanie jej publikacji wymierzonych w Nawrockiego.

W ostatnich dniach kampanii „Wyborcza" nie tylko pracowała piórami swoich robotników, lecz także pieniędzmi! Redakcja zapłaciła Facebookowi za reklamowanie jej publikacji wymierzonych w Nawrockiego

Podobnie postąpiło TVN24, niebrzydzące się w tej kampanii żadnymi manipulacjami. Jakże niewiele ich różni od organizacji pozarządowych, które tą samą metodą rozpuszczały hejterskie filmy zarówno przed pierwszą, jak i drugą turą wyborów, co było nielegalnym finansowaniem kampanii Trzaskowskiemu.

O mediach publicznych nie ma nawet co pisać. W grudniu 2023 r. zostały brutalnie przejęte przede wszystkim po to, by odegrać ważną rolę w obecnej kampanii. Tyle że ci cyrkowcy nawet do tego się nie nadają. Mało kto ich ogląda, a takie postacie, jak Dorota Wysocka-Schnepf, Kamila Biedrzycka czy Justyna Dobrosz-Oracz zapisują się w kronikach antydziennikarstwa w zasadzie każdym swoim występem. Jeśli ktoś narzekał na stronniczość telewizji publicznej w czasach Jacka Kurskiego, dziś jest mu chyba winien przeprosiny.

Były prezes zasłynął m.in. tym, że potrafił błyskawicznie zmienić ramówkę, dostosowując ja do bieżących wydarzeń, np. śmierci znanej postaci. Obecni pomazańcy Tuska przy Woronicza (tropy wiodą do niedawnego członka zarządu warszawskich autobusów, obecnie rządzącego w TVP Tomasza Syguta) nie chcieli być gorsi i też zmienili ramówkę w ostatnich godzinach kampanii. Aby utrwalić wizerunek Nawrockiego jako kibola, kazali podzielić film „Furioza" na cztery części i puścili go jako serial w odcinkach, zapowiadając na ekranie przez cały dzień. Zaprotestował nawet reżyser tego obrazu Cyprian Olencki. „Dziś można praktycznie bez żadnej konsekwencji powiedzieć, napisać, wszystko o wszystkich. To nieco paradoksalne, że jesteśmy obecnie na takim etapie, że mój film całkowicie wbrew moim zamierzeniom może być z powodzeniem wykorzystany przez obie strony politycznego sporu do okładania się nawzajem. Nie mam na to zupełnie wpływu! Nie ma na to mojej zgody. Nie podoba mi się to" – powiedział wp.pl.

Starsi czytelnicy mogli mieć podczas tej kampanii déjà vu. 20 lat temu za pomocą kłamstwa wyeliminowano z prezydenckiego wyścigu Włodzimierza Cimoszewicza. W 2001 r. paszkwil „Dramat w trzech aktach" miał zneutralizować powstające Prawo i Sprawiedliwość (Grzegorz Nawrocki, współautor tego haniebnego filmu, za który wówczas otrzymał Hienę Roku – a kolejną w 2024 r. – znów pracuje w TVP). Ale to, co zrobili Nawrockiemu, najbardziej przypomina sytuację pomiędzy pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich w 1990 r. TVP podała wówczas, że Stanisław Tymiński (na finiszu wyborów był kontrkandydatem Lecha Wałęsy) bije żonę i głodzi dzieci. Proces trwał cztery lata, ostatecznie strony zawarły ugodę, a telewizja musiała przeprosić za kłamstwo.

Liczne pomówienia wystrzelone w ostatnich tygodniach w Karola Nawrockiego też znajdą swój finał w sądzie. Pytanie brzmi, czy w idealnym świecie ci, którzy strzelali, powinni jeszcze znaleźć sobie miejsce w jakiejś redakcji.

Nasz świat nie jest idealny. Bardzo nie jest.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Powyborczy portret Polaków

Wychodzimy z wyborów jako społeczeństwo na skraju rozpadu, mocno pokiereszowane propagandą i emocjami. Niepokój budzi mała dociekliwość Polaków i fakt, że wielu z nich zadowala się podsuwanym przekazem. Na szczęście nie wszyscy są tacy

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jaki obraz naszego społeczeństwa wyłania się po wyborach? Przede wszystkim – co nie będzie żadnym odkryciem – Polacy są głęboko podzieleni, i to niemal równo po połowie. Jednak różnice polityczne są jedynie zewnętrzną, najbardziej widoczną warstwą znacznie głębszych podziałów rozsadzających polskie społeczeństwo.

POLACY I UNIJCZYCY

Wybór pomiędzy Karolem Nawrockim a Rafałem Trzaskowskim był w istocie wyborem między wspólnotą a jej brakiem. Wyborcy Nawrockiego to ludzie, którzy są odpowiedzialni za swój kraj oraz odczuwają silne więzi z jego kulturą i przeszłością. Oni po prostu zawsze kibicują Polsce i nigdy nie wstydzą się własnego pochodzenia. Doskonale przy tym rozumieją, że ich osobiste aspiracje w dużej mierze zależą od tego, w jaki sposób Polska będzie rządzona: czy będzie się rozwijać i bogacić, czy przeciwnie – ugrzęźnie na peryferiach Europy, na wieki stając się kolonią obcych rządów i obcego kapitału.

Wyborcy Trzaskowskiego to zupełnie inny typ ludzi. Większość z nich jest dotknięta silnym i nieuleczalnym kompleksem niższości wobec świata zachodniego. Nie czują się jego częścią, ale bardzo by chcieli do niego dołączyć, rozpuścić się w nim i w ten sposób zmyć wstydliwe piętno polskości. Bo dla nich polskość to piętno lub co najwyżej rodzaj lokalnego folkloru. Dlatego istnienie własnego państwa nie stanowi dla nich wartości nadrzędnej, tzn. powinno ono istnieć, ale jedynie jako wewnętrzna struktura w ramach szerokiej europejskiej wspólnoty zarządzanej z obcych stolic.

Czując się lojalną częścią tej zewnętrznej wspólnoty, jednocześnie odrzucają oni wspólnotę wewnętrzną. Na własny naród spoglądają z poczuciem wyższości – jak na tubylczy motłoch, który trzeba ucywilizować albo siłą przymusić do uległości. Żyją w fałszywym poczuciu przynależności do elity, nawet już nie polskiej, ale europejskiej, choć w rzeczywistości w tej europejskiej hierarchii są zaledwie czeladnikami, których nie wpuszcza się na salony, aby nie wybrudzili podłogi. Nic więc dziwnego, że schylają swój kark coraz niżej i rumienią się zalotnie, aby wreszcie zasłużyć na cudze względy i awanse.

ESKALACJA AGRESJI

Wyborcy Trzaskowskiego żyją we własnej bańce, która szczelnie oddziela ich od rzeczywistości. To oni byli głównymi adresatami kampanii prowadzonej przeciwko Nawrockiemu, która w ostatnich dniach przed wyborami zamieniła się w cuchnący rynsztok. Konsumenci tego medialnego szamba po raz kolejny dali się poznać jako ludzie mało dociekliwi, intelektualnie leniwi lub po prostu obsesyjnie zacietrzewieni. Nic nowego.

W swojej bańce żyli też zwolennicy Nawrockiego, przy czym nie była ona ucieczką od świata, lecz miała raczej charakter bariery ochronnej przed wulgarną agresją ze strony ośmiogwiazdkowych fiksatów. To chyba zrozumiałe, że nikt normalny nie chce wdawać się w debaty z prymitywnym chamem nieustannie miotającym przekleństwa.

Polskę już od dawna przedstawia się jako kraj dwóch zwalczających się plemion. Jednak po tych wyborach skala werbalnej agresji eskalowała już do granicy przemocy fizycznej. Jeszcze jej nie przekroczono, ale znaleźliśmy się niebezpiecznie blisko sytuacji, w której trudno będzie wspólnie żyć. Kto odpowiada za to, że debata polityczna została zastąpiona agresją? Kto uczynił kłamstwo głównym narzędziem polityki w Polsce? Kto zmieniał zdanie o 180 stopni w zależności od aktualnych sondaży?

Czytelnik zna odpowiedź na te pytania, ale nie chodzi wyłącznie o to, aby po raz kolejny powtarzać oczywistość, że Tusk w obsesyjnej pogoni za władzą przekroczył nienaruszalne granice. I że zrobił to przy akompaniamencie medialnego kartelu, który bezceremonialnie stanął po jego stronie. Wszyscy to wiemy.

Ważniejsze wydaje się, że ten łajdacki sposób uprawiania polityki został zinternalizowany przez dużą część Polaków. Nie tylko fanatyków Tuska i Platformy, lecz także część młodego pokolenia, które nie zna innej polityki niż uprawianie hejtu. Tusk wrócił na urząd premiera nie dzięki swojemu programowi wyborczemu, ale dlatego, że bezkarnie nabrał Polaków na swoje 100 konkretów, a jego otoczenie utopiło przeciwników w szambie.

Można powiedzieć w pewnym uproszczeniu, że jako społeczeństwo

eprasa.pl 2ea2b4f482

przegraliśmy 35 lat niepodległej Polski. I wina wcale nie jest równo rozłożona po obu stronach.

OŚLEPIENI

„Dramatem jest to, że to bzdury o kawalerkach czy hotelach całkowicie przykryły fakt, że rząd Tuska pcha Polskę do katastrofy gospodarczej na nigdy niespotykaną skalę" – napisał przed drugą turą wyborów pisarz Jacek Piekara. „Największe w historii, kosmiczne wręcz zadłużenie, ogromne straty spółek skarbu państwa, upadek firm, zastój inwestycyjny, przerażająca perspektywa Zielonego Ładu, który zdewastuje portfel każdego Polaka. To są tematy! [...] Ale Polacy zamiast rozmawiać o ekonomicznej katastrofie, która jest realną »zasługą« Tuska, kłócą się o jakieś gówniane prowokacje Onetu" – podsumował dosadnie. Ja ze swojej strony dodałbym do tej listy wojnę na Ukrainie, która zupełnie zniknęła z listy spraw ważnych. W pewnym momencie wydawało się, że gdyby Rosjanie najechali na Polskę, nikt by tego nie zauważył – tak bardzo reżim nakręcił wszystkich przeciwko sobie. A przecież nasze państwo ciągle znajduje się w strefie zagrożenia.

W zjawisku opisanym przez Piekarę przejawia się brak instynktu samozachowawczego wielu Polaków i zarazem niemal całkowita nieumiejętność rozróżnienia spraw ważnych od nieważnych. Trochę to przypomina – tu mała analogia militarna – atak rakietowy, gdy oprócz śmiercionośnych pocisków wystrzeliwuje się na cel wabiki, które mają odciągnąć uwagę obrońców. Prowokacje urządzane przez reżim Tuska były takimi wabikami, abyśmy nie potrafili dostrzec prawdziwych niebezpieczeństw.

Podobny skutek ma również infantylizacja życia publicznego, nazywana przez niektórych postpolityką. Ma być atrakcyjnie i wystrzałowo jak w wideoklipie. Politycy komunikują się z wyborcami za pośrednictwem krótkich postów lub filmików umieszczonych w internecie. Tam nie ma treści – ma być slogan, mocny przekaz, najważniejsze jest, kto komu bardziej dołoży i kto kogo skuteczniej „zaora". Nie przeszkadza to tak bardzo, gdy jest to uzupełnieniem poważnej debaty o państwie, źle jest jednak, gdy całkowicie zastępuje tę debatę. Zwłaszcza w obecnej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska. Nic zatem dziwnego, że w naszym kraju mało kto oczekuje poważnego namysłu nad przyszłością. Dziś znacznie ciekawsze są czerwone korale Joanny Senyszyn albo chamskie fałszywki rzekomo ujawniane przez media.

> Im więcej trucizny wlewa się w polskie życie publiczne, tym większa jest niezgoda Polaków na dewastację państwa oraz pozbawianie jego obywateli szans na lepsze życie

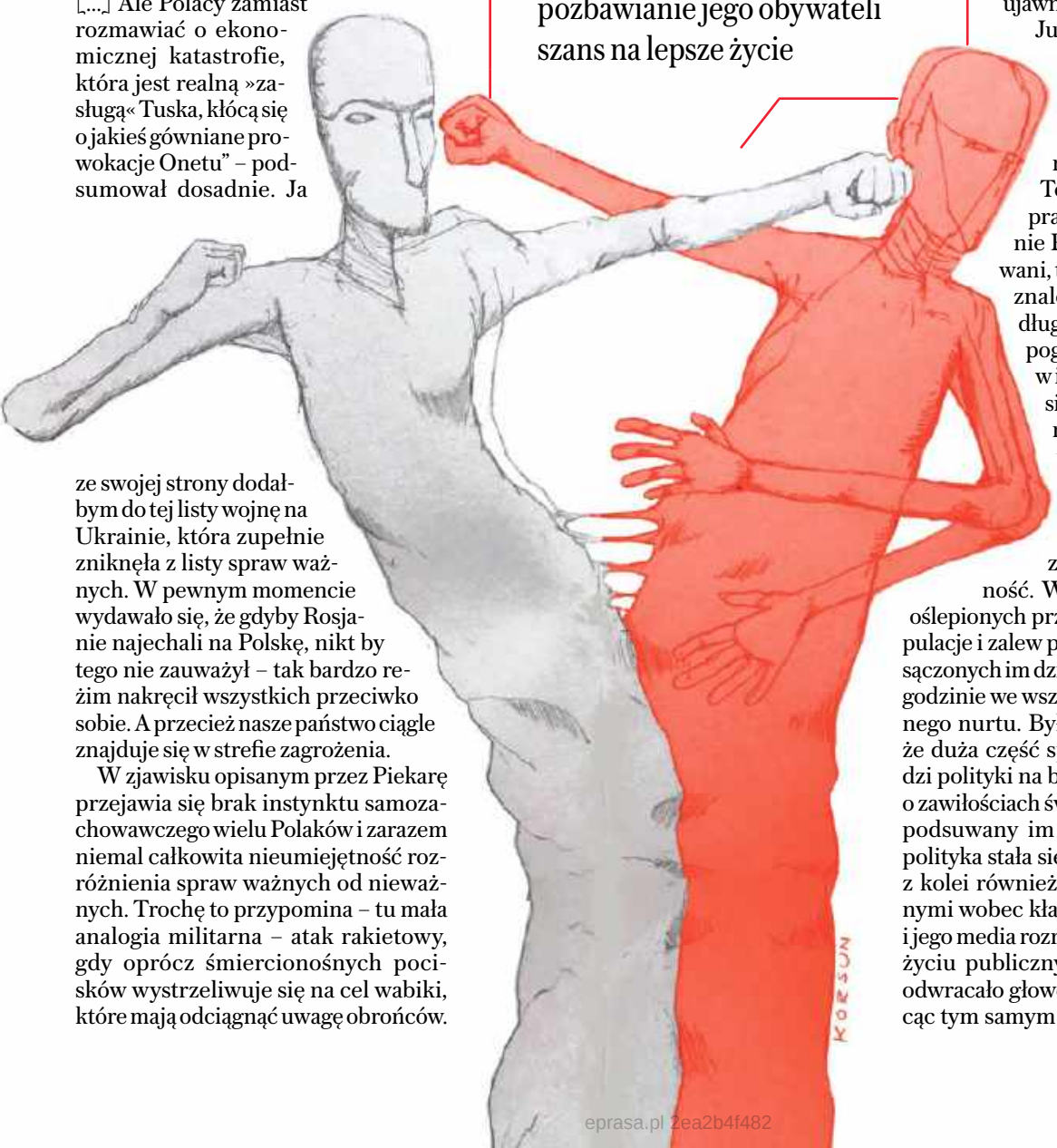

Już słyszę tłumaczenia, że takie mamy czasy i ludzie nie są w stanie skupić uwagi na czymkolwiek dłużej niż przez kilka sekund. To zarazem prawda i nieprawda, bo choć faktycznie Polacy są przebodźcowani, to jednocześnie można znaleźć wiele przykładów długich rozmów czy wręcz pogadanek wygłaszanych w internecie, które cieszą się bardzo dużą popularnością. Istotą jest bowiem nie długość przekazu, ale jego forma i wiarygodność.

Kluczowa jest tu zwłaszcza wiarygodność. Wielu Polaków zostało oślepionych przez propagandę, manipulacje i zalew piramidalnych kłamstw sączonych im dzień po dniu, godzina po godzinie we wszystkich mediach głównego nurtu. Było to o tyle łatwiejsze, że duża część społeczeństwa nie śledzi polityki na bieżąco, nie ma wiedzy o zawiłościach świata i łatwo przyjmuje podsuwany im przekaz. Dla innych polityka stała się zbyt odpychająca, co z kolei również czyniło ich bezbronnymi wobec kłamstw. Im więcej Tusk i jego media rozrzucili gnoju w polskim życiu publicznym, tym więcej ludzi odwracało głowę z obrzydzeniem, tracąc tym samym z oczu rzeczywistość.

eprasa.pl 2ea2b4f482

W pewnym sensie jesteśmy dziś w gorszej sytuacji niż w Peerelu, przynajmniej tym późnym. Wówczas bowiem istniała powszechna niechęć do reżimu, dziś – zwłaszcza w dużych miastach – mamy mnóstwo ludzi z totalnie zabetonowanymi umysłami. Nie trafia do nich żaden argument, odpowiedzią jest ściana lub wyzwiska.

Warto jednak zauważyć, że im więcej trucizny wlewa się w polskie życie publiczne, tym bardziej rośnie zbiorowa odporność. Widoczna stała się niezgoda coraz większej liczby Polaków na postępującą dewastację instytucji państwa oraz pozbawianie jego obywateli szans na lepsze życie. Zaczęło się poszukiwanie alternatywnych źródeł informacji. Tym można tłumaczyć sukcesy wspomnianych kanałów internetowych oraz prawicowych telewizji, takich jak wPolsce24 czy Republika. Być może znów idziemy podobną ścieżką co w Peerelu – w stronę zbiorowego otrzeźwienia.

GRA NA KOMPLEKSACH

Fenomen postpolityki próbował niedawno wytłumaczyć czytelnikom „Gazety Wyborczej" nieco już zapomniany Marcin Matczak. Oczywiście zrobił to po swojemu, wyjaśniając, że postpolityka jest narzędziem w ręku prawicowych populistów i dlatego subtelne umysły naszej intelektualnej elity jej nie rozumieją. „To konflikt kapitałów kulturowych" – pisze Matczak i nawiązując do Nawrockiego dodaje: „Tatuaż i ulica to symboliczne kody świata o niższym kapitale kulturowym – świata ludzi, którzy nie czytają tych samych książek i nie studiowali na tych samych uczelniach".

Wyższościowe rojenia Matczaka przywodzą oczywiście na myśl światłe myśli nieżyjącego już Marcina Króla, który pisał kiedyś, że nie odczuwa „duchowej wspólnoty" z prawicowymi chamami, bo oni „nie piją wina w Toskanii i nie jadają ostryg w Bretanii". Darując sobie jednak fantazje Matczaka, warto zauważyć, że pokazuje on prymitywny klasizm liberalnej elity. Karol Nawrocki nie może stać na czele państwa, bo pochodzi z nizin społecznych. Nieważne, że jest utalentowany, sam doszedł do obecnego statusu, zrobił doktorat, został prezesem IPN. Najważniejsze jest to, że źle się urodził i z tego powodu – bez względu na wszystko inne – powinien pozostać na samym dole. Co innego Trzaskowski lub jemu podobni. Mogą być głupi, leniwi, niektórzy nawet chlać i ćpać, ale są nasi, bo pochodzą z „dobrych domów".

Teoretycznie w bardzo chłopskim społeczeństwie, jakim są Polacy, taka postawa powinna spotkać się z natychmiastowym odrzuceniem. Tak jednak nie jest. Okazuje się, że prostacki klasizm jest bardzo atrakcyjny dla dużej części naszych rodaków. Wcale nie dlatego, że sami pochodzą z „dobrych domów", ale z tego powodu, że bardzo chcieliby nimi być. Dlatego nieudolnie udają tych lepszych, kulturalnych i europejskich. Dla liberalnej oligarchii są zwykłym pospólstwem, mają jednak tę zaletę, że można wykorzystać ich kosmiczne kompleksy do walki o władzę. To właśnie oni zasilali elektorat Trzaskowskiego i przystawek Platformy, to oni najmocniej pluli nienawiścią na Nawrockiego i jego wyborców. Przez 35 lat III RP wyhodowano całe stado takich ludzi, aby byli hamulcem blokującym jakiekolwiek realne zmiany w Polsce.

> Wielu Polaków zostało oślepionych przez propagandę, manipulacje i zalew piramidalnych kłamstw sączonych im dzień po dniu, godzina po godzinie we wszystkich mediach głównego nurtu

Wielu z nich być może nie ma złych intencji – po prostu mają słabe kręgosłupy lub są mało wyrafinowani intelektualnie. Tym łatwiej jest im wmówić, że są elitą, „solą tej ziemi". Głęboko w to wierząc, będą brutalnie i ordynarnie niszczyć każdego, kto chce innej, bardziej sprawiedliwej Polski.

Przede wszystkim są jednak egoistami, którzy myślą wyłącznie o sobie, swoim powodzeniu i swojej przyszłości. Nic nie jest dla nich od tego ważniejsze. Ich stosunek do otoczenia pozostaje czysto biznesowy, co samo w sobie nie jest niczym szczególnym, ale tu wyniesiono to do rangi fundamentu, na którym opiera się ich świat. Dlatego nie zrobią niczego bezinteresownie, nie pochylą się nad nikim, kto im się odpowiednio nie odwdzięczy. Tymi, którym się gorzej powiodło w życiu, zwyczajnie gardzą. Nie odrzuca ich kłamstwo ani cwaniactwo. Są produktem darwinizmu społecznego, kulturowymi dzikusami, a całe nieszczęście polega na tym, że jest ich tak wielu, co ma destrukcyjny wpływ na społeczeństwo oraz całe państwo.

NOWE PODZIAŁY

Wybory pokazały również, że oprócz podziałów idących wzdłuż politycznych okopów istnieją również takie, które idą w ich poprzek. Coraz bardziej są bowiem widoczne różnice międzypokoleniowe. A ich wpływ na rzeczywistość rośnie.

To właśnie młodym ludziom zawdzięczamy postępującą korozję politycznego duopolu, który rządzi Polską od 20 lat. Ich głosy mocno popchnęły w górę Sławomira Mentzena i Adriana Zandberga. Jak tak dalej pójdzie, to za kilka lat polska scena polityczna może się zupełnie zmienić. Czy byłaby to zmiana na lepsze, to już pytanie na odrębny artykuł.

Można jednak założyć, że w przyszłości polaryzacja polskiego społeczeństwa będzie tracić swój dotychczasowy charakter. Już podczas tych wyborów wzmocniły się osie podziału, które wyznaczają metryka oraz klasa społeczna. Przy nich podziały geograficzne, edukacyjne albo te wynikające ze źródła pozyskiwania informacji (internet czy telewizja) są wtórne. Ogólnie wychodzimy z wyborów jako społeczeństwo na skraju rozpadu, mocno pokiereszowane propagandą i emocjami. Niepokój budzi mała dociekliwość Polaków i fakt, że wielu z nich zadowala się podsuwanym przekazem. Na szczęście nie wszyscy tacy są. I to jest powiew optymizmu na przyszłość.

eprasa.pl 2ea2b4f482

PIOTR GURSZTYN

Mentzena sny o potędze

Alt-right odniósł w Polsce ogromny sukces. Jest na fali wznoszącej. Ale jednocześnie ma tendencje do szkodzenia samemu sobie. O kogo chodzi? O Konfederację Sławomira Mentzena oraz ugrupowanie Grzegorza Brauna. Czyli prawicę niepisowską

Pierwsza tura wyborów prezydenckich – ponad 4 mln głosów łącznie na Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. Ogromny sukces prawicy innej niż PiS. To wielki przyrost w porównaniu z poprzednimi wynikami Konfederacji, gdy obaj wymienieni politycy startowali w ramach tej samej struktury.

W wyborach parlamentarnych w 2019 r. Konfederacja dostała 1,256 mln głosów, Krzysztof Bosak w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. – 1,317 mln. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. Konfederacja została poparta przez 1,547 mln wyborców. Wskaźniki pokazują, że ten sukces odbył się kosztem „starej" prawicy, czyli Prawa i Sprawiedliwości. Na mapie wyników wyborczych widać, że Mentzen i Braun zdobyli największe poparcie na terenach wschodniej, południowej i centralnej Polski. Gmina, w której Braun uzyskał najwięcej głosów, to Podedwórze w powiecie parczewskim – 20,16 proc. (Nawrocki – 49,5 proc., Mentzen – 13,9 proc.). Wcześniej ta gmina i jej podobne w dużo większym stopniu głosowały na PiS i kandydatów związanych z tą partią.

Ciekawy jest przypadek rekordu Mentzena – padł w komisji wyborczej w miejscowości Dubicze Cerkiewne położonej przy granicy białoruskiej. Polityk zdobył tam 326 głosów. Drugi był Rafał Trzaskowski – 205, potem Karol Nawrocki – 156 i Grzegorz Braun z 98 głosami. Tamtejsza prawosławna ludność prawie w ogóle nie głosuje na prawicę. Kto więc zagłosował na trzech kandydatów prawicy? Wojsko, które tam stacjonuje, pilnując granicy. „Widzimy więc na przykładzie Dubicz, że mental polskiego wojaka to nie poszanowanie dla państwa prawa i liberalnej demokracji, a pochwała sił faszystowskich" – alarmowała wstrząśnięta tym autorka „Krytyki Politycznej". Jednak jest to też powód do zastanowienia dla kierownictwa PiS. Żołnierze są beneficjentem działań tej partii – Antoniego Macierewicza jako twórcy Wojsk Obrony Terytorialnej, a szczególnie Mariusza Błaszczaka, który znacznie rozwinął liczebnie siły zbrojne. Dziesiątki tysięcy młodych ludzi uzyskały zatem przyzwoicie wynagradzane miejsca pracy. A wiadomo, że w wojsku Konfederacja jest partią pierwszego wyboru dla najmłodszego pokolenia żołnierzy.

ALT-RIGHT, CZYLI CO?

Nurty polityczne zwane alt-rightem prężnie rozwijają się w wielu krajach Zachodu, zatem także w Polsce musi być podobna dynamika. Korzystają z tego Konfederacja i Grzegorz Braun.

Alt-right to ruch bardzo niejednorodny. Łączy ludzi o różnych poglądach, od nacjonalizmu po libertarianizm, ale połączonych wielką niechęcią do tego, co krajom Zachodu funduje panujący tam progresywny liberalizm. Wrogość wobec kneblowania swobody wypowiedzi za pomocą poprawności politycznej jest tym, co najbardziej łączy altrightowców. Strach przed cenzurą pozostaje jednym z najsilniejszych motorów tego nurtu.

Ta wielobarwność jest wielką siłą, bo do altrightowego ugrupowania łatwo dołączyć różnorodnym środowiskom. Początkowa dynamika rozwojowa jest duża, działa na zasadzie efektu kuli śnieżnej. Potem jednak zaczynają się schody. Różnorodność staje się problemem, a tego typu ugrupowania tracą sterowność. Poszczególne środowiska wszystko muszą ze sobą negocjować. Konfederacja już to odczuła, czego efektem było rozejście się z Grzegorzem Braunem. Miało to miejsce, gdy partia jest w opozycji, więc łatwo sobie wyobrazić kłopoty jej funkcjonowania w razie objęcia władzy lub wejścia w układ koalicyjny.

Rozwój alt-rightu wynika z przyczyny, której nadal nie rozumieją środowiska liberalno-lewicowe. Prawica przyciąga ludzi, którzy według liberalnych i lewicowych stereotypów nie powinni tam się znaleźć. Zaskakująco dużo ludzi niewierzących lub obojętnych religijnie, żyjących niezgodnie z tradycyjną chrześcijańską etyką seksualną itp. Ale oni nie chcą być liberałami ani lewicowcami. Dla nich ważne są inne punkty odniesienia – nacjonalizm, obrona niepodległości Polski przed unijnym centralizmem, strach przed liberalno-lewicową cenzurą i poprawnością polityczną, obawy związane z zalewem Europy przez imigrantów z innych kontynentów, antyglobalizm, wrogość wobec oligarchicznego establishmentu.

W polskim przypadku mamy do czynienia z zauważalnym przechodzeniem na stronę naszego krajowego alt-rightu wyborców „starej prawicy". Wielu z nich uznało, że PiS było zbyt mało antysystemowe, a oni domagają się większego radykalizmu. Na poziomie retorycznym polski alt-right dobrze odpowiadał na tę potrzebę. Politycy Konfederacji nigdy nie rządzili, więc szczególnie łatwo było im występować w roli recenzentów, wręcz Katonów oskarżających starą prawicę o bycie częścią systemu. Stąd chętnie powtarzane hasło, a właściwie obelga: „PiS, PO – jedno zło".

GORZKI SMAK PIWA

Do niedawna to wszystko działało znakomicie. Jeszcze wieczorem 24 maja br. Sławomir Mentzen był nowym królem na prawicy, udzielającym lub cofającym łaskę swojego poparcia. Ale wtedy nastąpiło zdarzenie, które finalnie może być dla niego ogromnym problemem. Najpierw była youtubowa rozmowa z Rafałem Trzaskowskim. Oceniana różnie, często krytycznie – jako zbyt łagodna dla kandydata Koalicji Obywatelskiej, zwłaszcza w porównaniu ze spotkaniem z Karolem Nawrockim. Ale nie był to wstrząs.

Tym jest nagranie ze spotkania przy piwie ze śmietanką systemu, czyli Rafałem Trzaskowskim, Radosławem Sikorskim, Sławomirem Nitrasem i ich świtą. Nie wiadomo, jak poważne będą dla Mentzena konsekwencje tego bratania się, ale wiadomo, że będą. Krzysztof Stanowski – człowiek, który ma moc upowszechnienia złośliwych etykietek, nazwał polityka Konfederacji breloczkiem Koalicji Obywatelskiej. To określenie oraz filmik i mnożące się memy zostaną z Mentzenem być może na zawsze. Wyrażona trzy dni później dezaprobata dla kandydatury Trzaskowskiego i sugestia, że lepiej głosować na Nawrockiego mogą być spóźnione i zbyt słabe wobec siły obrazu.

Dynamika polskiego alt-rightu bazuje na jego liderach. To dobra i zła wiadomość dla tego nurtu. Atuty i ograniczenia Grzegorza Brauna są powszechnie znane i wiadomo, że pułap jego poparcia jest zawieszony dość nisko. Sławomir Mentzen to zawodnik dużo cięższej wagi. Ma ambicje, aby wyjść poza dotychczasową niszę. Niewątpliwie to bardzo zdolny człowiek. Można wymieniać wiele jego zalet, które zaowocowały szybkim – jak na relatywnie młodego człowieka – sukcesem. Jednak te nagłe osiągnięcia, czyli coś, co można nazwać uderzeniem wody sodowej, jest też przyczyną ostatnich perturbacji. I możliwe, że zapowiedzią przyszłych problemów tego polityka oraz całego nurtu.

Mentzen zlekceważył długofalowe skutki swych działań. Nie potrafił przewidzieć, jaki będzie efekt jego wypowiedzi w Kanale Zero, gdy mówił o płatnych studiach, gwałcie itp. Krótkowzroczna była jego reakcja na „news" o kawalerce Karola Nawrockiego, na którego przypuścił dużo bardziej gwałtowny atak niż na Trzaskowskiego. Od polityków Konfederacji wiadomo, że to m.in. wynik walki wewnętrznej. Doświadczony politycznie Przemysław Wipler został odsunięty od Mentzena, a jego miejsce zajął mało sprawny politycznie, na dodatek owładnięty chęcią odwetu na swych konkurentach Stanisław Tyszka. To on nalega, aby Mentzen atakował PiS, a nie KO. Przekonał go teorią, że po tym,

eprasa.pl 2ea2b4f482

gdy Koalicja Obywatelska wyeliminuje Prawo i Sprawiedliwość z życia politycznego, monopolistą na prawicy będzie Konfederacja pod wodzą Mentzena.

Polityk Konfederacji miał chwilę zwątpienia w tę teorię po wspomnianym furiackim ataku na Nawrockiego. Dostał wiele sygnałów, że jest to źle odbierane przez jego wyborców i hamuje ewentualne przepływy poparcia dla niego ze strony elektoratu PiS. W oczach wahających się wyborców konserwatywnych Mentzen stawał się bowiem częścią systemu atakującego prawicę. Widzieli go w jednym rzędzie obok KO, TVN, „Gazety Wyborczej" czy Onetu.

Zdawało się, że konsekwencja będą straty wyborcze i możliwe, że jakieś nastąpiły. W pewnym momencie Mentzen przestał słuchać Tyszki. Ale ostatecznie wynik pierwszej tury okazał się dobry i Tyszka wrócił do łask. Bardziej pasuje on liderowi Konfederacji, bo Mentzen stale powtarza, że nie chce być Hołownią, Gowinem czy Lepperem. Zagrożenie widzi w tym, że PiS jest zbyt podobne, więc prędzej go „zje" niż odległa ideowo KO. Przekonanie to jest na tyle obsesyjne, że Mentzen nerwowo reaguje na najmniejszą nawet krytykę lub zaczepkę ze strony prawicy pisowskiej. A ataki ze strony KO ignorował, mimo że te były bardzo brutalne i szkodliwe, np. internetowy hejt pod płaszczykiem kampanii profrekwencyjnej czy nazywanie go faszystą, onucą itp.

Jest to powodem tego, co wydarzyło się w sobotę 24 maja. Dwa dni wcześniej Nawrocki pojechał do Torunia. Mentzen był wobec niego ostry na wizji, co więcej – mało uprzejmy przed i po emisji. Co jest tym bardziej uderzające, że nie był atakowany przez Nawrockiego, zwłaszcza jeśli porównamy to z agresją ze strony KO i Trzaskowskiego. A kandydata KO potraktował inaczej – był bardziej wyrozumiały na wizji i bardzo uprzejmy poza nią. Potem doszło do nieszczęścia, czyli spotkania przy piwie – zamiast „wywracania stolika", co przecież pozostawało stałym hasłem Mentzena. Wykazał się on brakiem intuicji politycznej i lekceważeniem uczuć własnych wyborców. Według krążących wewnątrz Konfederacji wersji miła atmosfera i piwo w pubie były efektem obecności na tym spotkaniu Piotra Osieckiego, która zaskoczyła komentatorów. To przedsiębiorca, kluczowa postać w aferze GetBack. Dlaczego się tam znalazł? Przecież Trzaskowski pojechał do pubu z Sikorskim, Nitrasem i ludźmi ze swojego sztabu. A tu nagle biznesmen wiązany z głośną aferą. Czy to on poprosił Mentzena o przyjazne potraktowanie Trzaskowskiego? W Konfederacji są ludzie przekonani o tym, że tak było, bo obaj panowie mają się znać z działalności biznesowej.

Mentzen mógł mu odmówić, gdyby przewidział koszty bratania się z wierchuszką KO. Ale on myślał, że ludzie szybko o tym zapomną. Trochę ponarzekają, a potem znów będzie na fali. Zadziwiające, że nie przewidział prawdziwej reakcji, a odczuł to od razu, gdy klienci jego pubu zaczęli skandować: „Byłeś w ZOMO, byłeś w ORMO, teraz jesteś za Platformą". Najgorszy dla niego musiał być fakt, że to jego dotychczasowi zwolennicy, zapewne znajomi. „Stali bywalcy" – jak od razu napisał o nich Przemysław Wipler. Tak samo nazwała ich Anna Bryłka. Oboje zrobili to, aby podkreślić swoją niechęć do fraternizacji z KO.

Oczywiście jako politycy Konfederacji muszą robić to ostrożnie, bo sprawa dotyczy ich lidera, ale wyborcy tej partii z miejsca wiedzieli, o co chodzi. Zdenerwowały ich późniejsze tłumaczenia Mentzena, który napisał, że picie piwa z politykami KO to tylko zdarzenie towarzyskie i przejaw gościnności z jego strony. Od razu wypomnieli mu, że nie znalazł czasu na piwo z Krzysztofem Bosakiem. To poważny zarzut, bo wynika z tego, że Mentzen marginalizuje Bosaka i narodowców, a brata się z partią, którą ideowi antyglobaliści i suwereniści zasadnie uważają za głównego wroga.

> Silne antypisowskie emocje Mentzena połączone z lekceważeniem zagrożeń ze strony Koalicji Obywatelskiej zaczynają niepokoić wyborców Konfederacji. Oni autentycznie obawiają się lewackiej rewolucji w scenariuszu domknięcia władzy w Polsce

CASUS HOŁOWNI

Silne antypisowskie emocje Mentzena połączone z lekceważeniem zagrożeń ze strony KO zaczynają niepokoić wyborców Konfederacji. Oni autentycznie obawiają się lewackiej rewolucji w scenariuszu domknięcia władzy w Polsce. Nie wykluczają, że ich partia podobnie jak PiS stanie przed groźbą delegalizacji. A Mentzen i jego obecne otoczenie nie podzielają tych obaw. Np. Tyszka zasłynął niedawno z wpisu, że nie boi się tego, iż KO zdelegalizuje Konfederację.

Dodajmy do tego przekonanie Mentzena i Tyszki, iż trzonem wyborców Konfederacji są liberalni drobni przedsiębiorcy zainteresowani niskimi podatkami, a nie jacyś byli pisowscy „prawacy" ze wschodniej Polski. Tych Mentzen zlekceważył, sugerując po awanturze z piwem, że jest otwarty na obie strony – zatem także na koalicję swojej antysystemowej i antyglobalistycznej partii z ugrupowaniem popierającym europejski centralizm, czyli KO.

To będzie jednak koniec snów o potędze. W chwili złożenia podpisu pod umową koalicyjną zakończy się przepływ wyborców z PiS, a setki tysięcy obecnych zwolenników Konfederacji przeniesie się do Grzegorza Brauna. I tym sposobem Sławomira Mentzena dotknie fatum, którego tak się boi. Powtórzy los Szymona Hołowni, od którego między wyborami prezydenckimi 2020 r. a 2025 r. odwróciło się 2 mln wyborców. Teraz jednak nastąpiła refleksja, czego wyrazem była deklaracja niechęci do Trzaskowskiego i sugestia poparcia Nawrockiego. Pytanie, czy jest to efekt namysłu nad obecną sytuacją kraju, czy taktyczny manewr wymuszony oburzeniem większości wyborców Konfederacji.

eprasa.pl 2ea2b4f482

W którym kierunku pójdzie Razem?

W swojej kampanii Adrian Zandberg kładł nacisk na sprawy socjalne, unikając debat ideologicznych. Czy będzie kontynuował tę strategię i otworzy się na współpracę z prawicą?

GORAN ANDRIJANIĆ

To był jeden z ciekawszych momentów w debatach kandydatów przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. Była to rozmowa, którą oficjalnie zorganizowała TVP w likwidacji. Między dwojgiem lewicowych kandydatów – Adrianem Zandbergiem i Magdaleną Biejat – doszło do ostrej wymiany zdań.

Zandberg, kandydat partii Razem, zapytał kandydatkę Nowej Lewicy, dlaczego to ugrupowanie nic nie robi w kwestiach społecznych w rządzie Donalda Tuska. Po nieprzekonujących wyjaśnieniach Biejat, że w przeciwieństwie do niego ona próbuje coś zmienić, Zandberg odpowiedział: „Magdo, o czym ty mówisz? Przecież bez was ten rząd nie ma większości. Gdybyście się postawili w tej sprawie, to mogliście to przeforsować [wzrost wydatków budżetowych na ochronę zdrowia – przyp. red.]. Naprawdę są ważniejsze rzeczy niż stołek marszałka Sejmu dla Włodzimierza Czarzastego. To są sprawy ludzi".

Można twierdzić, że tego wieczoru Zandberg zapewnił sobie na lewicy przewagę nad konkurentką. Jak wiemy, w pierwszej turze wyborów otrzymał on 4,86 proc. głosów, a Biejat – 4,23 proc. To niewielka przewaga, ale dobry wynik dla małej partii, dla której – bądźmy realistami – nawet takie małe sukcesy wiele znaczą.

ALTERNATYWNA LEWICA

Kłótnia między starymi przyjaciółmi (zwracali się do siebie po imieniu) ma głębsze przyczyny niż ewentualne osobiste animozje. Tło ich dyskusji symbolizuje napięcie, które od dawna istnieje w środowisku polskiej lewicy między tzw. lewicą postępową a lewicą społeczną. Mówiąc najprościej, główną różnicą między nimi jest to, że pierwsza zajmuje się przede wszystkim ideologią, podczas gdy druga prawdziwymi problemami ludzi.

W swojej kampanii Zandberg kładł nacisk na konkretne kwestie, unikając klasycznych debat ideologicznych. W tym samym czasie Biejat pospieszyła do Oleśnicy, aby zrobić zdjęcie z Gizelą Jagielską, czyniąc bohaterką kobietę, która zabiła dziecko w dziewiątym miesiącu ciąży. Zandberg w debatach, w których brał udział, był merytoryczny, podczas gdy kandydatka Nowej Lewicy w większości powtarzała stare, antypisowskie hasła i bardzo się irytowała, gdy ktoś ją pytał, co lewica robi w rządzie z neoliberałami.

W opinii niektórych analityków Zandberg poprowadził swoją kampanię w kierunku polityki, którą niektórzy nazywają alt-left, dystansując się przy tym od lewicy postkomunistycznej (w jednym z wywiadów nazwał gen. Wojciecha Jaruzelskiego dyktatorem) i ta strategia przyniosła efekty. Czy będzie ją kontynuował?

Nie ma potrzeby szczegółowo wyjaśniać, jak silna jest w Polsce tradycja patriotycznej lewicy. Może warto jedynie zauważyć, że nasz kraj stanowi wyjątek w Europie Środkowej, ponieważ historycznie w innych krajach regionu lewica obrała głównie kierunek komunistyczny. Debata o potrzebie nowego ukształtowania patriotycznej i społecznie wrażliwej lewicy w demokracji III RP trwa od dawna. Należy tu wymienić dwa ważne teksty publicystyczne.

Jeden to tekst „Alt-Left" dr. Jarosława Tomasiewicza opublikowany w czasopiśmie „Nowy Obywatel" jeszcze w 2015 r. Tomasiewicz pisze tu o zjawisku „alternatywnej lewicy" w USA, ruchu, który jest odpowiedzią na fakt, że klasa robotnicza coraz częściej głosuje na prawicę („alt-left" jest parafrazą pojęcia „alt-right", prawicowego ruchu przeciw mainstreamowi). Powrót do kwestii ekonomicznych, przeciwstawianie się „lewicy kulturowej", która ma obsesję na punkcie kwestii ideologicznych, powrót do klasy ludowej i walka przeciwko elityzmowi i pogardzie wobec zwykłego człowieka

Fot. Ludmyla Skwarczyńska

eprasa.pl 2ea2b4f482

– oto niektóre z głównych cech lewicy alternatywnej. Czy te postulaty powinny zostać skopiowane w Polsce? – pyta autor i natychmiast odpowiada, że wystarczy, aby polska lewica powróciła do swoich korzeni.

Drugi ważny tekst to oczywiście artykuł publicysty Rafała Wosia pt. „Lewico, czas na współprace z PiS" opublikowany w 2018 r. na portalu Gazeta.pl. Po tym tekście, w którym autor zaproponował lewicy współpracę z polityką socjalną PiS, stracił pracę w lewicowym tygodniku „Polityka", a następnie w liberalno-katolickim „Tygodniku Powszechnym". Człowiek, który do 2018 r. był jednym z najbardziej szanowanych dziennikarzy swojego pokolenia, nagle stał się *persona non grata*.

Z PRAWICĄ NIE PO DRODZE

Dziś Woś jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność" i uważa, że jego propozycja współpracy lewicy i PiS jest daleka od realizacji.

– Po pierwsze, uważam, że wynik Zandberga wcale nie był dobry. Niecałe 5 proc. to nie jest dużo, zważywszy na partię, która poza przyłożeniem ręki do powołania Donalda Tuska na premiera na żadnym etapie nie brała odpowiedzialności za rządzenie i próbuje się ustawiać jako opozycja. Wśród tych 5 proc. ok. 3 proc. to wyborcy partii Razem z przyległościami. 2 proc. to z kolei wyborca sytuacyjny, który historycznie trafił się Zandbergowi w tej konkretnej kampanii prezydenckiej – komentuje Woś. I kontynuuje: – Alt-left wciąż jest wyłącznie w sferze publicystycznego przypuszczenia. Zandberg na żadnym etapie tej kampanii nie był kandydatem rokującym na pójście Razem w stronę alt-leftu. W tej chwili jedynym politykiem, który miałby szansę na bycie jego symbolem, jest Paulina Matysiak. Jej pozycja wewnątrz partii (zwłaszcza wśród aktywistów) jest słaba. Matysiak musiałaby zacząć sama liczyć, że Razem, chcąc nie chcąc, dołączy do niej, gdy zobaczy, że to dla tej partii jedyna szansa na przetrwanie w kontekście następnych wyborów.

Pesymizm Wosia podziela inny publicysta, który od kilku lat promuje ideę alternatywnej lewicy – Remigiusz Okraska, redaktor naczelny „Nowego Obywatela".

– Sądzę, że statystycznie zauważalny wynik wyborczy Zandberga nie zmieni wiele na przyszłość – ocenia. – To wciąż jest ta sama partia i ci sami ludzie, z tym samym światopoglądem, uwikłaniami i powiązaniami co dawniej. Być może socjalny frazes w ich wykonaniu ulegnie pewnemu cynicznemu i koniunkturalnemu wzmocnieniu, ale nadal będzie to przede wszystkim lewica wielkomiejska, kulturowo liberalna. Na pewno doktrynalnie i środowiskowo zajadle niechętna wobec nawet bardzo socjalnej prawicy, a spolegliwa w chwili próby wobec liberałów i rozmaitych świętości tego środowiska.

> Zandberg na żadnym etapie kampanii nie był kandydatem rokującym na pójście Razem w stronę alt-leftu. W tej chwili jedynym politykiem, który miałby szansę na bycie jego symbolem, jest Paulina Matysiak – ocenia Rafał Woś

Okraska uważa, że dobry wynik Zandberga nie musi oznaczać poszerzenia jego elektoratu: – Nie sądzę, aby taka lewica zdobyła wielkie wpływy wśród zwykłych ludzi. Wynik Zandberga opierał się przede wszystkim na wielkomiejskiej młodzieży i osobach lepiej sytuowanych, a niemal zupełnie nie przekonał on do siebie środowisk plebejskich.

Jednocześnie socjolog i publicysta Jan Śpiewak, jeszcze jeden wpływowy zwolennik „innej lewicy", uważa, że kampania Zandberga przyniosła pewne nowe elementy: – Dziś wszyscy się zastanawiamy, czy za retoryczną zmianą w kampanii pójdą również długofalowe zmiany w strategii politycznej. Choć Zandberg nie zrezygnował ze swoich wartości, to jednak w kampanii położył wyraźny nacisk na kwestie socjalne, społeczne oraz na wizję nowoczesnej Polski. Najbardziej charakterystyczne było jednak jego jednoznaczne zdystansowanie się wobec politycznego establishmentu.

Według Śpiewaka wysokie poparcie wśród najmłodszych wyborców dla Zandberga wynikało przede wszystkim z ich odrzucenia istniejącego duopolu partyjnego.

– Podobnie jak Mentzen musi balansować między PiS a PO, tak Zandberg będzie musiał znaleźć swoją drogę – w opozycji zarówno do rządzącej koalicji, jak i największej partii opozycyjnej. Przypadek Hołowni pokazuje, jak łatwo można roztrwonić takie poparcie. Ten elektorat nie jest silnie przywiązany do szyldów partyjnych, oczekuje po prostu realnej zmiany w polityce – wyjaśnia Śpiewak.

Ostrzega, że na drodze do współpracy lewicy i prawicy stoją poważne przeszkody: – Obecnie wojnę kulturową wygrywa prawica. To ona narzuca tematy debaty publicznej i to ona wygrała spór o aborcję, migrację czy brak legalizacji związków partnerskich. Trudno sobie wyobrazić, by Zandberg całkowicie porzucił te postulaty, bo to by oznaczało utratę jego najbardziej lojalnych wyborców. Lewica znajduje się więc w strategicznej defensywie. Pytanie brzmi, czy wojna ekonomiczna może zastąpić wojnę kulturową.

W opinii Śpiewaka w sprawach ekonomicznych Jarosław Kaczyński i Adrian Zandberg często brzmią bardzo podobnie: – Obaj są państwowcami, którzy wiedzą, jak ważną rolę odgrywa sprawnie działająca administracja publiczna, usługi publiczne i równość ekonomiczna. O ile można sobie wyobrazić zmianę podejścia do migracji, o tyle trudno uwierzyć, że lewica mogłaby się wycofać z poparcia dla legalizacji aborcji do 12. tygodnia czy związków jednopłciowych. To wyznacza wyraźne granice ewentualnej współpracy z prawicą, która kwestie światopoglądowe uczyniła centrum swojej agendy politycznej.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Zorro na ogórku

Do historii prędzej przejdą gadżety wyborcze z ostatniej kampanii niż większość kandydatów na prezydenta

STANISŁAW JANECKI

Ocean słów nikogo nie kręci. Bijatyki trudno się spodziewać, szczególnie podczas telewizyjnych debat. Happeningi, np. z polewaniem farbą, też nie przystoją kampanii prezydenckiej. Zostają więc gadżety, które mają potencjał, by zostać hitami kampanii. Są gadżety gotowe i gadżety niespodzianki. Gadżety, które mówią i te, o których się mówi. Gadżet to skrót, błysk, zaskoczenie, przełamanie. Coś jak „ready mades" Marcela Duchampa. To przedmioty codziennego użytku, które artysta wybierał i prezentował jako dzieła sztuki, nadając im nowy kontekst i znaczenie poprzez sam akt wyboru, bez konieczności ich modyfikacji czy własnoręcznego wykonania. Gadżetom z kampanii prezydenckiej 2025 r. brakuje tej semantycznej nadwyżki, jaką Duchamp nadał pisuarowi czy kołu rowerowemu, a publiczność akceptowała, bojąc się posądzenia o ignorancję.

13 kandydatów na prezydenta zachowywało się raczej jak naiwni amatorzy, artyści prymitywiści, ale nawet wtedy gadżety uruchamiały własną narrację. Raz zabawną, raz poważną. Można je podzielić na uniwersalne, kampanijne i związane z debatami albo na funkcjonalne i symboliczne, neutralne i bojowe. Akceptacja jakiegoś kandydata czy jego poglądów często zaczyna się od gadżetu do programu, a nie odwrotnie. Bez nich kandydaci są jak rozmyty drugi plan. Ci z gadżetami wyskakują z tła, nawet jeśli potem znikną z pamięci.

GADŻETY NEUTRALNE

Ogórki

Rafał Trzaskowski promował podczas kampanii ogórki konserwowe, co miało dowodzić wielkiego sukcesu eksportowego polskiej firmy oraz potwierdzać ogromne możliwości polskich przedsiębiorców. Pokazywał je w takim kontekście, jakby to był bardzo cenny i oryginalny wynalazek. Narracja o „polskości" ogórków załamała się, gdy okazało się, że niektóre dostawy były wyprodukowane w Niemczech.

Trzaskowski wykorzystał też wafelki Prince Polo – jako przykład patriotyzmu gospodarczego oraz współpracy międzynarodowej, szczególnie z USA (produkująca je Olza należy do amerykańskiego koncernu Mondelez). Karol Nawrocki ironicznie nazwał go potem „waflem" i skrytykował sprowadzanie relacji polsko-amerykańskich do słodyczy, wskazując na poważniejsze symbole współpracy, jak F-35 czy HIMARS.

Czerwone korale

Joanna Senyszyn uczyniła czerwone korale jednym ze swoich znaków rozpoznawczych. Sama mówiła, że łączą one w sobie patriotyzm oraz ludowość. To krakowskie, drewniane korale, które otrzymała, gdy była europarlamentarzystką z Małopolski. Są kojarzone z hasłem:

eprasa.pl 2ea2b4f482

„Czerwone jak Senyszyn", co nawiązuje do jej lewicowych poglądów i charakterystycznego stylu. 25 maja 2025 r. kandydatka udzieliła poparcia Rafałowi Trzaskowskiemu, a później, podczas tzw. marszu patriotów, przekazała jeden sznur (z trzech) jego żonie Małgorzacie Trzaskowskiej.

Klucz hydrauliczny

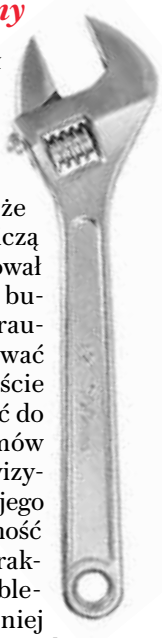

Marek Woch występował w debatach z kluczem hydraulicznym. Kandydat jest wprawdzie doktorem nauk prawnych, ale chciał podkreślić, że ukończył także zasadniczą szkołę zawodową i pracował jako monter instalacji budowlanych. Klucz hydrauliczny miał symbolizować jego praktyczne podejście do polityki oraz zdolność do „naprawiania" problemów państwa. Klucz był rekwizytem mającym podkreślić jego autentyczność, niezależność od partyjnych elit i praktyczne podejście do problemów społecznych. Później został wylicytowany za 50 tys. zł.

Bluza „Ratuj Ignasia"

Na debatę w TVP (12 maja 2025 r.) Krzysztof Stanowski przyszedł ubrany w bluzę z napisem: „siepomaga.pl/ratuj-ignasia" i wizerunkiem czteroletniego Ignasia Lissa chorego na dystrofię mięśniową Duchenne'a. Akcja była formą pomocy (zebrano całą sumę), wzmocniła też wizerunek Stanowskiego jako osoby empatycznej i niezależnej. Krytykował on polityków za stworzenie państwa, w którym „rodzice muszą żebrać o pomoc u znanych osób". Zbiórka dla Ignasia przełożyła się także na wzrost oglądalności mediów Stanowskiego i ugruntowanie jego pozycji jako wpływowego influencera.

Hulajnoga

Po spotkaniach z wyborcami Sławomir Mentzen często wskakiwał na hulajnogę elektryczną i znikał. Tłumaczono, że pojazd to symbol mobilności, nowoczesności, energii i bliskości z wyborcami – w kontrze do konkurentów poruszających się limuzynami. Dla przeciwników był to jednak symbol ucieczki, żeby unikać niewygodnych pytań.

GADŻETY BOJOWE

Zdjęcie z pedofilem

23 maja 2025 r. podczas debaty w TVP Karol Nawrocki pokazał zdjęcie, na którym Rafał Trzaskowski został sfotografowany z mężczyzną określonym jako „pedofil z Targówka". Wręczył je prezydentowi Warszawy w odpowiedzi na pytanie o jego rzekome powiązania ze światem przestępczym, podnosząc temat finansowania przez urząd jednej z warszawskich dzielnic działalności Roberta K., skazanego za pedofilię. „Jak pan spojrzy policjantom w oczy, jak przekazał mu pan 400 tys. złotych?" – zwrócił się do rywala Nawrocki. Trzaskowski odpowiedział, że zdjęcia z nim robią sobie setki tysięcy ludzi, którzy nie są jego znajomymi.

Tęczowa flaga

Podczas debaty prezydenckiej 11 kwietnia 2025 r. w Końskich Karol Nawrocki wręczył Rafałowi Trzaskowskiemu tęczową flagę. Ten gest miał zasugerować, że jego rywal „ucieka od tej symboliki", żeby nie tracić głosów. Trzaskowski szybko zdjął tęczową flagę z pulpitu i schował ją. Chwilę później Magdalena Biejat, kandydatka Lewicy, podeszła do niego i poprosiła o tęczową flagę, mówiąc: „Ja się jej nie wstydzę, chętnie ją od pana przejmę". Następnie postawiła flagę na swoim pulpicie, dodając: „Jestem dumna z Polski i z tego, że nasi obywatele, również ci tęczowi, wybierają Polskę". Zachowanie Trzaskowskiego powszechnie uznano za ryzykowne z punktu sukcesu widzenia wyborczego.

Biało-czerwona

Podczas debaty w Końskich (11 kwietnia 2025 r.) Karol Nawrocki postawił przed sobą miniaturowe flagi: biało-czerwoną i tęczową. Tę drugą przekazał Rafałowi Trzaskowskiemu. Ten przyniósł biało-czerwoną flagę na debatę organizowaną 28 kwietnia 2025 r. przez „Super Express". Twierdził, że Nawrocki zostawił ją po debacie w Końskich. „Cieszę się, że ta flaga jest ze mną, ta flaga, którą pan porzucił. Wszyscy wiemy, co to oznacza porzucić flagę na placu boju, każdy to wie z historii Polski" – powiedział. Nawrocki odpowiedział, że zostawił flagę jako „symbol zwycięstwa", porównując to do historycznych gestów polskich żołnierzy, którzy zostawiali biało-czerwone w miejscach wojennych triumfów.

Piwo

W USA od 2000 r. miernikiem bliskości kandydata ze zwykłym obywatelem była odpowiedź na pytanie: „Z którym kandydatem poszedłbyś na piwo?". Z polskiej kampanii w 2025 r. zostanie zapamiętany trunek pity w toruńskim pubie Mentzena przez gospodarza w towarzystwie Rafała Trzaskowskiego, Radosława Sikorskiego

Fot. Zack Masternak/Klub Lewicy, Krzysztof Radzki/East News, Shutterstock

eprasa.pl 2ea2b4f482

oraz Sławomira Nitrasa i Wioletty Paprockiej. Trzaskowski chciał w ten sposób dotrzeć do wyborców Konfederacji i pozyskać część z nich. Wspólne piwo wywołało jednak oburzenie części wyborców Konfederacji, którzy uznali to za „zdradę" lub „sprzedanie się establishmentowi". Sam Mentzen twierdził, że to „piwo" mogło zmobilizować prawicę do głosowania na Nawrockiego, jednocześnie demobilizując lewicę, która była rozczarowana „brataniem się" Trzaskowskiego z liderem prawicy.

Piwo z Mentzenem wpisało się w modę na „politainment", czyli łączenie polityki z rozrywką. Nawiązywało do strategii „piwnego populizmu", stosowanej np. przez Nigela Farage'a w Wielkiej Brytanii.

Snus

Podczas debaty 23 maja 2025 r. w TVP Karol Nawrocki zasłonił usta i włożył coś pod wargę. Był to snus – czy white snus, czyli doustna używka nikotynowa (white snus zawiera włókna roślinne i nikotynę zamiast tytoniu). Nawrocki nazwał to „gumą nikotynową" i tłumaczył, że wykorzystał ją „by nie zasnąć podczas tyrad Rafała Trzaskowskiego".

Gdy pojawiły się sugestie, że Nawrocki zażywał nielegalne substancje, ten zaproponował zrobienie testów na obecność narkotyków u liderów przed decydującym starciem. Testy przeprowadzone 25 maja 2025 r. nie wykazały obecności nielegalnych substancji w organizmie Nawrockiego. Rafał Trzaskowski nie poddał się badaniom.

Biała koperta

Podczas debaty 12 maja 2025 r. w TVP Rafał Trzaskowski wręczył Karolowi Nawrockiemu białą kopertę. Następnego dnia wyjaśnił, że znajdował się w niej numer konta bankowego Domu Pomocy Społecznej w Gdańsku, w którym przebywał Jerzy Ż., starszy mężczyzna, od którego Nawrocki kupił niewielkie mieszkanie i cytat: „Jeśli nie wiesz, jak się zachować – zachowaj się przyzwoicie". W odpowiedzi Karol Nawrocki przygotował własną kopertę dla Trzaskowskiego zawierającą pozew o eksmisję rodziny z sześcioletnim dzieckiem złożony przez Warszawę (pod zarządem Trzaskowskiego). Nawrocki wezwał rywala do wycofania pozwu i nieprzystawania do „czyścicieli kamienic i mafii reprywatyzacyjnej".

Postać i strój Zorro

Podczas wiecu Rafała Trzaskowskiego w Tarnowie (22 maja 2025 r.) przebrany za Zorro mężczyzna wywiesił baner z hasłem „ByleNieTrzaskowski". Strój i postać Zorro to symbol oporu i wolności. To zamaskowany mściciel, który walczy z niesprawiedliwością i uciskiem władzy, w tym przypadku Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego. Ironia polegała na tym, że policja potraktowała tę akcję jako przestępstwo, co wywołało dyskusję o nadmiernej reakcji i skłonności do nadużywania władzy. Później politycy i inne publiczne osoby pojawili się w strojach Zorro, promując hasło: „Wszyscy jesteśmy Zorro" jako symbol oporu wobec cenzury i ograniczeń wolności słowa.

Czarna teczka

Grzegorz Braun pojawiał się w kampanii i na debatach z czarną teczką. W 2020 r. w programie „Punkt Widzenia" stwierdził, że w teczce znajduje się „dla każdego coś przykrego". Nigdy nie ujawniono, co konkretnie w niej było, ale ona sama budowała aurę tajemniczości i wzmacniała wizerunek Brauna jako polityka, który „zawsze jest przygotowany" do konfrontacji. Niektórzy traktowali teczkę jak teatralny rekwizyt. Dla przeciwników była ona symbolem „arogancji i pychy", dla zwolenników – dowodem na przygotowanie Brauna i jego odwagę w stawianiu czoła „systemowi".

Dwa miecze

Podczas pobytu w Olsztynie Adrian Zandberg wystąpił z dwoma skrzyżowanymi mieczami. Jak sam mówił: „Jeden na potwory, drugi na Konfederację". Szybko pojawiły się przeróbki – np. wersje: jeden na deweloperów, drugi na flipperów. Sztab i zwolennicy poszli za ciosem, budując narrację wokół rycerza, wojownika, siły.

Pamiętajmy jednak, że w tej kampanii nie chodziło o gadżety.

Reklama | 03/0325/F

Rok 2025 został ogłoszony przez ONZ MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Polska spółdzielczość finansowa jest częścią światowej społeczności.

Pomagamy, troszczymy się, jesteśmy blisko.

Dzięki spółdzielniom świat staje się lepszy

FUNDACJA STEFCZYKA

eprasa.pl 2ea2b4f482

Ciężko zrobić satyrę z czegoś, co bywa satyrą

Kim są naprawdę Barbara Niejaka i Radosław Świrowski z serialu telewizji wPolsce24 „Rudy i brudy”? Mogli się o tym przekonać widzowie, którzy w minionym tygodniu oglądali „Budzimy się”, czyli poranek naszej stacji. Odwiedzili nas aktorzy występujący w serialu: ***Jagoda Rall*** i ***Przemysław Tejkowski***. Chcemy, by i czytelnicy tygodnika „Sieci” poznali tych świetnych aktorów. Widzowie mogli zobaczyć ich w dwóch odsłonach. Najpierw pojawili się w studiu ucharakteryzowani na odtwarzane postaci, a już po kilkunastu minutach pokazali swoje prawdziwe twarze. Rozmowę prowadzili Dorota Łosiewicz, Małgorzata Gałka i Jacek Łęski

Aktorzy w rolach Barbary Niejakiej i Radosława Świrowskiego

Fot. wPolsce24

Dorota Łosiewicz: Pani ministro, przed wejściem do studia padło z pani ust bardzo niecenzuralne słowo, które przypadkiem usłyszałam, przechodząc. Takie słowo w ustach ministry? Nie przystoi!

Barbara Niejaka: To ja powiedziałam?

D.Ł.: Tak mi się wydawało.

B.N.: To na pewno nie byłam ja. To niemożliwe.

DŁ: Z pani ust wyszło...

B.N.: Z moich ust? A to nie były moje usta!

DŁ: A czy to pani ręce trzymają książkę „Rafael”?

B.N.: A tak. Bardzo chcę polecić tę książkę! Stale noszę ją przy sobie, bo cały czas znajduję wspaniałe fragmenty.

Jacek Łęski: Mogę zobaczyć? [bierze książkę]

D.Ł.: Jacku, oddaj „Rafaela” pani ministrze!

eprasa.pl 2ea2b4f482

Gośćmi programu „Budzimy się" byli aktorzy serialu „Rudy i brudy" – od prawej Przemysław Tejkowski i Jagoda Rall. Program prowadzili: Małgorzata Gałka, Dorota Łosiewicz i Jacek Łęski

Fot. wPolsce24

B.N.: Ech, ja i tak zawsze noszę go w sercu i przy sercu, a serce mam po lewej stronie.

J.Ł.: Otworzyłem na losowo wybranej stronie: „Ten psychopata raczej nie przewiduje nagród". O czym to było?

Radosław Świrowski: O wrogach politycznych. Na pewno.

B.N.: Dziękuję ci, Radku. Polecam wszystkim zapoznanie się z tą literaturą. Od przyszłego roku, kochani uczniowie, na maturze trzeba ją będzie znać na pamięć. Całą.

Małgorzata Gałka: „Pan Tadeusz" jest już passé.

B.N.: Oczywiście. Młodzież nie będzie się uczyć o jakimś panu Tadeuszu, jak mamy naszego pana Rafaela.

D.Ł.: Pożartowaliśmy, a teraz bardzo bym się chciała dowiedzieć, jak się przygotowujecie do odtwarzanych ról.

Przemysław Tejkowski (czyli Radosław Świrowski): To bardzo miła przygoda, a aktorstwo jest tak cudownym zawodem, że ciągle spotyka nas coś nowego. Nie spodziewaliśmy się, że weźmiemy udział jeszcze w takiej przygodzie. O tyle łatwo było się przygotować m.in. dlatego, że dzięki Jagodzie bardzo szybko udało nam się skompletować wspaniały zespół. Wcześniej się nie znaliśmy. Na planie i poza nim czujemy się wspaniale, jak rodzina.

J.Ł.: To trochę jak w „Misiu", tam też wszyscy są jedną wielką rodziną.

P.T.: Trochę tak. W „Misiu" też jest kolektyw i plan filmowy. W „Tenkraju", który odtwarzamy, jest więcej podobieństw do „Misia". Jeśli chodzi o moją postać, to niezbyt lubię pierwowzór, który odtwarzam, ale wcielanie się w kogoś takiego jest niesamowitą przygodą aktorską, bo jak się gra tę postać, to zaczyna się ją lubić. Aktorstwo może łagodzić obyczaje i doprowadzić do pojednania narodowego.

Jagoda Rall (czyli Barbara Niejaka): Dla mnie to też jest wspaniałe przeżycie, jeśli chodzi o zespół aktorski, atmosfera jest wspaniała. Przygotowanie roli było dla mnie dużym wyzwaniem, zwłaszcza że mam zupełnie inne warunki fizyczne niż moja postać. Oglądałam praktycznie wszystkie materiały na YouTube, jakie tylko były, żeby poznać charakterystyczne cechy pierwowzoru.

M.G.: A co ona ma w sobie charakterystycznego, co pozwala ją naśladować.

J.R.: Jest bardzo dystyngowana, bardzo elegancka, stonowana, trudno ją przerysować, ma bardzo plastyczne gesty, nie daje się wyprowadzić z równowagi. Ciężko było więc znaleźć coś, do czego można się przyczepić w sposób oczywisty.

D.Ł.: Kto jest autorem scenariusza?

P.T.: Tego nie wiemy. Dostarcza nam go reżyser Maciej Muzyczuk, który ma kontakt z autorem. Tekst jest modyfikowany w trakcie nagrań.

eprasa.pl 2ea2b4f482

J.R.: Teraz te odcinki są coraz bardziej pisane pod nas. Pod to, co wnosimy. Basia jest zakochana w Rafaelu i ten wątek się rozwija. To wyszło przy okazji jakiegoś wywiadu i tak zostało. Moja Basia kieruje się zasadą: „Za Bonżurem panny sznurem".

J.Ł.: A jak reagujecie na recenzje?

J.R.: Komentarze na kanale YouTube są bardzo pozytywne.

P.T.: A branżowe media wolą przemilczeć temat, co znaczy, że nam to wyszło. Stworzyliśmy fajne postacie, fajną społeczność rządzącą „Tenkrajem". Oczywiście zastanawialiśmy się, czy przychodzić do konserwatywnej telewizji, ponieważ spodziewaliśmy się „dusznej" atmosfery...

D.Ł.: Dziś akurat jest bardzo duszno, bo padła nam klimatyzacja. [śmiech]

P.T.: Mamy w „Tenkraju" swoje problemy, bokser nas gniecie, musimy chodzić z biało-czerwonymi chorągiewkami.

J.Ł.: A to jest bardzo przykre.

P.T.: Poświęcamy się dla „Tenkraju".

D.Ł.: Czy śledzicie politykę na co dzień, żeby być w temacie?

P.T.: Ja śledzę i jestem zdeklarowany w poglądach, ale nie znam poglądów kolegów z planu. Oni się nie interesują polityką.

J.R.: Ekipa aktorska pochodzi z różnych środowisk i na planie w ogóle nie ma takiego podejścia, że robimy coś politycznego przeciwko komuś. Wszyscy się cieszą, że mogą pracować w zawodzie, że możemy się spotkać, grać. Do tej pory nigdy nie oglądałam tylu politycznych materiałów co teraz.

P.T.: Stworzyliśmy swój świat i relacje w tym świecie. Czasami mniej zorientowanym kolegom tłumaczymy konteksty, które są osadzone w bieżączce.

M.G.: Polska polityka nadaje się na materiał satyryczny?

J.R.: Bardzo! Nieraz ciężko zrobić satyrę z czegoś, co bywa satyrą. Więc musimy głęboko kopać.

P.T.: Z absurdami najlepiej walczy się humorem.

[Po kilkunastu minutach Jagoda Rall i Przemysław Tejkowski wracają do studia bez charakteryzacji].

D.Ł.: Jesteśmy w szoku, bo jesteście zupełnie nie do poznania.

P.T.: Gdyby Banderuk chciał nas teraz aresztować, to nie byliśmy my.

J.Ł.: I to nie były pani usta.

J.R.: W życiu! Takie małe, wąskie, zupełnie nie moje!

D.Ł.: I nie boicie sią pokazać prawdziwych twarzy, nie boicie się hejtu?

P.T.: Znamy się jak łyse konie. Na nas wylano już tyle wiader pomyj z różnych powodów, że po prostu się tym nie przejmujemy. Jesteśmy przyzwyczajeni. Taki mamy zawód. Ale faktycznie baliśmy się o to, czy skompletujemy załogę do serialu. To zadanie spadło na mnie. A ja jestem tak pracowity jak nasz Ronald Kieł i wiedziałem, że muszę sobie wybrać kogoś, kto mi pomoże i wybrałem Jagodę. Ona jest młodsza, siedzi w społecznościówkach.

J.R.: Tak było!

P.T.: Rozmawialiśmy, czy ludzie nie będą się bali zagrać w tym serialu, ale koledzy podeszli do tego czysto zawodowo. Tym bardziej że rzadko dostaje się tak ciekawe i tak poważne zadanie. Może my w „Tenkraju" wyglądamy trochę śmiesznie, ale to są bardzo poważne zadania aktorskie i my to gramy poważnie, bo tylko tak można odegrać takie role.

J.R.: Wtrącę się w sprawie tego strachu. Naprawdę każdy podszedł do tego z profesjonalizmem i dużą radością. Jesteśmy aktorami i po prostu dostaliśmy fajną pracę do wykonania. To było dla nas olbrzymie wyzwanie. Przychodzimy na każdy dzień zdjęciowy i cieszymy się, że robią nam fajną charakteryzację, mamy kostiumy, wybudowaną scenografię. To było dla nas wejście w nieznany świat. W moim idealnym świecie aktorzy są aktorami, wykonują swoją pracę i nie ma podziałów, że ktoś będzie spalony, bo wcielił się w tę czy inną rolę. Nie do tego zostaliśmy przygotowani.

D.Ł.: Ale środowisko artystyczne jest podzielone i spolityzowane.

P.T.: Tym gorzej dla tego środowiska. Uważam, że nie mamy prawa się oceniać na podstawie poglądów. Dlaczego jedni mają prawo, by myśleć w jedną stronę i to dobrze, a inni nie mogą myśleć inaczej, bo to źle? To świadczy tylko o tych, którzy oceniają. Jako aktor zawsze szedłem swoją drogą. Uważam, że jest za dużo aktorów, którzy opowiadają o swoim życiu, rodzinie i poglądach politycznych.

J.R.: To jest niepotrzebne.

P.T.: Aktor jest od grania i już nie dokończę tego zdania.

J.Ł.: Wszyscy je znamy.

P.T.: Moim mistrzem był Jerzy Trela. Wychodził na scenę i był na niej królem. A co on jada czy z kim Trela śpi, przepraszam za kolokwializm, to już nie powinno nikogo interesować. A aktorzy i celebryci zrobili się najmądrzejsi na świecie. Wychodzą i dają innym życiowe rady. Ale po co?

D.Ł.: Gdybyście za chwilę dostali propozycję odegrania roli polityków dzisiejszej opozycji, też byście to zrobili?

J.R.: Oczywiście. Czekamy na propozycje. Jesteśmy otwarci.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Fot. wPolsce24

P.T.: Z przyjemnością. Ja bym np. chętnie zagrał Joachima Brudzińskiego.

J.Ł.: Coś jest na rzeczy, widzę podobieństwo.

D.Ł.: A w jakiej roli pani by się widziała?

P.T.: Ja bym ją widział w roli Joanny Lichockiej.

J.R.: A to dobre, to charakterystyczna postać!

P.T.: Ale wracając do kolegów z planu. Nie wiemy, co kto myśli. Wszyscy się tak kochamy przy tym stole, że polityka w ogóle nas nie różni. Czasem coś oglądamy, komentujemy, ale ja nie wiem, kto na kogo głosuje.

Jacek Łęski: Tygrysław chyba na zielonych.

[śmiech]

P.T.: Cieszymy się każdym odcinkiem. Jeden nam wypadł ze względu na pierwszą turę wyborów i brakowało nam tego. Plan jest naszym drugim życiem.

J.R.: Gdy mówi pani, że jesteśmy nie do poznania, jest to dla nas najpiękniejszy komplement, bo to znaczy, że dobrze wykonujemy naszą pracę.

M.G.: Czy poza odtwarzanymi przez was postaciami macie wśród kolegów jakąś swoją ulubioną?

J.R.: Ja uwielbiam wszystkich, gorąco was pozdrawiam i przesyłam buziaczki.

P.T.: Ja bym wyróżnił Adama Szarka, który gra Ronalda Kła, bo robi to fantastycznie. Nasze role są mniejsze, on ma ogromne zadanie. Dostaje w czwartek masę tekstu, który musi szybko opanować.

J.Ł.: Jak się was słucha w serialu, to jednak wasze głosy brzmią inaczej, są bardzo podobne do głosów prawdziwych polityków. To jakaś sztuczka?

P.T.: Tak. AI nakłada 50 proc. filtru. Tam, gdzie nie znaleźli w aktorach naturalnej inteligencji, dopełniają sztuczną.

D.Ł.: Czyli pełna przemiana. Bo w rzeczywistości nawet kolor waszych oczu jest inny.

J.R.: Jesteśmy całkiem przerobieni, nosimy szkła kontaktowe, inne włosy, make-up. Mi na przykład dorabiają zmarszczki.

P.T.: Mamy piękny zawód, bo możemy się całkiem zmienić.

J.Ł.: Pierwszy raz widzę dziewczynę, która się cieszy, że ma zmarszczki.

J.R.: Charakteryzacja trwa godzinę. Kiedyś wstałam i powiedziałam: „Godzina charakteryzacji, żebym była taka brzydka!". Nagrywaliśmy proces charakteryzacji etap po etapie, żeby pokazać, jak się zmieniamy. Mnie to cieszy, bo zazwyczaj grałam ładne kobiety.

P.T.: Każdy w dzieciństwie lubił się bawić w wojnę czy lekarza i każdy był kimś innym. Nam to zostało. Przychodzimy z normalnego, zwykłego życia, tworzymy nowe postaci i żyjemy w zupełnie innym świecie. To jest taki bonus, bo to zupełnie inne zadanie niż te dotychczasowe – w teatrze czy filmie. W takim formacie jeszcze nie graliśmy.

D.Ł.: A jakie są wasze dotychczasowe ulubione role?

P.T.: Teatralna rola Jaszy Mazura ze „Sztukmistrza z Lublina" u Janka Szurmeja, którego niestety pożegnaliśmy rok temu. Ja mam 35 lat doświadczenia aktorskiego, więc tych ról było sporo. Szczególnie lubię też rolę rtm. Pileckiego w monodramie, z którym od 12 lat jeżdżę po całym świecie. Ostatnio z okazji rocznicy śmierci rotmistrza grałem w Myślenicach. Zresztą ten monodram zarejestrowała Telewizja Polska, ta nie „w likwidacji".

J.R.: Moja ulubiona to rola Kaliny Jędrusik w autorskim monodramie. Miałam 18 lat, kiedy ją odgrywałam. Teraz będzie 15-lecie tego spektaklu. I jeszcze moja ostatnia rola, czyli Onej w spektaklu „Mąż i ona", który reżyseruje Przemek, a ja gram z Pawłem Gładysiem.

P.T.: Napisałem ją zresztą pod Jagodę.

J.R.: Wcielam się w sześć postaci kobiety, która jest zazdrosna o swojego mężczyznę.

M.G.: Czy między aktorami na planie musi być chemia?

P.T.: Ja i Jagoda znamy się kilkanaście lat, przyjaźnimy się, ale na planie pewne prywatne relacje znikają, bo muszą się rodzić relacje między postaciami. Kiedyś mój wspaniały pedagog Krzysztof Globisz opowiedział, że na scenie miał się zakochać w kobiecie, której zwyczajnie nie lubił. Ale podobał mu się jej nos i na scenie grał miłość do nosa. I jeszcze jedna sprawa w związku z naszym aktualnym przedsięwzięciem. Gdy się okazało, że serial powstanie, branżowe portale pisały, jakie to będzie złe.

J.R.: Jeszcze nie wyemitowano pierwszego odcinka, a już były komentarze o beznadziejnych aktorach, pisowskim humorze. Nagle zapadła cisza.

P.T.: I ta cisza świadczy o naszym sukcesie.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Wzbierająca

W ostatnich miesiącach liczba wniosków o azyl składanych w Europie była niższa niż w poprzednim roku. Ale to się szybko zmienia, szczególnie we Włoszech i Grecji. Komisja Europejska ostrzega wręcz przed nową falą migracji

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Jest południe – pora, kiedy upał staje się nie do zniesienia. Ponad 40 stopni w cieniu. Patrol znajduje nieprzytomnego mężczyznę i próbuje go reanimować, wlewając mu do ust kilka kropel wody. Mężczyzna ledwo oddycha. W oddali widać sześć czarnych kropek. Kolejni wycieńczeni migranci, którzy wbrew swojej woli wylądowali na libijskiej pustyni. Pod koniec kwietnia władze w Tunisie rozpoczęły likwidację kilkudziesięciu prowizorycznych obozów, w których przebywali afrykańscy migranci. Jest to część szeroko zakrojonej operacji oczyszczania terenów wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego i łagodzenia napięć z lokalnymi mieszkańcami. Obozy położone na terenach prywatnych od dawna są sceną gwałtownych starć. Znalazło w nich schronienie ponad 20 tys. osób. Stąd do włoskich wysp jest zaledwie 161 km. Tunezja próbuje powstrzymać migrantów przed podjęciem tej podróży. Większość z nich ląduje w Libii.

Jak twierdzi Komisja Europejska w poufnym raporcie, który wyciekł do mediów, ponad 90 tys. osób czeka tam obecnie na podróż do Europy. To wzrost o 59 proc. wobec poprzedniego roku. Są to głównie Afrykańczycy. Z Sudanu, gdzie toczy się od trzech lat wojna domowa, z Erytrei i Senegalu.

W tym samym czasie sytuacja polityczna w Libii staje się coraz bardziej niestabilna – rywalizujące ze sobą milicje od lat toczą zacięte walki, a pod koniec kwietnia doszło do najpoważniejszych od dawna starć w stołecznym Trypolisie. Według Komisji może to spowodować ucieczkę tysięcy ludzi do Europy. Kolejną, wielką falę migracyjną.

Już widać jej zarys. Jak pisze niemiecki dziennik „Die Welt", w styczniu i lutym liczba nielegalnych przyjazdów do Włoch była wyższa niż w poprzednim roku. Największy wzrost nastąpił w kwietniu, kiedy do włoskiego wybrzeża dotarło 6,6 tys. osób. To o 35 proc. więcej niż w tym samym miesiącu ub.r.

eprasa.pl 2ea2b4f482

fala

Fot. Alec Tassi/Shutterstock.com

POD OSŁONĄ NOCY

Tylko 1 maja na wyspę Lampedusa przybyło 670 migrantów. Ich podróże są w przeważającej mierze organizowane przez siatki przestępcze; migranci pochodzą głównie z Bangladeszu, Pakistanu oraz Egiptu i często docierają do libijskiego Bengazi lotami czarterowymi z Aleksandrii w Egipcie. Do początku maja wykryto w sumie 16,565 tys. nielegalnych wjazdów.

Sytuacja zaostrza się także na hiszpańskich Wyspach Kanaryjskich, które od miesięcy zmagają się ze wzrastającym napływem migrantów z Afryki Zachodniej. Według Frontexu między styczniem a marcem przybyło tam 9,205 tys. migrantów, głównie z Mali, Senegalu i Gwinei. Porty, z których przybywają, ciągną się od Maroka przez Mauretanię, po Senegal.

Migranci ryzykują życie podczas długiej przeprawy w często nienadających się do żeglugi łajbach. Wielu z nich traci tu życie. Według kanaryjskiej gazety „La Provincia" szlak zachodnioafrykański jest obecnie „najbardziej zmotoryzowanym szlakiem migracyjnym na świecie", bo bez silników wiele podróży łodziami byłoby niemożliwych. To co najmniej 100 km drogą morską. Dwa tygodnie temu siedem osób zginęło, gdy przepełniona łódź z migrantami wywróciła się zaledwie kilka metrów od portu na wyspie El Hierro, najmniejszej z archipelagu. Lewicowy rząd premiera Pedra Sáncheza radzi sobie z problemem, przewożąc migrantów na kontynent pod osłoną nocy i zmuszając samorządy do ich przyjęcia.

Według danych hiszpańskiego Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego (DSN) w 2024 r. Mauretania była głównym krajem, z którego migranci przybywali do Hiszpanii. Było ich łącznie 25,081 tys. oraz 13,217 tys. z Maroka i 12,038 tys. z Algierii. Dodatkowe 8,970 tys. osób wyruszyło z Senegalu. 2024 r. był zresztą dla Hiszpanii rekordowy pod względem nowych migrantów – drogą morską dotarło ich łącznie 61,372 tys., co oznacza wzrost o ponad 12 proc. w porównaniu z 2023 r. i pobicie poprzedniego historycznego rekordu z 2018 r.

LATARNIA POSTĘPU

Pedro Sánchez wydaje się nie przejmować kryzysem. Wręcz przeciwnie. „Hiszpania musi wybrać między byciem otwartym i zamożnym krajem a zamkniętym, biednym krajem" – powiedział hiszpański premier parlamentowi w październiku. Dodał, że migracja nie tylko jest kwestią człowieczeństwa, lecz także – w kraju, w którym wskaźnik urodzeń należy do najniższych w UE – stanowi „jedyny realistyczny sposób na rozwój gospodarki i utrzymanie państwa opiekuńczego".

Strumień migrantów nieprzerwanie więc napływa, a Madryt się przed nim nie broni. Według lewicowego „The Guardian" czyni to z Hiszpanii „latarnię postępu w mrocznych czasach". Co z tego, że podczas próby dotarcia na Wyspy Kanaryjskie tylko w pierwszej połowie 2024 r. utonęło prawie 5 tys. osób?

W Grecji, punkcie wyjścia szlaku bałkańskiego, również wzrosła liczba zatrzymań migrantów próbujących się przedostać przez graniczną rzekę Evros, ze strony tureckiej. A także przez wyspy północnego Morza Egejskiego (Lesbos, Samos, Chios, Kos). W marcu schwytano tu aż 2,245 tys. osób. Jest to wynik nieznacznie przekraczający liczbę z marca poprzedniego roku (plus 1 proc.), ale aż o 22,5 proc. większy w porównaniu z lutym br. A wiosna dopiero się zaczęła. Od stycznia do maja na Kretę dotarło 2,879 tys. nielegalnych migrantów, o 95 proc. więcej niż w analogicznym okresie rok temu. Większość osób ubiegających się o azyl w Grecji pochodzi obecnie z Afryki: 1,540 tys. w pierwszym kwartale 2025 r. w porównaniu do 930 z Azji i Bliskiego Wschodu.

WDROŻENIE PAKTU

Jak twierdzi niemiecki brukowiec „Bild", wielu z tych migrantów jedzie dalej do Niemiec, gdzie są witani przez krewnych i rodaków. Według gazety siłą napędową migracji pozostaje europejska Północ, która ma takie czynniki przyciągające (pull factors), jak sprawny system socjalny. Dotyczy to zwłaszcza Niemiec, gdzie w okresie styczeń–marzec złożono 41,123 tys. kolejnych wniosków o azyl. Jak twierdzi gazeta, powołując się na informację z „kręgów służb bezpieczeństwa" nieprzerwanie trwają loty do Niemiec, którymi przybywają migranci, którzy już złożyli wnioski o azyl w Grecji. „Decyzja Federalnego Sądu Administracyjnego, która po raz pierwszy zezwala na odsyłanie azylantów do Grecji, nie odniosła jeszcze skutku. Trasa lotnicza z Grecji do Niemiec pozostaje wciąż bardzo atrakcyjna dla osób chcących dotrzeć do Niemiec" – czytamy.

Tylko w okresie 1 stycznia–10 kwietnia br. 2,228 tys. osób, którym przyznano w Grecji azyl, przybyło do Niemiec drogą lotniczą, aby ponownie złożyć tam wniosek o ochronę. Według „Die Welt" Komisja Europejska jest przekonana, że najlepszym rozwiązaniem dla narastającego (po raz kolejny) kryzysu imigracyjnego jest wdrożenie paktu

eprasa.pl 2ea2b4f482

migracyjnego. Jak twierdzi gazeta, od początku tego roku komisarz UE ds. migracji Magnus Brunner pracuje nad wdrożeniem jego postanowień. Chce on, by państwa członkowskie mogły znacznie łatwiej niż dotychczas przekazywać osoby ubiegające się o azyl do tzw. bezpiecznego kraju trzeciego. W przyszłości ma wystarczyć, że w drodze do Europy osoba przekroczy dane państwo lub UE zawarła z tym państwem umowę o readmisji. Jednak deportowani muszą mieć zapewnioną odpowiednią opiekę, a władze tegoż państwa trzeciego nie mogą ich deportować do innego kraju. Według niemieckich chadeków propozycja Brunnera „ma realną szansę na uporządkowanie systemu azylowego". Tymczasem praktyka pokazuje, że jest zupełnie inaczej.

NA STRAŻY UNIWERSALNYCH WARTOŚCI

W lutym włoski sąd po raz trzeci wstrzymał próbę wysłania nielegalnych migrantów do Albanii, z którą rząd w Rzymie podpisał umowę i zbudował tam centra azylowe. W kwietniu udało się tam wysłać 40 osób, których wnioski o azyl zostały odrzucone. Jest to pewien sukces, ale daleko od planowanych 3 tys. migrantów rocznie. To przeciąganie liny między sądami a rządami staje się zresztą motywem przewodnim problemów imigracyjnych Europy: zachodni przywódcy coraz częściej przeciwstawiają się tzw. prawom człowieka, aby honorować demokratyczne mandaty udzielone im przez wyborców, którzy chcą redukcji napływu nielegalnych migrantów. A sądy blokują tę możliwość. Duża część kontroli sądowych, w ramach których kwestionują one politykę rządów w Europie, skupia się obecnie na sprawach dotyczących migracji i azylu. Sędziowie stawiają się przy tym często w roli obrońców „międzynarodowego porządku" i „uniwersalnych wartości" w przeciwieństwie do, ich zdaniem, nieuzasadnionych „narodowych" interesów danych krajów i społeczeństw. Do tego dochodzi aktywność NGO finansowanych przez zachodnioeuropejskie rządy, które pomagają przemycać migrantów do Europy.

W Rzymie toczy się obecnie proces znanego aktywisty Luki Casariniego, założyciela organizacji pozarządowej Mediterranea Saving Humans, oskarżonego o to, że we wrześniu 2020 r. w zamian za 125 tys. euro wziął na pokład swojego statku „Mare Jonio" pływającego po Morzu Śródziemnym 27 nielegalnych migrantów, których przekazał mu duński tankowiec Maersk Etienne. Następnie wysadził ich na włoskim wybrzeżu. Casarini tłumaczy się, że ratował życie, prokuratura twierdzi, że nie miał do tego upoważnień i złamał prawo. Latem TSUE ma wydać wyrok, czy działalność NGO na Morzu Śródziemnym to ratownictwo czy podżeganie do nielegalnej migracji.

> Jak twierdzi Komisja Europejska w poufnym raporcie, który wyciekł do mediów, ponad 90 tys. osób czeka w Tunezji na podróż do Europy. To wzrost o 59 proc. wobec roku poprzedniego. Są to głównie Afrykańczycy

Z KRAJU TRANZYTOWEGO DO DOCELOWEGO

Pod koniec kwietnia libijskie władze, zmagające się z zaostrzającym konfliktem wewnętrznym i zwiększonym napływem uchodźców z pogrążonego w wojnie domowej Sudanu, ogłosiły zawieszenie działalności 10 międzynarodowych organizacji humanitarnych i zamknięcie ich siedzib w Trypolisie, oskarżając je o chęć „osiedlenia w kraju migrantów pochodzenia afrykańskiego". „Jest to postrzegane jako wrogie działanie mające na celu zmianę składu demograficznego kraju i zagrażające społeczeństwu libijskiemu" – powiedział Salem Gheith, rzecznik Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ISA). Jak dodał, zachodnie NGO „nielegalnie udzielały pomocy od bonów pieniężnych po odzież, żywność, mieszkania i pomoc medyczną, co pomogło osiedlić się migrantom, którzy początkowo byli w drodze do Europy". W rezultacie nie ma już potrzeby, aby ryzykowali oni przeprawę morską i migrację do Europy, zmieniając Libię w kraj docelowy, a nie tranzytowy" – powiedział Ghaith. Według francuskiego dziennika „Le Figaro" chodzi m.in. o Norweską Radę ds. Uchodźców (NRC), Duńską Radę ds. Uchodźców (DRC), Lekarzy bez Granic oraz francuską organizację Terre des Hommes.

Nie jest tajemnicą, że libijscy wataźkowie zarabiają na przemycie migrantów na Stary Kontynent, a libijskie władze nie ukrywają, że chcą się pozbyć przybyszy. Nietrudno więc sobie wyobrazić, że te 90 tys. nielegalnych migrantów, którzy według Komisji Europejskiej czekają w tym kraju na przeprawę, rzeczywiście dotrze do Europy. Wspomagani przez NGO. A kto dotrze do Europy, może tam zostać.

W ostatnim kwartale 2024 r. Francja deportowała 3,8 tys. migrantów, a Niemcy 3,7 tys. W tym samym czasie dziesiątki tysięcy złożyło nowe wnioski o azyl w obu krajach. W sumie nieco ponad 25 tys. nielegalnych migrantów wyjechało z Europy wobec ponad 90 tys. nakazów opuszczenia terytorium. Większość tych, którzy wyjechali, to Albańczycy, Gruzini i Turcy.

Pakt migracyjny nie powstrzyma kolejnych przed przyjazdem, co Komisja Europejska zdaje się otwarcie przyznawać. Jedyne, co oferuje w ramach paktu, to „zarządzanie" tymi, którzy już tu są i jeszcze tu dotrą, przesiedlając ich m.in. do Polski. Tym samym kraje graniczne strefy Schengen, takie jak Polska, Węgry czy Włochy, staną się miejscami, gdzie będą się gromadzić imigranci, którzy nie zostali przyjęci przez zachodnioeuropejskie centrum. A może być ich znacznie więcej niż 90 tys.

Sytuacja wewnętrzna w Syrii się zaostrza. Ponad 40 tys. alawitów związanych z byłym reżimem Baszszara al-Asada opuściło kraj i schroniło się w Rosji oraz na północy Libanu. Wielu z nich może przybyć do UE. A jest ich w sumie ponad 2,5 mln.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Demokraci na łopatkach

Pół roku po wyborach amerykańska Partia Demokratyczna nie ma przywództwa, programu, celów i jeśli pominąć przegraną wojnę secesyjną, przeżywa największy kryzys w swej 200-letniej historii

DARIUSZ MATUSZAK

Wykresy z dwóch najważniejszych dla opisania stanu amerykańskiej polityki badań opinii publicznej przecinają się i tworzą figurę wyglądającą jak przechylony krzyż albo krzyż św. Andrzeja, taki jak na fladze Szkocji. Wznoszące się do góry od lewej do prawej ramię krzyża pokazuje nienotowany w historii poziom optymizmu Amerykanów. Po raz pierwszy, od kiedy najbardziej znana amerykańska sondażownia Rassmusen zadała pytanie, czy sprawy Ameryki idą w dobrym kierunku, połowa Amerykanów odpowiedziała, że tak. Jeszcze w listopadzie w badaniu RealClearPolitics było to ledwie 26 proc., a w sondażach Cygnal aż 71 proc. Amerykanów uważało, że kraj idzie w złą stronę. Drugi wykres to pochylnia z lewej w dół aż ku wbitej w ziemię podstawie krzyża pokazującej najniższe od ponad 33 lat notowania Partii Demokratycznej. Wedle sondaży zrobionych na zlecenie CNN wynosi ono jedynie 29 proc., a badań zleconych przez NBC – 27 proc.

Jest jeszcze gorzej, gdy bada się poparcie nie dla samej Partii Demokratycznej, ale dla jej aktualnych poczynań. Wedle badań Uniwersytetu Quinnipiac działania partii aprobuje zaledwie 21 proc. Amerykanów. Mniej niż połowa – 49 proc. demokratów – akceptuje to, co robi ich ugrupowanie. Wszystkie te sondaże składają się na belkę równi pochyłej.

> Demokraci pozostali bez przywództwa. Jeśli zapytać o lidera, najwięcej z nich wskazuje na Alexandrię Ocasio-Cortez z Izby Reprezentantów i byłą wiceprezydent Kamalę Harris

Po co to dość karkołomne wyobrażenie nakładających się wykresów jako krzyża? Bo gdy spojrzeć na wszystko historycznie, na przestrzeni dekad widać, że im wyższe jest poparcie dla Partii Demokratycznej, tym niższy optymizm Amerykanów. I na odwrót. Im demokraci mają się gorzej, tym Amerykanie ufniej patrzą w przyszłość.

STADO PRZEWODNIKÓW

Taki wniosek na pozór może się wydawać niedorzeczny czy nieuprawniony, ale przecież doskonale znamy takie zjawisko również z polskiego życia politycznego, kiedy jedna formacja buduje swą siłę nie na podstawie własnego programu i osiągnięć, ale na całkowitym negowaniu tego, co robi konkurent. Jesteśmy tym silniejsi, im bardziej zohydzimy państwo, jego instytucje i co najmniej połowę obywateli – to metoda opozycji totalnej i demokracji walczącej. Dla amerykańskiej Partii Demokratycznej okazała się ona zabójcza.

Prezydentura Joe Bidena była pasmem klęsk, a cała polityka polegała na negowaniu tego, co zrobił Donald Trump. Nałożył sankcje na Rosję, to my je zniesiemy. Uwolnił wydobycie gazu i ropy, to my zablokujemy. I tak ze wszystkim. Kampania Kamali Harris była zaś budowana na tym, by nie dopuścić do władzy Trumpa. Żadnej pracy programowej, żadnej wizji (no jakaś szalona jest, ale o tym za chwilę), a po przegranej też bez przywództwa, bo Trump, zostając prezydentem, odciął też łby wielogłowego smoka – Bidena i Harris, Obamów, Clintonów i frakcji starców z byłą spikerką Izby Reprezentantów 85-letnią Nancy Pelosi na czele.

Uczestnicy pałacowego spisku, którzy doprowadzili do upadku Bidena i postawili na Harris, politycznie nie znaczą prawie nic. Demokraci pozostali bez przywództwa. Jeśli zapytać o lidera, po 9 proc. wskazuje Alexandrię Ocasio-Cortez z Izby Reprezentantów i byłą wiceprezydent Kamalę Harris. 8 proc. uważa, że jest nim 83-letni senator, były konkurent Clinton do wyścigu o prezydenturę, Bernie Sanders. 6 proc. wymienia lidera mniejszości w Izbie Reprezentantów Hakeema Jeffriesa. 4 proc. byłego prezydenta Baracka Husseina Obamę i kongresmenkę z Teksasu Jasmine Crockett, a potem jest całe stado polityków, takich jak lider demokratów w Senacie Chuck Schumer, którego wskazuje 2 proc. ankietowanych. Aż 30 proc. badanych

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 2ea2b4f482

Alexandria Ocasio-Cortez

nie było w stanie wymienić ani jednego nazwiska. W innym badaniu – sondażowni Cygnal – ankietowani wskazali aż 12 nazwisk, a zwycięzcą z 11 proc. została przegrana Kamal Harris. Demokraci nie mają sternika.

TO IDZIE MŁODOŚĆ

Demokraci nie przetrawili przegranej z Trumpem oraz do Kongresu ani na poziomie politycznym, ani osobistym. Od listopada trwa nieustająca walka personalna, wzajemne oskarżanie się o porażkę, knucie i intrygi. Jedną z pierwszych ofiar jest wschodząca gwiazda, 25-letni, całkowicie zepsuty i cyniczny (jak nasi młodzieżowi działacze) David Hogg, który właśnie jest usuwany ze stanowiska wiceprzewodniczącego Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej. To instytucja, która zajmuje się zarządzaniem operacyjnym: koordynowaniem kampanii, organizacją imprez, rekrutowaniem wolontariuszy, zbieraniem funduszy itp. I właśnie o pieniądze poszło, bo ambitny młodzian miał sobie umyślić, że wyda 30 mln partyjnych dol., by zohydzić i pozbyć się towarzyszy konkurentów do wyborów w 2026 r. Trzeba nagromadzić dużo błota i gnoju, przeprowadzić porządną kampanię pomówień, by wyciąć rywali i wygrać prawybory w okręgach jednomandatowych.

Parcie młodych jest naturalną sytuacją w ugrupowaniu, w którym starcy, jak ci z Biura Politycznego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego za czasów Breżniewa, przez dekady pilnowali awansów i porządku. Wątek wieku jest o tyle ważny, że Partia Demokratyczna straciła ideowy, programowy środek. Starcy reprezentują establishment, wielkie media, banki, korporacje, lobbystów itp., a młodzi lewackie szaleństwo. Bardzo wpływowy lewicowy showman z HBO Billy Maher mówi, iż demokraci porzucili zwykłych Amerykanów i cokolwiek nie mówić o wielkim zamieszaniu z cłami, to nawet ono działa na korzyść Trumpa, bo jest próbą przywrócenia w Ameryce produkcji i godnej pracy milionom zapomnianych ludzi.

W próżnię przebojem wchodzą tacy jak Alexandria Ocasio-Cortez, która w 2019 r. w wieku 29 lat została najmłodszą kongresmenką w historii. Popularna AOC jest jak krzyżówka Klaudii Jachiry i naszej pani Basi od edukacji – minister Nowackiej. Ten sam zapał i prędkość w mówieniu w połączeniu z brakiem elementarnej wiedzy i nienormatywną orientacją intelektualną. Rozum nie jest specjalnym aktywem w partii, której działacze, tacy jak Laurie Pohutsky, sterylizują się na znak protestu przeciwko wybraniu na prezydenta Trumpa, albo jak senator Cory Booker wygłaszają w Senacie antytrumpowskie tyrady przez 25 godzin bez przerwy. Regulamin izby pozwala na takie występy. To mógł być jeden ze sprawdzianów przed wyborami prezydenckimi w 2028 r., bo Booker oznajmił, że właśnie do nich trenuje.

ABORCJA PONAD WSZYSTKO

W każdym razie wedle badań zleconych przez CNN to właśnie Ocasio-Cortez najlepiej uosabia wartości Partii Demokratycznej. Tak uważa 10 proc. jej wyborców. Barack Hussein Obama znalazł się na 5. miejscu wskazany przez 4 proc. ankietowanych.

Powiedzmy, że demokraci mają jednak jakiś program, jakieś wartości. Ten program to: ***** Trumpa, aborcja i LGBT+. Takie wnioski płyną m.in. z odbywanego przez Alexandrię Ocasio-Cortez, Berniego Sandersa i kilkoro innych demokratów tournée „Walka z oligarchią". Coś jak u nas organizowane za pieniądze obcego rządu „Tour de konstytucja" Bodnara. Kongresmen Tom Suozzi w rozmowie z publicznym radiem NPR mówi tak: „Kiedy pytasz ludzi, za czym opowiadają się republikanie, odpowiadają: »Make American Great Again, mniejszy rząd rządu niższe podatki«. A demokraci? Ludzie drapią się po głowach i mówią: »Za wyborem (aborcją) i prawami LGBT«".

Czasami widmo całkowitej klęski w wyborach w 2026 r. może przywrócić rozum, więc Suozzi twierdzi, że kobiety transpłciowe (faceci udający kobiety) nie powinni konkurować w żeńskich zawodach sportowych. Nienormatywni umysłowo wciąż jednak trzymają się mocno i kongresmeni, tacy jak Ami Bera z postępująco postępowej Kalifornii, do ostatniej kropli krwi zamierzają walczyć o prawa facetów udających kobiety do buszowania po damskich toaletach i szatniach.

Ale nie tylko osobiste zainteresowania i obsesje powodują, że życie intelektualne demokratów koncentruje się na sprawach multitęczowych. Chodzi o to, że amerykański lud jest zbyt głupi, żeby zrozumieć program demokratów, więc trzeba mówić o sprawach, które może pojąć, czyli o wolności od pasa w dół, bo każdy może obcować z każdym w dowolnej konfiguracji. Tacy zwykli Amerykanie są jak tacy zwykli Polacy,

Fot. Maxim Eframsky/Shutterstock.com

eprasa.pl 2ea2b4f482

jak takie pospólstwo. My nie dorośliśmy do demokracji i wartości europejskich, a oni nie dorośli do rozumienia ekonomii. Owszem, demokraci mają fantastyczny program gospodarczy, ale taki mały człowiek – little guy – jest zbyt głupi, by go pojąć.

Ponadto media nie potrafią przedstawiać konceptu. Co z tego, że ponad 90 proc. tradycyjnych mediów popiera demokratów – tak wynika nie tylko z przekazu, lecz także z wpłat na fundusze partii – skoro boi się zaprezentować ich program i demaskować kłamstwa republikanów – mówią demokraci. Według Kongresmena Jamesa Clyburna wszystkie media powinny być takie jak telewizja MSNBC – ideowy odpowiednik TVN. Tymczasem z mediami jest taki sam problem jak z demokratami. Według instytutu Gallupa ufa im ledwie 31 proc. odbiorców, co jest najniższym wynikiem w historii. 36 proc. uważa, że kłamią i w ogóle im nie wierzy. Oglądalność stacji informacyjnych, takich jak CNN czy MSNBC, szoruje po dnie i w niektórych tygodniach jest taka, jak telewizji wPolsce24. Przy okazji smutna wiadomość dla TVN. Właściciel, Warner Bros. Discovery, radzi sobie tak nędznie, jego stacje mają tak małą oglądalność, że agencja S&P Global Rating obniżyła rating korporacji do śmieciowego poziomu BB+. To poważne ostrzeżenie dla kontrahentów. Firma ma 38 mld dol. długów i lepiej uważać z pożyczaniem jej pieniędzy, bo jeszcze nie odda. Sposobem na wyjście z dramatycznej sytuacji finansowej miała być sprzedaż niektórych aktywów. Moim zdaniem radość pracowników TVN, że nie pójdą pod młotek na aukcji, była przedwczesna, bo temat sprzedaży tej stacji powróci po wyborach prezydenckich w Polsce. I to bez względu na rezultat.

KOCHANE PIENIĄŻKI PRZYŚLIJCIE SPONSORZY

Demokraci nie mają więc przywództwa, programu, mediów – po co komu media, którym nikt nie wierzy i z nich nie korzysta – a za chwilę mogą też nie mieć pieniędzy. Kamala Harris dokonała rzeczy niezwykłej – wydała ponad 1,5 mld dol. na kampanię wyborczą, przegrała ją i pozostawiła swój komitet z długami. Do dziś nie spłacono wszystkich rachunków za balony, ciasteczka, przewoźne budy z warsztatami do zrobienia aborcji, jakie wystawiano na jej wiecach itp.

Wszystkie słabości Partii Demokratycznej, jej katastrofalny stan dostrzegają też darczyńcy, którzy zawsze hojnie ją wspierali. Alexandra Acker-Lyons, jedna z akwizytorek/konsultantek od załatwiania pieniędzy, mówi w rozmowie z magazynem „The Times", że Dolina Krzemowa zakręciła kurek. Donoszą o tym także wpierające demokratów „The New York Times" czy magazyn „Hill". Anonimowi darczyńcy mówią, że są wściekli, bo partia marnuje ich pieniądze, niczego nie jest w stanie załatwić i nie ma żadnej wizji przyszłości. Rozumiemy ich frustrację: dajesz, człowieku, swoje ciężko zarobione dolary, a tu jakiś 25-letni karierowicz Hogg chce wydać 30 mln dol. na obryzganie błotem swych partyjnych konkurentów. Na dodatek wciąż działa uruchomiony przez Elona Muska DOGE – Departament Efektywności Rządu, który wstrzymuje hojne datki dla różnych pasożytniczych fundacji, organizacji itp., którymi obrosła Partia Demokratyczna.

Jakby tego było mało, Departament Skarbu prowadzi dochodzenie w sprawie działalności komitetu ActBlue. To największy fundusz demokratów, największa platforma do pozyskiwania dla nich pieniędzy. Od 2004 r. ActBlue zebrał ponad 16 mld dol. Teraz stoi w obliczu oskarżeń o nielegalne finansowanie kampanii, nielegalne pozyskiwanie pieniędzy, w tym z zagranicy, zorganizowanie całej struktury lipnych firm i darczyńców, by je wyprać. Audytorzy sprawdzają np. podstawionych amerykańskich sponsorów, przez których płynęły pieniądze z zagranicy, albo takie przypadki, gdy okazuje się, że jeden darczyńca dokonał tysięcy wpłat po 2,5 dol. Wszytko to skomplikowane i mętne, jak u nas w przypadku finansowania kampanii Rafała Trzaskowskiego, tylko na wielką, amerykańską skalę.

Nic więc dziwnego, że demokraci patrzą w przyszłość smutnymi niczym u spłakanego Hołowni oczami. Z wewnętrznych badań wynika, że lokalni działacze przestają się nawet przyznawać do związków ze swoją partią, bo to oznacza przegraną w jakichś wyborach na szeryfa, radnego, do komitetu szkolnego czy władz klubu sportowego. Optymizm w narodzie rośnie, tymczasem zgodnie z sondażami Associated Press/NORC Center ledwie jedna trzecia demokratów wierzy w świetlaną przyszłość swego ugrupowania. W ciągu ośmiu miesięcy optymizm spadł aż o 20 pp. 29 proc. demokratów uważa, że będzie nijak, a aż 36 proc., że z ich partią będzie źle. I to jest dobre.

Kamala Harris

Fot. lev radin/Shutterstock.com

eprasa.pl 2ea2b4f482

Harvard na wojnie z Trumpem

JAN ROKITA

Gwałtowny konflikt Uniwersytetu Harvarda z rządem Stanów Zjednoczonych jest niezwykle ważnym znakiem czasu, w jakim żyjemy

Oto najstarsza, najbogatsza i najbardziej prestiżowa uczelnia Ameryki odrzuca żądanie państwa, aby dopuścić różnorodność poglądów w badaniach naukowych oraz przy rekrutacji pracowników i studentów, o ile nadal chce uzyskiwać subwencje od rządu federalnego. I decyduje się podjąć ostrą walkę z rządem Donalda Trumpa w obronie konceptu tzw. aktywizmu naukowego, wedle którego – upraszczając – prawdziwą misją uniwersytetu jest indoktrynacja, a nie bezstronne poszukiwanie prawdy.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Fot. f11photo/Shutterstock.com

Uniwersytetowi wolno zatem rozdawać przywileje badaczom i studentom niebędącym białymi mężczyznami, nawet jeśli powoduje to obniżenie standardów intelektualnych i preferencje egzaminacyjne dla głupszych nad mądrzejszymi. Jak również wolno dawać pierwszeństwo wybranym, zorientowanym ideologicznie kierunkom studiów i badań naukowych, choćby takim jak studia nad różnorodnością płci (gender studies) albo rasizmem charakteryzującym ponoć białych ludzi. A państwu nic do tego, tylko musi dawać na to wszystko budżetowe pieniądze.

Ale kłopoty Harvardu z państwem amerykańskim zaczęły się już wcześniej, w związku z powtarzającymi się w kampusie uniwersyteckim antyżydowskimi zamieszkami. W 2023 r. doszło nawet do tego, że ówczesna rektor Claudine Gay podczas przesłuchań w Kongresie nie potrafiła jasno odpowiedzieć na pytanie, czy „hipotetyczne wezwanie do ludobójstwa Żydów", o ile miałoby miejsce na uniwersytecie, byłyby lub nie sprzeczne z harvardzkim kodeksem zasad. Gdy na dodatek krótko potem pani rektor udowodniono, iż w swoich publikacjach na temat rasizmu i płci (są to dziedziny uprawiane naukowo przez prof. Gay) dopuszczała się plagiatu, została ona zmuszona do złożenia dymisji w atmosferze ogólnoamerykańskiego skandalu. Choć trzeba przyznać, iż co najmniej jedna trzecia uczonych z Harvardu z wielką zaciekłością broniła feministycznej rektor jako ofiary rasizmu i nietolerancji. A co ciekawe, wszystko to działo się jeszcze za lewicowego rządu Joe Bidena.

ZARZUT INDOKTRYNACJI

W konserwatywnym rządzie Trumpa nowa szefowa DHS (czyli federalnego resortu spraw wewnętrznych) Kristi Noem zarzuciła władzom Harvardu „tolerowanie przemocy i antysemityzmu" oraz „koordynację projektów z Komunistyczną Partią Chin", domagając się różnych szczegółowych danych na temat zagranicznych studentów oraz współpracy z chińskimi władzami.

Nowy tymczasowy rektor Alan Garber (wcześniejszy zastępca prof. Gay) odmówił. A przy tym wystosował długi list do Ministerstwa Edukacji zaprzeczający wszelkim zarzutom wobec uniwersytetu. Nawiasem mówiąc, teraz, gdy konflikt z rządem gwałtownie się zaostrzył, ów list, zaprzeczający oczywistym faktom, znikł ze strony internetowej Harvardu.

Do tego doszła kwestia, czy Harvard dostosował się do wymogów prezydenckiego dekretu zakazującego stosowania w instytucjach publicznych tzw. praktyk DEI (Diversity, Equity, Inclusion), czyli afirmatywnej akcji na rzecz gejów, kobiet, upośledzonych, Murzynów i hermafrodytów.

Rząd twierdzi, iż Harvard sabotuje prezydencki dekret, a kroki, które podejmuje, są pozorowane. Uniwersytet usunął np. z sieci swój „Przewodnik po zatrudnieniu wykładowców", w którym nakazywano pracownikom lokowanie tekstów napisanych przez białych mężczyzn na końcu zalecanych studentom list lektur. Tego rodzaju kroki wskazują raczej na taktykę mniejszej niż dotąd ostentacji w publicznym chwaleniu się indoktrynacją niźli realną rezygnację z niej.

Nawiasem mówiąc, jak pokazała ciekawa analiza przeprowadzona przez telewizję CNBC, taka taktyka pozorowanego dostosowywania się do wymogów dekretu Trumpa jest stosowana teraz szeroko nie tylko na uczelniach, lecz także w amerykańskim wielkim biznesie. Np. zarząd Google zlikwidował stanowisko wiceprezesa firmy do spraw różnorodności, powierzając piastującej go dotąd feministce funkcję wiceprezesa od „zaangażowania googlerów" (cokolwiek by to miało znaczyć).

Rząd domaga się od Harvardu, aby zagwarantował pluralizm poglądów uczonych i studentów oraz wycofał czysto indoktrynacyjne kierunki studiów. No i przede wszystkim bezwzględnie stosował regułę prymatu wiedzy oraz intelektualnych kompetencji przy rekrutacji, ocenach i egzaminach.

Ów priorytet merytokracji nad ideologią to kto wie, czy nie najważniejsza idea ekipy Trumpa formułowana nie tylko wobec szkół czy uniwersytetów, lecz przede wszystkim armii i administracji. Tyle że na uniwersytecie tak lewicowym i feministycznym jak Harvard realne dostosowanie się do polityki nowego rządu musiałoby oznaczać rewolucję. Dla osiągnięcia równowagi uczelnia musiałby zacząć zatrudniać konserwatywnych uczonych i przeformułować wiele kierunków badań. A tego jej lewicowa społeczność nie jest sobie w stanie nawet wyobrazić.

Minister Kristi Noem mówi teraz, iż ostatnimi czasy „Harvard miał wiele okazji, aby postąpić właściwie, ale odmówił". Punktem kulminacyjnym konfliktu stała się odmowa przekazania rządowi danych na temat zagranicznych studentów prowokujących rozruchy na kampusie uniwersyteckim. Noem potraktowała to jako uderzenie w priorytetową dla rządu politykę ograniczania wiz i deportacji cudzoziemców podejrzewanych o współpracę z zagranicznymi gangami i ruchami oskarżanymi o terroryzm (np. z palestyńskim Hamasem).

RETORSJE RZĄDU

Kiedy więc Harvard odmówił, powołując się na autonomię uniwersytecką, rząd w kwietniu wstrzymał przeszło 2,7 mld dol. budżetowej subwencji dla

eprasa.pl 2ea2b4f482

uczelni. A gdy to nie przyniosło rezultatu, w maju Noem cofnęła uniwersytetowi tzw. SEVP (Student and Exchange Visitor Program), czyli certyfikat bezpieczeństwa, bez którego szkołom w USA nie wolno przyjmować zagranicznych uczniów i studentów.

Te sankcje są dotkliwe dla uniwersytetu. A sam Trump zapowiada ostrzejsze, jeśli Harvard będzie dalej stawiać opór; mówi m.in. o zniesieniu tradycyjnego zwolnienia uczelni z opodatkowania.

Oczywiście Harvard jest najbogatszym amerykańskim uniwersytetem, dysponującym funduszem powierniczym sięgającym 53 mld dol. Tyle że tradycyjnie uczelnia żyje z subwencji bieżących, pochodzących w większości od rządu, a z funduszu powierniczego czerpie tylko dochody z odsetek, wynoszące średnio 4 proc. w skali roku.

Amerykańscy znawcy finansów tamtejszych uczelni nie mają więc wątpliwości, iż jeśli rząd utrzyma sankcje, to Harvard będzie musiał nie tylko naruszyć swój fundusz powierniczy, lecz także zredukować zatrudnienie i zlikwidować części programów badawczych.

Równie wielkim kłopotem dla uniwersytetu byłoby cofnięcie wiz przeszło 6 tys. zagranicznych studentów płacącym za swoje studia, wśród których są i takie kłopotliwe dla Ameryki przypadki, jak młoda księżniczka Elżbieta – następczyni belgijskiego tronu.

Harvard odpowiada na to antyrządową kampanią propagandową i kolejnymi skargami sądowymi składanymi przeciwko Stanom Zjednoczonym. Rachuba władz uniwersyteckich jest jasna: Massachusetts to jeden z najbardziej lewicowych stanów Ameryki, w którym sądy z reguły są wrogo nastawione wobec Trumpa, a uniwersytetowi sprzyja tamtejsza elita polityczna i władze stanowe.

Na razie rządowi udało się zablokować wypłatę pieniędzy dla Harvardu na podstawie dekretu prezydenckiego. Ale już kilka godzin po złożeniu pozwu przez uniwersytet cofnięcie certyfikatu SEVP uchyliła sędzia okręgowa Allison Burroughs, mianowana na swój urząd przez prezydenta Baracka Obamę. Zresztą owa sędzia już wcześniej prowadziła dwie sprawy przeciw Harvardowi (m.in. z oskarżenia o dyskryminowanie studentów o pochodzeniu azjatyckim) i zawsze wyrokowała całkowicie po myśli uczelni. Uniwersytet z pewnością ma w niej oddanego sojusznika.

> Rząd Donalda Trumpa jest gotów na długą i bezwzględną wojnę z uczelniami, które uważają za swoją misję postępową indoktrynację, a nie bezstronne poszukiwanie prawdy

OPÓR UNIWERSYTETU

Nie jest jasne, jak i kiedy skończy się batalia o zmuszenie Harvardu do uznania reguł naukowej bezstronności i poszukiwania prawdy. Wygląda na to, że lewicowy uniwersytet zamierza obronić swoją ideologiczną tożsamość, przygotowując się na długotrwałą wojnę z rządem. Uczelnia ma wystarczającą ilość pieniędzy i dostatecznie silnych politycznych protektorów, aby nastawiać się na przetrwanie czterech lat konserwatywnej prezydentury, licząc na powrót dawnych dobrych czasów.

Jeśli sankcje rządowe zmuszą Harvard do samoograniczeń, uniwersytet raczej zatrzyma programy badawcze w neutralnych politycznie dziedzinach, takich jak medycyna czy inżynieria, nie rezygnując z badań nad wielością płci, rasizmem i feminizmem. W ten sposób może dokuczyć amerykańskiemu państwu, które od lat finansuje i korzysta z wyników badań prowadzonych przez wybitnych uczonych. Może być nawet tak, że dla wszystkich postępowców Harvard stanie się globalnym symbolem walki przeciw konserwatywnej ciemnocie i zacofaniu, która śmie domagać się uniwersyteckiego równouprawnienia.

Również rząd Trumpa jest gotów na długą i bezwzględną wojnę z uczelniami, które za swoją misję uważają postępową indoktrynację. „The New York Times" wyliczył, że w Waszyngtonie wytoczono już co najmniej osiem różnych postępowań przeciw Harvardowi, mogących prowadzić do różnorakich dalszych sankcji. A szefowa DHS zapowiada, że nie będzie mieć skrupułów, aby podobne postępowania wytaczać wobec innych lewicowych uczelni odrzucających zasadę merytokracji w imię „aktywizmu naukowego".

Dla rządu Trumpa sprawa ma znaczenie fundamentalne, daleko wykraczające poza spór z takim czy innym, nawet najbardziej prestiżowym, uniwersytetem. Zasadnicza diagnoza prezydenta jest taka, iż Ameryka utraciła swą wielkość i potęgę właśnie dlatego, iż merytokratyczny rząd zamieniła na ideologiczne obsesje. W wizji Trumpa odrzucenie ideologicznych eksperymentów na rzecz oświeceniowej pochwały profesjonalizmu i umiejętności ma być zatem kluczowym elementem przywracania Ameryce utraconej przez nią potęgi.

Fot. Jay Yuan/Shutterstock.com

eprasa.pl 2ea2b4f482

Ukraina chce wygrać wojnę dzięki linii Drapatego

„Plan zakończenia wojny" proponowany przez Rosję jest nie do przyjęcia dla Ukrainy. Dlatego Kijów chce zwiększyć produkcję dronów i w zakresie walki powietrznej realizować politykę „oko za oko", czyli na masowe uderzenia Rosjan odpowiadać z podobną intensywnością. Natomiast by zatrzymać ofensywę lądową wzdłuż całej linii frontu, ma powstać „strefa śmierci", nie do przejścia dla Moskali

MAREK BUDZISZ

Siergiej Ławrow, rosyjski minister spraw zagranicznych, zapowiedział, że na kolejnym spotkaniu w sprawie zawieszenia broni, które w tym tygodniu odbędzie się w Stambule, Rosja zaprezentuje swój plan zakończenia wojny. Dziennikarze agencji Reuters, powołując się na kilka niezależnych źródeł w administracji Kremla, ustalili, że Putin będzie się domagał pisemnej gwarancji od państw Zachodu, że NATO nie zostanie rozszerzone na wschód i do Sojuszu nie zostaną przyjęte państwa, takie jak Mołdawia, Gruzja czy Ukraina. Ta ostatnia prócz pogodzenia się z utratą części terytorium miałaby zostać poddana międzynarodowej kurateli, bo Moskwa nie chce zrezygnować z żądania „ochrony prawa ludności rosyjskojęzycznej", a także stać się państwem neutralnym i rozbrojonym.

Te żądania nie dziwią – rosyjscy politycy z Putinem na czele w różnej formie powtarzają je od początku konfliktu. Tym, co jest ciekawe w obecnie prezentowanym stanowisku, to czytelny sygnał, że sprzeciw Zachodu i Ukrainy wobec tego rodzaju presji oznacza, iż w przyszłości „pokój będzie kosztował drożej", czyli koszty kontynuowania wojny wzrosną, a warunki jej zakończenia – jeśli decyzja zostanie odsunięta w czasie – będą trudniejsze.

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

ROSYJSKA PRESJA

Dziennikarze agencji Reuters napisali też, że „Putin utwardził swe stanowisko" w kwestii ukraińskich ustępstw terytorialnych i jest przekonany, że na froncie szala zwycięstwa już wkrótce wyraźnie zacznie się przechylać na stronę Rosji. W czasie ubiegłotygodniowej wizyty w Berlinie o narastającej skali ataków Moskali mówił też prezydent Zełenski. Jego zdaniem Rosjanie produkują obecnie 300–350 zmodernizowanych dronów Shahed dziennie, zwiększyli też ich zasięg i wielkość przenoszonych ładunków; ich celem jest osiągnięcie w krótkiej perspektywie zdolności wytwórczych na poziomie 500 sztuk dziennie, a docelowo nawet 1000. Innymi słowy, Rosjanie chcą zwiększać presję na Ukrainę nalotami bezzałogowców. Już obecnie jest ona niemała, bo jak napisali Benjamin Jensen i Yasin Atalan, eksperci amerykańskiego think tanku CSIS analizujący rosyjską taktykę uderzeń z powietrza, 75 proc. ataków przy użyciu shahedów odbywa się „co drugi dzień". Zwiększenie rosyjskich zdolności produkcyjnych będzie oznaczało codzienne naloty i to przy użyciu kilkuset dronów dalekiego zasięgu.

UKRAIŃSKA ODPOWIEDŹ

Jak Ukraińcy mają zamiar odpowiedzieć na tego rodzaju plany Kremla? W Berlinie Zełenski rozmawiał z Merzem o wsparciu Niemiec w zakresie produkcji ukraińskich rakiet i dronów dalekiego zasięgu. Zapowiedziano podpisanie stosownego porozumienia, a już wcześniej podobne umowy sygnowały rządy Szwecji, Danii, Czech czy Litwy. Ich celem ma być stałe rozbudowywanie możliwości Ukrainy w zakresie produkcji dronów, w tym dalekiego zasięgu.

Już obecnie nie są one małe, bo tylko w tym roku ukraińskie firmy chcą wyprodukować 2,5 mln systemów bezzałogowych. Mają jednak skokowo wzrastać również dzięki pomocy finansowej tzw. europejskiej „koalicji dronów", która już zapowiedziała przeznaczenie na ten cel 2,75 mld dol. W zakresie walki powietrznej Kijów chce realizować politykę „oko za oko", czyli na masowe uderzenie Rosjan odpowiadać z podobną intensywnością.

Jeśli zaś chodzi o ryzyko kolejnej rosyjskiej ofensywy lądowej skierowanej przeciw miastom, takim jak Charków czy Sumy, to w Kijowie opracowano ciekawą koncepcję operacyjno-strategiczną znaną jako linia dronów czy linia Drapatego.

Gen. Mychajło Drapatyj jest aktualnym dowódcą ukraińskich sił lądowych, jednak linia dronów, która ma zatrzymać Rosjan i ustabilizować front, nie jest jego autorskim projektem, będą go realizować podległe mu siły. Na czym ma polegać?

Po pierwsze ukraińskie siły zbrojne chcą rozszerzyć „strefę śmierci", czyli obszar nie do przebycia dla przeciwnika, który miałby rozciągać się wzdłuż całej linii walk. „Jeśli rok temu szara strefa wynosiła ok. 500 metrów do 2 kilometrów, teraz rozszerzyła się do 5–6 kilometrów, a w niektórych kierunkach nawet do 7 kilometrów" – powiedział mediom Jurij „Łys", starszy sierżant batalionu systemów bezzałogowych 24. Oddzielnej Brygady Zmechanizowanej. Ma to być zaminowana przestrzeń, w której nie będzie możliwości ukrycia się, a każdy żołnierz czy oddział, który wszedłby w tę strefę, zostanie wyeliminowany. Na głębokości 5–10 km ma się rozciągać obszar niszczenia logistyki, pojazdów, miejsc koncentracji wrogich sił. W pasie 10–15 km powstanie strefa eliminacji artylerii, radarów i systemów wsparcia ogniowego, a strefa 20–50 km to obszar operacji głębokich, gdzie przeprowadza się rozpoznanie przeciwnika i rozpoczyna atakowanie pojedynczych celów. W szczególności niszczone mają być centra dowodzenia, logistyki i obrony powietrznej.

> Jeśli linia Drapatego okaże się szczelna, to zmieni też sytuację Ukrainy po wojnie. Nie będą potrzebne żadne europejskie korpusy stabilizacyjne czy międzynarodowe siły obserwacyjne, bo Ukraina sama będzie w stanie odgrodzić się od Rosji naszpikowaną systemami bezzałogowymi „strefą śmierci"

INNA WOJNA

W ostatnim roku sytuacja na froncie zmieniła się głównie w rezultacie upowszechnienia dronów. „W każdej minucie – opisywał sytuację „Łys" – na naszym odcinku znajduje się w powietrzu przeszło 50 dronów, zarówno naszych, jak i przeciwnika". To powoduje, że nic się nie ukryje, każdy większy cel jest od razu atakowany.

Z pierwszej linii już dawno zniknęły czołgi, a transportery opancerzone dowożą żołnierzy w pobliże strefy rozgraniczenia, ale już nie na front, bo tam zaraz są identyfikowane i niszczone. „Zdarza się – relacjonował portalowi Militarnyj, jeden z dowódców liniowych – że nasi żołnierze muszą pokonywać pieszo 20 km, aby dotrzeć w rejon walk".

Jak informują ukraińscy dziennikarze, obecnie ze względu na stałą, masową, obecność dronów rozpoznawczych ruch sprzętu na linii styczności wojsk praktycznie ustał. Wynika to z tego, że jest on niemal natychmiast wykrywany i przemieszczające się pojazdy podlegają zmasowanym uderzeniom. O skali strat świadczy choćby deklaracja z marca br. dowódcy 412. pułku systemów bezzałogowych Nemesis, z której wynika, że tylko w lutym jego podwładnym udało się zniszczyć 365 rosyjskich haubic samobieżnych i dział.

Linia Drapatego jest w gruncie rzeczy koncepcją rozszerzenia „strefy śmierci", obszaru nie do przebycia dla sił przeciwnika, i stworzenia w ten sposób strefy buforowej wzdłuż frontu.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Już obecnie w powszechnym użyciu są drony sterowane światłowodem, których nie można zakłócić. Działają one na głębokość 20 km, ale testuje się konstrukcje zdolne do lotu na 30, a nawet 40 km w głąb pozycji przeciwnika. W internecie nietrudno znaleźć filmy pokazujące, że pas rozdzielający walczące strony usłany jest niczym kobiercem tysiącami włókien światłowodowych, które pozostawiły za sobą aktywne drony. W opinii ukraińskich ekspertów wraz z rozwojem dronów balonowych, niedrogich dronów FPV typu lotniczego, systemów nawigacji optycznej i naprowadzania zasięg ich oddziaływania będzie tylko rósł. Można przypuszczać, że w perspektywie średnioterminowej zasięg 50–60 km przestanie być czymś nadzwyczajnym.

Aby linia Drapatego zaczęła działać, trzeba przede wszystkim rozbudować ukraińskie siły systemów bezzałogowych. Jest to niezbędne, aby uszczelnić front, bo w ostatnich miesiącach Rosjanom udawało się dokonywać wyłomów w liniach obrony Ukraińców wyłącznie w miejscach, w których działały gorzej przygotowane i wyszkolone jednostki. Tam, gdzie walczyli najlepsi, „szturmy mięsne" Moskali kończyły się tylko wielokrotnie większymi stratami.

2 lutego 2025 r. dowódcy pięciu najskuteczniejszych ukraińskich jednostek dronowych, czyli 20. Samodzielnego Pułku K-2, 414. Brygady Ptaki Madziara, 429. Pułku Achilles, 427. Pułku Rarog i pułku Feniks we wspólnym nagraniu wideo poinformowali o uruchomieniu projektu „Potęga dronów" i zaapelowali do innych dowódców liniowych oraz ochotników, aby przyłączali się do tej inicjatywy, której celem ma być szybka rozbudowa i nowy model szkolenia powstających pododdziałów. Tydzień później minister obrony Rustem Umerow potwierdził rozpoczęcie przedsięwzięcia pod nazwą linia dronów. Program „Potęga dronów" polega na tym, że najlepsze jednostki mają samodzielnie prowadzić rekrutację ochotników, ale przede wszystkim ich szkolenie, za które będą odpowiadać instruktorzy z doświadczeniem frontowym. Aby wiedzieć, kto jest najlepszy, w ramach programu Army Bonus dowództwo ukraińskich sił zbrojnych wprowadziło system eBali, czyli punktów przyznawanych za każde zniszczenie celów przeciwnika potwierdzone przynajmniej dwoma filmami. Liderzy aktualizowanego co miesiąc rankingu dostają dodatkowe środki i mogą je przeznaczać zarówno na zakup uzbrojenia, w tym wypadku dronów, jak i szkolenie kadr oraz organizowanie własnego systemu poboru. System okazał się skuteczny, bo jak powiedział mediom podpułkownik Kyryło Veres, dowódca 20. Samodzielnego Pułku Dronów K-2, w ciągu pierwszego miesiąca od ogłoszenia projektu „Linia dronów" znacznie wzrosło zainteresowanie służbą w jego jednostce. W ciągu 30 dni wpłynęło 7 tys. aplikacji, a ogólnie po dwóch miesiącach zgłosiło się 11 tys. ochotników. W tym przypadku mechanizm jest prosty. Poborowi wolą służyć w dobrze dowodzonej i dbającej o własnych ludzi jednostce niż zostać losowo przydzieleni do niecieszącej się najlepszą sławą brygady. Każda z jednostek, których dowódcy zainicjowali projekt „Potęga dronów", ma doświadczenia wzrostu i rozbudowy swych sił. Zaczynali od kompanii, a nieraz nawet plutonu, w pierwszym roku wojny, dziś mając w swych szeregach po kilka tysięcy operatorów dronów.

Gen. Drapatyj chce, aby to doświadczeni frontowcy decydowali, jak rekrutować ochotników, jak ich szkolić i jak rozbudowywać swój potencjał. A potrzeby są duże, bo jednocześnie gen. Syrski zapowiedział przechodzenie wojsk ukraińskich na system korpusów. Docelowo prócz 6 obecnie istniejących ma być sformowane 12–14 nowych, z których każdy na stałe ma odpowiadać za określony odcinek frontu. Zaletą nowej organizacji ma być nie tylko rozszerzenie pola odpowiedzialności oraz przezwyciężenie problemów z koordynacją i współdziałaniem sił walczących w systemie brygadowym, lecz także skokowe zwiększenie zdolności oddziaływania w głąb pozycji przeciwnika. O ile bowiem obecnie, w systemie brygadowym, głębokość uderzeń ogranicza się w zasadzie do ok. 30 km, to docelowo, jak mówił w wywiadzie telewizyjnym Andrij Biłecki, dowódca nowego 3. Korpusu, powinny one zyskać zdolności do skutecznego atakowania i niszczenia celów znajdujących się na terenie przeciwnika w odległości 100–150 km od linii frontu. Każda z rozbudowywanych właśnie jednostek systemów bezzałogowych ma zostać na stałe przydzielona do jednego korpusu, co zmieni dotychczasowy model zdominowany przez praktykę ich traktowania trochę w charakterze pogotowia ratunkowego i wysyłania na najtrudniejsze odcinki frontu.

Jak relacjonowali mediom anonimowi planiści wojskowi uczestniczący w przygotowaniu projektu „Linia dronów", na podstawie zebranych doświadczeń udało im się dokładnie policzyć, w jaki sposób nasycić front systemami bezzałogowymi, aby możliwe było skuteczne uniemożliwienie przeciwnikowi koncentracji sił, ich zaopatrzenia i przeprowadzenia skutecznego uderzenia. Wojskowi i analitycy obliczyli wymaganą liczbę załóg FPV, Maviców, dużych bombowców i zwiadowczych UAV na każdy kilometr frontu, tak aby wystarczyły one do całkowitego zatrzymania wroga. „Wcześniej wszystkie nasze jednostki prowadziły koczowniczy tryb życia – powiedział mediom jeden z dowódców polowych. – Ciągle były gdzieś wrzucane, zatykano nimi jakieś dziury. Teraz chodzi o to, że te pułki i brygada osiądą na jednym odcinku frontu i staną się tam siłą stabilizującą".

Stabilizacja frontu to główny, ale nie jedyny cel linii Drapatego. Jeśli uda się zatrzymać Rosjan, wojna będzie się sprowadzała do wymiany ciosów na duże odległości. Ukraińcy uważają, że w tym względzie są bardziej odporni, bo od początku konfliktu byli atakowani przez rosyjskie lotnictwo, rakiety czy shahedy. Do rosyjskich miast na tyłach wojna jeszcze nie dotarła w takiej skali jak w przypadku Ukrainy. Ale to się zmieni, bo jeśli zacznie się wymiana ciosów w ramach logiki „oko za oko", to zwykli Rosjanie, ochoczo wspierający dziś Putina, rychło poczują, że i do nich dotarła „operacja specjalna".

Jeśli linia Drapatego okaże się szczelna, zmieni też sytuację Ukrainy po wojnie. Nie będą potrzebne żadne europejskie korpusy stabilizacyjne czy międzynarodowe siły obserwacyjne, bo Ukraina sama będzie w stanie odgrodzić się od Rosji naszpikowaną systemami bezzałogowymi „strefą śmierci".

eprasa.pl 2ea2b4f482

Schnepf i „Mały Katyń”

Kolejny raz zrobiło się głośno o ojcu dyplomaty Ryszarda Schnepfa i teścia dziennikarki TVP Doroty Wysockiej-Schnepf. Oficer wywiadu wojskowego PRL uczestniczył w największej zbrodni na Polakach po II wojnie światowej. Jego działalność na tym się jednak nie skończyła

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

„Nie jest to pierwszy raz w historii, gdy osoba o nazwisku Schnepf przepytuje Polaków. Mam nadzieję, że wyjdziemy stąd cali i zdrowi” – tak Krzysztof Stanowski zwrócił się do Doroty Wysockiej-Schnepf podczas debaty TVP przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. Dyskusja na temat przeszłości teścia jednej z naczelnych propagandystek telewizji publicznej wywołała lawinę komentarzy, a w centrum uwagi znalazł się nie kto inny, jak ojciec byłego ambasadora RP w USA płk Maksymilian Schnepf, oficer Ludowego Wojska Polskiego i komunistycznego wywiadu wojskowego w czasach stalinizmu.

DYPLOMATA DUMNY Z OJCA

W 2017 r. ukazała się książka autorstwa Doroty Kani, Macieja Marosza i Jerzego Targalskiego pt. „Resortowe dzieci. Politycy”. Można tam przeczytać m.in. o zbrodniczej działalności Maksymiliana Schnepfa.

Ryszard Schnepf, ówczesny ambasador RP w USA, w ostrych słowach komentował zawarte w książce informacje: „Autorom nie wystarczył argument niekompetencji czy zwykłej nieprzydatności. Sięgnęli do nazistowskiej tradycji oczerniania rodziny, grzebania w korzeniach, snucia przypuszczeń, sugerowania spisku. Nie wystarczy krytyka. Trzeba skopać, opluć, upokorzyć. Fala antysemickich hejtów dotarła

Pomnik w Suwakach

epresa.pl

za ocean, budząc konsternację, a przede wszystkim skutecznie burząc z mozołem budowany przeze mnie wizerunek Polski tolerancyjnej, bez rasizmu i antysemityzmu" – można było wyczytać na profilu dyplomaty na Facebooku.

Z kolei w wywiadzie opublikowanym na portalu gazeta.pl Ryszard Schnepf przekonywał: „Mam świadomość, że atak na moich rodziców – metodą żywcem wyjętą z gadzinowej prasy marcowej – jest w gruncie rzeczy atakiem na mnie". Ojciec „za brak lojalności wobec władzy ludowej został »elementem niepewnym« [...] Mój ojciec był żołnierzem. Pod Lenino nie walczył za Związek Radziecki, tylko za wolną Polskę. To jego oddział pierwszy przeszedł ze wschodniego na zachodni brzeg Wisły. Był dwukrotnie odznaczony orderem Virtuti Militari. Brał udział w zdobyciu Berlina. Nie mam powodu, by się tego wstydzić".

Zapytany o sprawę walki ojca z żołnierzami wyklętymi, Schnepf odpowiadał, że „sprawa nie jest taka prosta. Trzeba znać jej kontekst. Od 1944 r. w Polsce trwała właściwie wojna domowa. Ludzie różnie wybierali. Dziś historię tę opisuje się jednostronnie. Wyklętych pokazuje się wyłącznie jako patriotów, którzy do końca nie złożyli broni".

Na stronie Muzeum Historii Żydów POLIN można znaleźć ponad dwuipółgodzinny wywiad z żoną Maksymiliana Schnepfa Alicją z d. Szczepaniak, posiadającą tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. O swoim mężu mówiła dosłownie kilka minut i ani razu nawet nie podała jego imienia. Za warte odnotowania uznała tylko kilka faktów.

W 1939 r. Maksymilian chciał podobno bronić Warszawy przed Niemcami, ale nie zdążył do niej dotrzeć przed zajęciem stolicy. Uciekając przed aresztowaniem, dostał się do Drohobycza, gdzie przebywał jego brat. Tam miał zostać przymusowo zmobilizowany do Armii Czerwonej. W 1943 r. chciał się dostać do tworzącej się armii gen. Andersa, jednak dowiedział się o tym za późno i jedynym wyjściem była 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W tym czasie cała rodzina została wymordowana podczas Holokaustu. Opisując czasy powojenne, Alicja Schnepf mimochodem wspomniała tylko, że mąż był w wojsku, stacjonując najpierw we Wrocławiu, a później w Warszawie. Rodzina przez cały ten czas miała żyć bardzo skromnie. Mówiąc krótko: historia jakich wiele.

JAK BYŁO NAPRAWDĘ

Maksymilian Schnepf pochodził z Drohobycza, jednak po śmierci ojca w poszukiwaniu zarobku przeniósł się do Łodzi. Tam pracował najpierw jako tkacz, a później – do wybuchu wojny – jako technik tekstylny. W życiorysie spisanym odręcznie przez Maksymiliana Schnepfa w 1954 r. czytamy: „W 1939 r. wróciłem do mego rodzinnego miasta do Drohobycza tj. na tereny wyzwolone przez Armię Radziecką. Po przybyciu zacząłem pracować jako pomocnik murarski [...] i w roku 1940 w miesiącu wrześniu zostałem powołany do Armii Czerwonej".

Po agresji niemieckiej walczył na froncie, był kilkakrotnie ranny (według jednej z wersji m.in. pod Stalingradem). W maju 1943 r. wstąpił do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, gdzie ukończył szkołę oficerską. Z dywizją przeszedł chrzest bojowy pod Lenino, następnie forsował Wisłę na przyczółku praskim, uczestniczył w „wyzwalaniu" Warszawy i operacji berlińskiej. Za odwagę otrzymał m.in. Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari oraz Krzyż Walecznych.

OBŁAWA AUGUSTOWSKA – „MAŁY KATYŃ"

W lipcu 1945 r. w stopniu porucznika dowodził pododdziałem w sile 110–160 żołnierzy złożonym z dwóch kompanii 1. Praskiego Pułku Piechoty stacjonującym w Białymstoku. Podległa mu jednostka wspierała wojska sowieckie w największej powojennej zbrodni na Polakach – obławie augustowskiej. Armia Czerwona, NKWD, UB oraz tzw. ludowe Wojsko Polskie przeprowadziły szeroko zakrojoną akcję pacyfikacyjną obejmującą tereny Puszczy Augustowskiej i jej okolic. Oddziały sowieckie otaczały tamtejsze wsie, aresztując mieszkańców podejrzanych o kontakty z partyzantką niepodległościową. Zatrzymano ponad 7 tys. osób, które więziono w ponad 50 miejscach. Sowieci utworzyli obozy filtracyjne, gdzie zatrzymanych torturowano i przesłuchiwano, przetrzymując ich skrępowanych drutem kolczastym w dołach zalanych wodą pod gołym niebem. Część z nich po przesłuchaniach wróciła do domu. Ok. 600 osób z Suwalszczyzny i Augustowszczyzny zostało wywiezionych w nieznanym kierunku i zamordowanych. Ich ciał do dzisiaj nie odnaleziono.

Przesłuchiwany przez prokuratora w 1994 r. Maksymilian Schnepf niczego nie pamiętał ze swojej działalności w okresie obławy augustowskiej. Zaprzeczył, by walczył z polskim podziemiem. Zeznał nawet, że nie wie, gdzie leżą miejscowości, które pacyfikowali podlegli mu żołnierze.

Co innego wynika z życiorysu sporządzonego przez Maksymiliana Schnepfa w 1954 r., w którym się chwali: „Po wojnie brałem udział w likwidacji band w Białostockim". Z dziennika bojowego podległej mu jednostki oraz sprawozdań suwalskiego PUBP dowiadujemy się natomiast, że jej pierwszym większym zadaniem było przeprowadzenie 13 lipca 1945 r. „sprawdzania dokumentów" w Suwałkach. Agresorzy zatrzymali wtedy 25–30 osób, z których 5 aresztowali, a 19 przekazali Rejonowej Komendzie Uzupełnień, gdyż podejrzewano je o uchylanie się od służby wojskowej. W kolejnych dniach kontynuowali przeczesywanie terenu, a zatrzymanych ludzi przekazywali funkcjonariuszom sowieckiego kontrwywiadu Smiersz. Ci z kolei trafiali do wspomnianych obozów filtracyjnych.

Fot. Kamil Korbik/wikipedia

eprasa.pl 2ea2b4f482

ZWALCZANIE „FASZYSTOWSKIEGO PODZIEMIA”

Na tym jednak nie skończyła się zbrodnicza działalność Schnepfa. Po demobilizacji frontowej od 3 czerwca 1946 r. dalej służył w Ludowym Wojsku Polskim i walczył z podziemiem niepodległościowym.

We wniosku odznaczeniowym z 6 lutego 1947 r. można wyczytać: „Kpt. Sznepf w okresie akcji wyborczej wykonywał obowiązki [...] Umiejętnie zorganizował zwiad na terenie Okręgu i sam osobiście ujął groźnego bandytę Młodzińskiego Stefana, z-cę d-cy bandy »Mieczysława« w obwodzie Baranowo pow. Przasnysz w dn. 31.12 1946 r., zdobywając kbk i amunicję. Brał czynny udział w przeprowadzanych akcjach zwalczania bandytyzmu faszystowskiego podziemia i w zupełności zasługuje na odznaczenie go Srebrnym Krzyżem Zasługi”.

W 1948 r. Schnepf został służbowo przeniesiony z Warszawy do Wrocławia na stanowisko starszego pomocnika szefa II Wydziału Sztabu Dolnośląskiego Okręgu Wojskowego. W 1950 r. wrócił do Warszawy, a 3 września 1951 r. w stopniu podpułkownika objął funkcję szefa I Oddziału Zarządu II Sztabu Generalnego, czyli wojskowego wywiadu. Było to ukoronowanie jego kariery wojskowej.

W 1947 r. Maksymilian Schnepf wziął ślub z Alicją z d. Szczepaniak, funkcjonariuszką Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W wywiadzie dla POLIN Alicja Schnepf ani słowem nie wspomniała o swojej ówczesnej pracy. Według wersji jej syna była niegroźną sekretarką. Z kolei według śledztwa Doroty Kani tak samo jak jej mąż prowadziła walkę z żołnierzami wyklętymi. W grudniu 1949 r. Alicja Schnepf została funkcjonariuszem operacyjnym w Wydziale V UB we Wrocławiu. Tam zajmowała się „walką z bandami”.

Jedna z ofiar Alicji Schnepf, Genowefa Cytryniak-Aleksander, w latach 40. wraz z przyjaciółmi założyła organizację patriotyczną Związek Białej Tarczy. Wkrótce na skutek działań UB, w tym Alicji Schnepf, wszyscy zostali aresztowani, poddani brutalnemu śledztwu i zesłani do kopalni uranu. W 1950 r. Schnepfowie przenieśli się do Warszawy, gdzie Alicja została przyjęta do służby w cieszącym się straszliwą sławą Departamencie V, gdzie wykonywała rozkazy jednej z największych sadystek – Julii Brystiger, znanej jako krwawa Luna. Alicja prowadziła tam pracę operacyjną.

Po odejściu z MBP i usunięciu jej męża z wojska w trakcie antysemickich czystek Alicja Schnepf podjęła starania o przyznanie jej renty specjalnej za „walkę z bandami”. W jednym z wniosków pisała: „Brałam bezpośredni udział w szeregu likwidacji operacyjnych nielegalnego podziemia i nielegalnych organizacji, których niedobitki w ostatniej fazie działalności istniały na terenie b. Ziem Odzyskanych”. Jak na rzekomo zwykłą sekretarkę, wykazała się nadzwyczajną aktywnością w resorcie.

Maksymilian Schnepf przez wiele lat pełnił funkcję szefa Studium Wojskowego na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie odpowiadał za szkolenie wojskowe studentów. Według relacji jego syna podczas protestów studenckich w marcu 1968 r. bronił części aresztowanych studentów, co miało sprawić, że został uznany przez władze za „element niepewny” i odsunięty w 1969 r. Po odejściu z czynnej służby pracował w wielu instytucjach żydowskich: Żydowskim Instytucie Historycznym, Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w Warszawie oraz w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce, popularyzując historię Zagłady i wkład Żydów – żołnierzy LWP. Mimo odsunięcia z pełnionych funkcji w wojsku do końca życia był pułkownikiem dyplomowanym w stanie spoczynku. Zmarł 17 sierpnia 2003 r. w Warszawie i został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Fot. Andrzej Skwarczyński

Pomnik ofiar obławy augustowskiej w Gibach

KONEKSJE RODZINNE

Ryszard Schnepf ma bogate doświadczenie polityczne. Był m.in. sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ambasadorem RP w Urugwaju, Kostaryce, Hiszpanii oraz chargé d'affaires we Włoszech. Ukoronowaniem jego kariery wydaje się stanowisko ambasadora RP w USA, które otrzymał we wrześniu 2012 r. Jego żona Dorota Wysocka-Schnepf była wówczas korespondentką TVP w Waszyngtonie.

Ryszard Schnepf przekonywał, że karierę dyplomatyczną zaczął dopiero w 1991 r., a więc nie mogło to mieć związku z karierą jego ojca. Najwyraźniej nie zapominał jednak o rodzinnych powiązaniach. Gdy rezydował w Waszyngtonie, pierwszym radcą i kierownikiem wydziału politycznego ambasady RP w USA była Monika Lipert-Sowa, córka Cezarego Liperta, innego żołnierza Zarządu II Sztabu Generalnego, pracującego m.in. w oddziale „Y” oraz w oddziale attachatów wojskowych.

Teraz Ryszard Schnepf ma zastąpić Annę Marię Anders na stanowisku ambasadora RP we Włoszech. Można to uznać za symboliczną zmianę: syn żołnierza Armii Czerwonej w miejsce córki gen. Władysława Andersa.

Sama Dorota Wysocka-Schnepf unika dyskusji o przeszłości rodziny jej męża oraz tematów historycznych. Mimo to kilka lat temu nie wytrzymała i skrytykowała m.in. upamiętnianie wyklętych w PKP. Nie pozostawiła też bez reakcji wypowiedzi Krzysztofa Stanowskiego podczas jednej z ostatnich debat prezydenckich. Samo wdanie się w dyskusję z kandydatem można uznać za niestosowne. Dorota Wysocka Schnepf powiedziała: „Zacytuję pana prof. Bartoszewskiego, który niegdyś mówił, że kiedy pijany zwymiotuje na mnie w autobusie, to nie jest to obelga, to nieprzyjemne, nie każdy może mnie obrazić”. Biorąc pod uwagę przeszłość rodziny Schnepfów, to, że dziennikarka powołała się na osobę, która była represjonowana w czasach stalinowskich i niemal dwa lata spędziła w więzieniu przy ul. Rakowieckiej, jest po prostu bezczelne.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Decydujący głos

W loży – Stanisław August Poniatowski, a także głos Neptuna. Na scenie – upozowany na carycę Katarzynę krwawy potwór. Odważną interpretacją opery „Idomeneo" Mozarta w reżyserii Marka Weissa Teatr Królewski zainaugurował VIII Letni Festiwal Polskiej Opery Królewskiej – Opera Seria

Fot. G. Mart, archiwum Polskiej Opery Królewskiej

eprasa.pl 2ea2b4f482

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Punktem wyjścia do mojej inscenizacji „Idomeneo" był zachwyt Teatrem Królewskim w Łazienkach, gdzie Stanisław August Poniatowski oglądał z loży niejedno dzieło, w tym zapewne tę operę Mozarta – mówi Marek Weiss.

FINALNY WYROK

Udzielając ostatniemu polskiemu królowi Głosu Neptuna, reżyser dał władcy prawo wydania finalnego wyroku. Wyroku nie tylko wspaniałomyślnego – bo ratującego życie Idamantemu, królewskiemu synowi, który miał zostać złożony w ofierze za to, że ośmielił się zabić bestię zesłaną na Kretę przez Neptuna jako karę wobec nieposłusznego króla, lecz także znaczącego dużo więcej.

– W naszym spektaklu zamiast morskiej bestii mamy postać carycy Katarzyny, która uosabia zło, jakie spotkało Polskę od czasu jej wstąpienia na tron do dnia dzisiejszego. Ta symboliczna konfrontacja z zasiadającym w loży Poniatowskim stanowi oś przesłania mojego spektaklu – zdradza reżyser.

Tak odważnie poprowadzona interpretacja nie wyczerpuje oryginalności i szerszego spojrzenia Weissa na dzieło Mozarta. Intrygujące jest też podejście reżysera do wizualnej strony spektaklu.

Z WIDOKIEM NA…

Dzięki scenograficznej współpracy z Wiesławem Olko w zabytkowej strukturze Teatru Królewskiego pojawił się element niespodziewany i poszerzający optykę na kilku płaszczyznach. To wielkie okno wkomponowane w bryłę Starej Oranżerii, teraz odsłonięte i wykorzystane jako element scenografii. Dzięki niemu klasyczna „puzderkowa" przestrzeń stała się „sceną z widokiem", „sceną z głębią", „sceną współgrającą" połączoną z historycznym otoczeniem budynku.

W takiej poszerzonej przestrzeni twórczą wizję Weissa wspomaga też modowy duet Paprocki & Brzozowski. Decyzja reżysera, by kostiumy nie były antyczne, lecz oddawały charakter postaci, otworzyła przed projektantami pole do swobodnej kreacji. Widocznej m.in. przy stylizowaniu chóru, który Weiss potraktował jako odrębną zbiorową postać. Monochromatyczność strojów zostaje tu rozbita przez ręcznie wyszywane biżuteryjne hełmy. Ten dodatkowy „organizm" (o wiele większy niż wizualizacja bestii) wprowadza w zamaszysty sceniczny ruch choreografia Izadory Weiss.

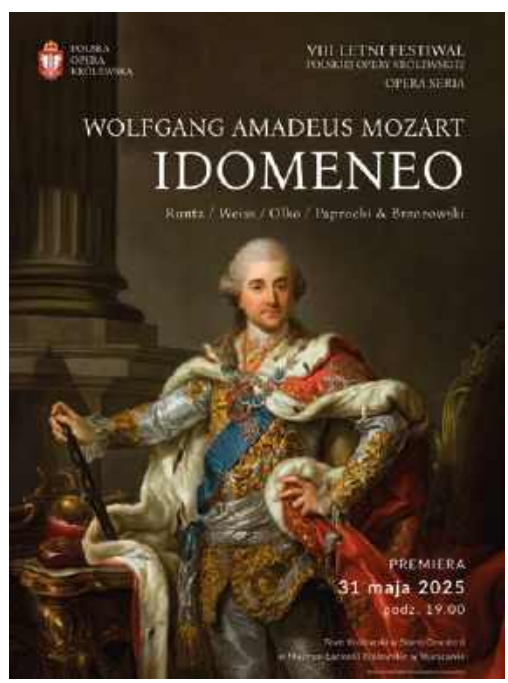

BIĆ SIĘ CZY NIE BIĆ?

Reżyser nie ukrywa, że nie widział w Mozarcie twórcy tzw. opery seria. Propozycja wyreżyserowania „Idomenea" sprawiła, iż zagłębił się w muzyczną formę oraz treść utworu i przeżył zaskoczenie. Znalazł nie tylko podwójne, lecz także potrójne dno. Mówi: – Nagle zrozumiałem, że ta opera łączy się z jedną z najpiękniejszych książek, jakie powstały w Polsce – „Bić się czy nie bić" Tomka Łubieńskiego. Książki, która analizuje najważniejsze pytanie w naszej historii, gdy młodzi chcą walczyć, nawet z przeważającymi siłami wroga, a starsi mówią o zbyt wysokiej cenie, jaką trzeba będzie zapłacić [...]. I tak od powstania do powstania. Od Nocy Listopadowej, która rozpoczęła się tu niedaleko [Szkoła Podchorążych, z której wyruszyli powstańcy, mieściła się w Wielkiej Oficynie na terenie Łazienek Królewskich – przyp. red.] po najbardziej tragiczne powstanie warszawskie. Historia się powtarza...

Idamante zabija bestię, która niszczy Kretę, morduje ludzi, bo jego ojciec król nie jest w stanie podjąć działania. Siedzący w loży Stanisław August Poniatowski głosem Neptuna wydaje wyrok, w którym oddaje rację młodym.

BŁYSK ELETTRY

Ostatnio polski władca oraz caryca Katarzyna to jedyne postaci w najnowszej inscenizacji „Idomenea" ubrane w historyczne (choć zmodyfikowane) stroje. Pozostali bohaterowie noszą współczesne kostiumy.

– Zwracaliśmy uwagę na detal. Przy tak niewielkiej sali nawet z ostatniego rzędu będzie widać szczegóły – zauważa Mariusz Brzozowski. O bardzo wyrazistej (także wizualnie) Elettrze mówi, że to postać dominująca, zdecydowana, wręcz „elektryczna", stąd błysk, który pojawia się w jej stroju, a „przezroczystość powłóczystej koronki podkreśla demoniczną kobiecość". Jedyny mocny kolorystyczny akcent – krwistą czerwień – widać w kostiumach dwóch furii.

– Udało się nam przemycić wszystkie nasze ulubione detale: inkrustowane aplikacje z pereł i błyszczących cyrkonii, ręcznie przyszywane koronki, użyliśmy też piór i frędzli – dodaje Marcin Paprocki. – Kostiumy są dopracowane jak w kreacjach haute couture. Dano nam dużo twórczej swobody, więc udało się tutaj stworzyć nasz „the best of".

Program VIII Letniego Festiwalu Polskiej Opery Królewskiej – Opera Seria, który potrwa przez 11 wieczorów (między 31 maja a 19 lipca), znaleźć można na stronie POK.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Królom już dziękujemy

W wyjątkowym roku tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego publiczny nadawca usuwa polskich władców z ekranu i swoich planów. Dlaczego? Bo „Królowie" oraz kolejne sezony tego serialu nie mieszczą się w misji, wizji i polityce obecnej TVP

Po cichu mijają tygodnie i miesiące wyjątkowego, jubileuszowego roku. Roku, który mógłby otworzyć wiele medialnych projektów promujących – szeroko i atrakcyjnie, na miarę czasów i potrzeb współczesnego widza – polską historię, przybliżających dzisiejszemu odbiorcy racje i działania ludzi, którzy sprawili, że dziś, przynajmniej w założeniu, tworzymy wspólnotę narodową.

ODRODZONE KRÓLESTWO

Teraz, jak obserwujemy, są „ważniejsze" wydarzenia, obchody i daty do celebrowania. Publiczny nadawca przywołuje inne wątki z przeszłości. Wykłada pieniądze na promocję i realizację innych działań i postaci.

Oczywiście można powiedzieć, że jubileuszowa – kinowa czy serialowa realizacja – wymagałaby zbyt wielkich nakładów, a i czasu na przygotowanie było mało. Albo też, że dekadę temu, kiedy było głośno o planach przeniesienia na ekran „Odrodzonego królestwa" Elżbiety Cherezińskiej – cyklu okrzykniętego doskonałym materiałem, zarówno na kinową, jak i wieloodcinkową produkcję opowiadającą o pierwszych polskich władcach – publiczny nadawca znajdował się na innej pozycji, miał inne priorytety i możliwości. Jednocześnie trudno nie zauważyć, jak współczesna technologia usprawniła tworzenie produkcji, a także nie docenić zaplecza, jakie powstało od początku realizacji „Korony królów". Swoją drogą, zdjęcia do kinowej „Hardej", która inicjowała filmowy cykl o Piastach, miały się zacząć w 2018 r., dwa lata od medialnych zapowiedzi.

WOŁANIE NA PUSZCZY

Wracając jednak do „Korony królów" i jej kontynuacji. Oddani historycznej telenoweli telewidzowie, niestety znacznie mniej słyszalni i zauważalni w zalewie medialnych roszczeń, planów i oczekiwań, piszą na Berdyczów i wołają na puszczy, tworząc na facebookowej stronie serialu takie m.in. posty (pisownia oryginalna): „Jak możecie tak traktować swoich fanów! Tak wielu ludzi chce kontynuacji serialu a wy macie to w głębokim poważaniu #ŻĄDAMYKONTYNUACJISERIALUKRÓLOWIE MY FANI SA WSROD NAS LUDZIE KTORZY OGLADALI WAS OD PIERWSZYCH ODCINKOW JESZCZE KORONY KRÓLÓW I MAJA PRAWO CZUC NIEDOSYT. [...] A CO Z CALA RESZTĄ DYNASTII JAGIELLONÓW?!...".

NA UBITEJ ZIEMI

Prawdą jest, że od początku realizacji „Królów" przedstawiciele obecnej TVP nie ukrywali, iż na tej produkcji (w sumie 80 odcinkach) chcą zakończyć ciągnącą się od 2018 r. historyczną telenowelę. Czy to jednak – gdy gospodarnie spojrzymy na publiczne pieniądze – dobre posunięcie?

Przez ostatnie lata rozbudowywało się i świetnie działało realizacyjno-kostiumowe zaplecze „Korony królów". Sprawdzała się w bojach (budowaniu filmowej oprawy historycznego świata, a także dosłownie stając na ubitej ziemi) ekipa. Realizacyjny poziom produkcji uznali z czasem nawet najbardziej zagorzali oponenci sprzed lat. Ci, którzy z różnych powodów (nie zawsze tylko merytorycznych), zalewali falą krytyki pierwsze odcinki „Korony królów".

Dawni krytycy, zwłaszcza punktujący historyczną niezgodność detali kostiumów czy scenografii, zaczęli doceniać całość projektu (w kolejnych sezonach dopracowywanego również w materialnych niuansach). Poza oprawą widzowie mogli podziwiać aktorskie kreacje tworzone w trzech seriach „Korony królów" (2018–2020), dwóch sezonach „Korony królów. Jagiellonowie" (2023–2024) i teraz w „Królach" (2024–2025).

KRÓLEWSKI PRYZMAT

W ostatnim, 80. odcinku „Królów" Kazimierz Jagiellończyk (w tej roli znakomity Michał Kaszyński) poślubił Elżbietę Rakuszankę (Anna Paliga), córkę Albrechta II Habsburga. W katedrze na Wawelu równocześnie z zaślubinami nastąpiła koronacja Elżbiety, zwanej później matką królów. Z 13 jej dzieci, 4 synów włożyło koronę, córki poprzez swoje małżeństwa zostały skoligacone z większością panujących wówczas europejskich dynastii.

Historia tej królewskiej pary aż się prosi o kontynuację, spojrzenie na dużą część z 45 lat panowania Kazimierza Jagiellończyka także przez pryzmat towarzyszącej mu mądrej żony. To niewymuszone, a znakomite połączenie oczekiwań współczesnych czasów, trendów i narracji.

JGZ

Fot. Anna Gostkowska/TVP

eprasa.pl 2ea2b4f482

HITY i KITY TV ZAREMBY

„Utrata równowagi" – w niewoli reżysera

Niemal w tym samym czasie dostaliśmy dwa podobne polskie filmy. Aktorka Gabriela Muskała nakręciła „Błaznów", a debiutant w pełnym metrażu 31-letni Korek Bojanowski „Utratę równowagi"

Punktem wyjścia obu są spektakle dyplomowe w szkole aktorskiej. Oglądamy w nich, jak reżyserzy grają na aktorskich emocjach, próbując osiągnąć efekt artystyczny wątpliwymi metodami. Mottem do filmu Bojanowskiego jest wypowiedź wielkiego aktora, a także pedagoga, Tadeusza Łomnickiego, który mawiał, że musi zgwałcić swoich uczniów, bo inaczej zgwałci ich życie (teatralne).

W ***„Błaznach"*** reżyser staje się pierwszym katalizatorem niezdrowych emocji. Ale potem wyzwalają się one same, żywiąc się niechęciami, zawiściami i miłosnymi trójkątami – aktorzy płacą cenę za uprawianie swojego zawodu. Paradoksalnie tamten obraz był dyplomem, ale filmowym, jednego roku łódzkiej filmówki. Film Bojanowskiego, też grany przez młodych aktorów, ale niebędących jedną grupą, jest prostszy i zarazem bardziej oskarżycielski.

Główna bohaterka Maja, grana przez Nel Kaczmarek, nie jest pewna, czy w ogóle chce zostać aktorką. Kiedy pojawia się modny kiedyś, choć podupadły reżyser Jacek, zrazu przywraca jej motywację. Kluczem ma być rola lady Makbet w sztuce Szekspira. Jednak dalszy ciąg to meandry swoistej gry, jaką ów Jacek, rewelacyjnie zagrany przez Tomasza Schuchardta, prowadzi z dziewczyną. Czy od początku zamierzał ją niszczyć, czy mści się za niepełne posłuszeństwo? Mamy do czynienia z dusznym splotem intryg rodem z thrillera. W tle zdawkowo pokazano życie grupy. Klimat imprezowania do znakomitej muzyki Wojciecha Frycza to jednak ozdobnik.

„Utrata równowagi" mnie zaskoczyła. To nie jest tylko pamflet na niewyżytych manipulatorów starszego pokolenia. Aktorska młodzież też nie wypada tu najlepiej. W pogoni za rolą, pokazaniem się, pierwszym sukcesem, studenci są gotowi nie dostrzegać cudzej krzywdy. Może zresztą naprawdę dają się podejść. Ale gdzie w takim razie ich empatia, inteligencja emocjonalna? Młodzi aktorzy grający u Bojanowskiego firmują więc poniekąd krytykę siebie czy kolegów.

Nie mamy tu klasycznego mobbingu, lecz ciąg podstępów. Na ile znam ten świat, uważam, że to niejedyny dylemat aktorskiej edukacji, a może natury tego zawodu. Równie ważny jest problem pozbawiania jego adeptów własnego zdania, gdy przychodzi do kształtowania wrażliwości i wyobraźni, do wyborów artystycznych. Poza jednym pseudofeministycznym sygnałem nie widzimy, w co demoniczny reżyser przekształcił szekspirowski dramat. Gra toczy się o jego nagą władzę nad ludźmi.

To prawda, że debata o przemocy w teatrze, która wybuchła przed kilkoma latami, zaowocowała nowymi patologiami. Nagle wymagający wykładowcy szkół artystycznych stawali pod pręgierzem przesadnych pretensji młodych ludzi, bo taki jest „duch czasów". Samą obawę przed manipulacją uważam jednak za temat ważny i odważnie postawiony.

Nel Kaczmarek perfekcyjnie rejestruje kolejne fazy szamotaniny dziewczyny, która może liczyć tylko na siebie. Schuchardt jak zwykle jest charyzmatyczny. Nawet gdy kilka momentów wydało mi się nie do końca przekonujących psychologicznie, oni je uwiarygodnili. Odnotować trzeba świetne portrety Mikołaja Matczaka (Kuba), Oskara Rybaczka (Piotr) i Angeliki Smyrgały (Anka). Żadna z ich postaci nie staje na wysokości zadania, ale są prawdziwi w swoim zagubieniu. Tych, którzy obawiają się opowieści „branżowej", zapewniam – temat gry o uzależnienie od siebie innych, młodszych i bardziej bezbronnych, jest stary jak świat i w tym filmie wystarczająco uniwersalny.

Piotr Zaremba

JAK WYGRAĆ WYBORY INTRYGĄ?

„Skoro udało się wpłynąć na wynik w Krakowie, co stoi na przeszkodzie by przy zaangażowaniu naprawdę niewielkich środków finansowych, powtórzyć to [...] w ogólnopolskich wyborach, np. prezydenckich". Te prorocze zdania pojawiły się w książce ***„Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać"***.

Autorami są Wojciech Mucha, człowiek ze środowiska „Gazety Polskiej", i Andrzej Gajcy, dawny dziennikarz Onetu. Przeglądam właśnie ten produkt wydawnictwa Nowej Konfederacji, świeży jak gorące bułeczki nad ranem.

Temat, zdawałoby się, lokalny: ostatnie wybory samorządowe w Krakowie. Kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta Aleksander Miszalski wygrał je nieznaczną większością z Łukaszem Gibałą, jego dawnym kolegą partyjnym, który skręcił w lewo, ale próbował mobilizować krakowian walką z miejskim układem interesów, wpływami deweloperów.

Autorzy zaczynają od historii krakowskiej polityki, sylwetek kandydatów, charakterystyki wieloletniej prezydentury Jacka Majchrowskiego petryfikującej swoistą lokalną oligarchię. A potem dostajemy wiwisekcję samej kampanii, regularne dziennikarskie śledztwo.

Mamy opis kuriozalnych zdarzeń łącznie z włamaniem do domu ojca kandydata Gibały po to, aby wykraść dokumenty jego firmy – policja wykazuje się modelową nieudolnością w ściganiu sprawców. Mamy też opis kampanii internetowej niewliczanej do wydatków konkurentów Gibały, produkcję fikcyjnych gazetek czy nielegalne wieszanie na przystankach kłamliwych plakatów szkalujących kandydata zmiany, a równocześnie niszczenie jego banerów. Mucha i Gajcy docierają do danych „nieuchwytnych" sprawców. Pokazują rolę w tych akcjach zaplecza Platformy, łącznie z Silnymi Razem i SokiemzBuraka. Wyłania się rzeczywistość naznaczona korupcją polityczną. Ten czarny PR finansowali znani deweloperzy i biznesmeni zarabiający na kontraktach z miastem.

Autorzy nie idealizują samego Gibały. Chodzi im o przejrzystość polityki. Tak jakby przewidzieli patologie kampanii „profrekwencyjnych" na rzecz Rafała Trzaskowskiego. Nawet jeśli zabrakło mi tu trochę prawnych i instytucjonalnych remediów, to każdy, kto chce rozumieć polską politykę, powinien to znać. Łącznie z rozmową z mafiozem z Sycylii – on tę politykę dobrze rozumie.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„Biedermann i podpalacze" – czyli kto?

Obejrzeliśmy jeden z najlepszych teatrów telewizji tego sezonu. Co nie dziwi, skoro reżyserował jeden z bardziej utalentowanych reżyserów filmowych – Jan Holoubek. „Biedermann i podpalacze" to dzieło szwajcarskiego dramatopisarza Maxa Frischa, przed laty modnego, dziś trochę zapomnianego

To sztuka utrzymana w modnej w latach 50. konwencji groteski, ale ze społecznym zacięciem. Historia oportunistycznego mieszczucha żyjącego w mieście dotkniętym plagą podpaleń, który nie tylko wpuszcza do domu podpalaczy, lecz także nie reaguje na piętrzące się dowody, że nimi są. Aż w końcu sam podaje im zapałki.

Nie mogłem widzieć polskiej premiery z 1958 r. – w Teatrze Współczesnym przyrządził to Erwin Axer. Widziałem powtórkę jego wersji telewizyjnej z 1964 r., wyborny teatr w świetnej obsadzie. Tu mamy perfekcyjnie zagrane spotkanie Andrzeja Seweryna w roli tytułowej z Mariuszem Jakusem i Łukaszem Simlatem, zbrodniczymi zapaśnikiem i kelnerem. Dekoracje i rysunek postaci do pewnego momentu są niby realistyczne, choć klimat metafory dodaje chór strażaków granych przez sekstet proMODERN. Mamy rysowane paroma kreskami role: Iwony Wszołkówny (Pani Biedermann), Pauliny Gałązki (służąca Anna) czy Marii Ciunelis (Pani Knechtling). I mamy pytanie: kim są podpalacze? Przecież Holoubek mówi o aktualności przesłania.

Kiedyś tekst odczytywano jako lewicową przestrogę przed faszyzmem gładko łykanym przez mieszczańskie społeczeństwa. Potem można go było czytać jako przypowieść o dowolnym karmieniu się złudzeniami przez mieszczuchów, tak sytych, że niezdolnych do samoobrony. O bezradności wobec różnych radykalizmów, importu przemocy, dziś wobec ludzi, którzy przynoszą tę przemoc z zewnątrz.

W rozmowie z Jolantą Gajdą-Zadworną Holoubek powiedział, że ma on inną niż Seweryn odpowiedź na pytanie o kim to jest. Szukałem jej w dyskusji po projekcji, ale choć padały różne przykłady – od Putina po aluzyjnie przywoływaną prawicę – nie było stanowczej pointy. I w sumie dobrze, takiej smacznej metafory nie ma co sprowadzać do publicystyki.

3 MIŁOŚCI

Czas patriotów

ROBERT TEKIELI

Nienawiść. Niezależnie od wyników wyborów, spora część Polaków będzie musiała się z nią zmierzyć. Emocje to biologia, są neutralne moralnie. Nienawiść to biologia, jest neutralna moralnie. Emocje to informacja, tak samo ból czy cierpienie. Dopiero decyzje i czyny brudzą duszę.

Można poczuć nienawiść do drugiego człowieka i nie pójść za tą emocją. Kaleczymy się dopiero wtedy, gdy decydujemy się żywić nienawiść. Karmienie złych emocji jest przyczyną wielu chorób. Karmieniem złych emocji w skali społecznej zajmują się funkcjonariusze Syndykatu. W jakim celu? Aby zdobyć i utrzymać władzę, dla kontroli. Polacy obserwowali właśnie potworny spektakl zinstrumentalizowanej nienawiści i pogardy. Nienawiść osiadła jak sadza, będzie zatruwać nasz organizm. Syndykat wylał na Polskę zawartość gigantycznego szamba.

Miłość, empatia regulują zachowania małych i wielkich zbiorowości. Młodzież przed oknem przy Franciszkańskiej, Polacy za pierwszej Solidarności, ludzie stojący w kolejce do trumny Lecha Kaczyńskiego na Krakowskim Przedmieściu, Polacy zbierający się przy kościołach w godzinach odchodzenia Jana Pawła II, piłkarze i kibice na stadionie z filmu Mariusza Pilisa „21.37", wieśniacy gromadzący się przy kapliczkach na nabożeństwo majowe.

Wspólnota kieruje się zmysłem dobra, spajająca ją miłość jest środowiskiem, w którym rodzą się zbiorowe decyzje. Tłumem kierują emocje. Motłoch to tłum, który uległ złym emocjom, można nim dowolnie manipulować. Ludzie Syndykatu, operatorzy cywilizacji śmierci, wiedzą to od zawsze. Tak uratowali życie mordercy, Barabasza. Tak organizuje się lincze i pogromy. Tak było od zawsze, ale świat się zmienił nieodwracalnie, gdy funkcjonariusze Syndykatu odkryli, iż rzeczywistość najlepiej daje się lepić, kiedy społeczeństwo staje się motłochem.

Czyniono z Polaków motłoch na wszystkie możliwe sposoby. Wychowano grupę wyborców gotowych zmienić poglądy z dnia na dzień, zdolnych przełknąć odwrócenie narracji w jednej chwili o sto osiemdziesiąt stopni. Jednego dnia Trzaskowski mówił „a", następnego nie „a", wyborcy zaś potakiwali. Tusk potrafił zaprzeczyć sobie w ciągu kilku godzin. Pluto w twarz prawdzie, gwałcono uczciwość, współwinnymi uczyniono wiele milionów Polaków. Nie da się żyć w świecie zgody na to, że kłamstwo powtórzone tysiąc, milion razy przestaje razić.

A na naszych oczach świat jak wąż zmienia skórę. Toczy się wojna zastępcza, nie tylko na Ukrainie: z USA walczą proirańscy Huti, Iran walczy z proamerykańskim Izraelem. Północnokoreański komponent osi zła twierdzi, że amerykańska Złota Kopuła, tarcza, jest bronią ofensywną. Koalicja państw dyktatorskich i totalitarnych, ośmielona okazaną w Afganistanie słabością hegemona, zakwestionowała globalną kolejność dziobania. Marksistowskie Chiny chcą wypchnąć USA z Azji, ograniczyć ich dominację jedynie do półkuli zachodniej. Stany Zjednoczone budują sieć globalnych porozumień gospodarczych i strategicznych, wkrótce będą przerzucać część swoich sił z Europy na teatr pacyficzny. Ryzyko eskalacji nie zniknęło. Trwa strategiczna przebudowa światowego systemu wzajemnego odstraszania.

Na Ukrainie o militarnym sukcesie decyduje umiejętność zarządzania spektrum elektronicznym, wiedza, jak cyfrowo oślepić wroga. Amerykanie udowadniają tu swoje przewagi i bezradność Starego Kontynentu: Europa bez unikatowych atutów USA nie jest w stanie ani zapewnić sobie samej bezpieczeństwa, ani być gwarantem ewentualnego pokoju czy zawieszenia broni w swoich granicach – na Ukrainie.

Przed człowiekiem Zachodu otumanionego liberalną ideologią globalnego: „Kochajmy się!" na chwilę odsłoniły się fundamenty świata. Opada zasłona słów, zasłona liberalnej narracji i wszyscy widzą, że przynajmniej od kongresu wiedeńskiego konsumującego klęskę Napoleona trwa bezwzględny koncert mocarstwowych przewag – w utajeniu albo jawnie – jak dziś. Czemu jestem proatlantycki? W przeciwieństwie do imperialnych Niemiec, imperialnej Francji, imperialnej Komisji Europejskiej czy Rosji, imperialne Stany Zjednoczone nie próbują odebrać nam państwa.

Rządzący Zachodem liberalny moloch, jeden z najważniejszych komponentów korpusu ekspedycyjnego Syndykatu śmierci, 300 lat temu oddelegowanego do kosmicznej wojny z dobrem, prawdą i pięknem, rodziną, Kościołem powszechnym, małżeństwem, rodzicielstwem, życiem, próbował wpłynąć i wpływał na wynik wyborów w Polsce. Zagraniczne pieniądze, Akcja Demokracja, fale hejtu, Sorosowe srebrniki. Fala nienawiści sięga przez ocean, węgierski łącznik, ingerencja w wybory w Hiszpanii, Polsce, Rumunii...

A do polskich szkół wchodzą drag queens, wiceministra Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej rządu Donalda Tuska Monika Sikora publicznie popiera obecność umalowanych mężczyzn w szkolnych klasach.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Liberalizm się wyrodził. Stotalitarniał. Mainstreamowy establishment chce władzy absolutnej.

Eliminowanie poczucia wstydu, leczenie z patriotyzmu, amputacja wiary, a właściwie kulturowo stymulowane wprowadzanie toksycznych duchowości i wierzeń w miejsce wiary. Rozpasany irracjonalizm, człowiek samotnie stający wobec zagrożeń, niedostający pomocy znikąd – w liberalnych, zatomizowanych zbiorowościach nie ma już tradycyjnej solidarności społecznej.

W kolejnych krajach Zachodu są pisane elegie dla bidoków. Wracamy do czasów przedbismarckowych. Jeśli nie pomoże mi rodzina czy naród, jeśli nie zadbamy o siebie, nikt nie zrobi tego za nas. Z internacjonalistycznej globalistycznej wycieczki wracamy ku spójności, narodowi, patriotyzmowi. Wracamy do korzeni. Do wspólnot. Kończy się era ideologii globalizmu, nastaje czas narodów. Czas patriotów.

Kontrrewolucja zdrowego rozsądku Trumpa uratowała Amerykę. W Europie trwa spisek liberalnych elit. Oligarchii brak argumentów, chce już tylko utrzymania władzy, nie ma zamiaru prowadzić dialogu z demosem. Ma na składzie cenzurę, unieważnianie demokratycznych wyborów, wyroki więzienia. W Europie coraz więcej władzy trafia w ręce coraz mniejszej grupy osób i nie idzie za tym obiecywany wzrost bezpieczeństwa, a jakość życia Europejczyków pogorszyła się w ciągu ostatnich dwóch dekad nie tylko w stosunku do USA, lecz także w stosunku do biedniutkich niegdyś Indii.

A historia nas ostrzega. Po II wojnie światowej Europa Środkowa i Wschodnia stały się daniem. Moskwa żywiła się nami. Eksploatowała ekonomicznie, powstrzymywała rozwój. Skracając wywód: niesprawiedliwość, kłamstwo zawsze muszą się odbywać czyimś kosztem. Teraz się rozstrzyga, kto będzie paszą. Kim pożywi się kolejny światowy ład. Kto siądzie przy stole, a kto będzie na stole.

Jeśli nie pomoże mi rodzina czy naród, jeśli nie zadbamy o siebie, nikt za nas tego nie zrobi. Z internacjonalistycznej globalistycznej wycieczki wracamy ku spójności, narodowi, patriotyzmowi. Wracamy do korzeni. Do wspólnot. Kończy się era ideologii globalizmu, nastaje czas narodów. Czas patriotów

Zatytułowałem swoją nową książkę: „Syndykat śmierci i inne teksty o nadziei". Bo ten, kto rozumie proces, może nie dać się zmiażdżyć idącemu tsunami.

Część narodów zostanie skrzywdzona. Tak jak od dekad krzywdzeni są Kurdowie. Ich los nikogo nie obchodzi. Nie mamy możliwości, by im pomóc. Syndykat działa, bo grzech pierworodny, pierworodna skaza... Ale jako naród średniej wielkości, który wydobył się z sześciopokoleniowego niebytu, a potem z siedmiu dekad niesuwerenności, mamy obowiązek rozumieć mechanizmy rządzące historią.

Prawdziwa antropologia jest zawarta w Słowie objawionym, wiemy, na czym polega logika Bożej opatrzności. Rozumiemy więc, jaki jest związek pomiędzy decyzją Dawida, który nie zabił prawowitego króla, a jego rychłą koronacją i długimi rządami. Wiemy też, do czego po latach doprowadził go mały grzech, bo zanim zabił cudzymi rękami Uriasza Hetytę, najpierw zgrzeszył lenistwem, nie wychodząc z wojskiem na podbój jak co roku, jak każdy władca tamtych czasów, by potem z nudów zniewolić żonę Uriasza Batszebę, a w konsekwencji – by ukryć cudzołóstwo – Dawid zamordował. To jest automatyzm. Mechanizm. Suma zła, suma grzechu, również narodów. Czasami jest za duża i sprawy toczą się własnym napędem oraz własną logiką.

Syndykat się rozpędza. Jest pole duchowej walki. Kto ma pojęcie, że się ona toczy, nie musi przegrać. Wiedział to Prymas Tysiąclecia, który ograł komunę, wiedział Wojtyła, wiedział Popiełuszko, wiedział Blachnicki. Każdy z nich wygrywał z siłami Syndykatu. Ruch Światło-Życie przeorał duchowo Polskę, wspólnota, którą stworzył Popiełuszko, przywróciła Polakom nadzieję.

Nadszedł czas patriotów. Zło tryumfuje, gdy społeczeństwo staje się motłochem, samotnym tłumem. Nie damy z narodu zrobić motłochu.

Każdy, kto opluwa, kłamie, wzbudza pomieszanie, budzi w odbiorcach rozpacz i poczucie bezwyjściowości jest wrogiem wiary, miłości i nadziei. Ani defetyzm, ani histeryczny radykalizm nie są katolickie. Jeśli ktoś ci udowadnia, że Syndykat jest silniejszy od mocy łaski, myli się. Jeśli ktoś głosi naukę, której konsekwencją jest rozbudzenie beznadziei w sercu słuchacza, stanął po stronie Syndykatu. Spiski i apokalipsy... czy te teorie cię obezwładniają, czy skłaniają do działania zgodnego z nauką Jezusa? Każda jeremiada prawdziwego proroka wzywa do nawrócenia, nie do rozpaczy.

Bóg jest większy. Bóg prowadzi, tylko trzeba się mu poddać. W swoim życiu często go nie rozumiem, ale wiem, że nie jestem sierotą.

Fot. Longfin Media/Shutterstock.com

eprasa.pl 2ea2b4f482

Faktom nie zaprzeczymy

Intelektualiści nie stawiają oporu. Można ich usunąć z drogi, używając policji, wynajętych osiłków czy fałszywych oskarżeń. Rasowy intelektualista ustąpi z drogi przed przemocą, a potem napisze książkę. Co więcej, nie będzie to książka o własnej krzywdzie, bo to by oznaczało brak klasy, co lepiej zostawić innym, ale o drodze, która zaprowadziła go do miejsca, w którym przebywał przez 18 lat, o postawach wobec historii, sensie opowiadania o niej, wreszcie o miejscu sporu historycznego we współczesności. To wszystko jest w tej pracy. Nie ma natomiast wylewania żalów czy osobistych pretensji. Mamy dość suchy zapis faktów przekazany bez herbertowskiego szyderstwa, choć z pełnym zdziwienia skrzywieniem.

* * *

W przypadku dymisji Roberta Kostry ze stanowiska dyrektora Muzeum Historii Polski w Warszawie nie trzeba było uciekać się do przemocy – jak w przypadku mediów publicznych. Kostrze po prostu zarzucono, że nie wydał pieniędzy w roku budżetowym, choć gdyby to zrobił, zarzut byłby cięższy i groził postępowaniem prokuratorskim. Ot, los każdego dyrektora prowadzącego wieloletnią inwestycję finansowaną z budżetu państwa, który traci wsparcie polityczne lub przynajmniej życzliwą neutralność odpowiedniego ministra. Każda dyrektorska decyzja jest wtedy błędna.

Po objęciu władzy przez koalicję kierowaną przez Donalda Tuska w instytucjach podległych ministrowi kultury nastąpił blitzkrieg polegający na usuwaniu szefów za pomocą sztuczek prawnych i osiłków ubezpieczanych przez policję. Patronujący temu minister Bartłomiej Sienkiewicz skwitował próby oporu słynnym powiedzeniem, że „asfalt nie może dyskutować z walcem", czym elegancko pokazał miejsce tym, którzy się z nim nie zgadzali.

To fascynująca intelektualna podróż przez polską przeszłość. Z jednej strony obejmuje ostatnie czterdziestolecie i jest opowieścią świadków, a kończy się na czasach współczesnych, następnie zaś w polemicznym skrócie pokazuje tysiąc lat historii Polski

Blitzkrieg nie dotknął jednak Muzeum Historii Polski i gdy minister udał się do Brukseli, by po mokrej robocie odpocząć wśród kulturalnych Europejczyków, a jego miejsce zajęła niepozorna i cicha kobieta, wydawało się, że czas czystek minął. I właśnie owa niepozorna i cicha kobieta przeprowadziła urzędniczą egzekucję na człowieku, który prawie dwie dekady wcześniej przyczynił się do powstania muzeum, a potem przeprowadził je przez polityczne meandry kolejnych rządów.

To prawda, iż żaden dyrektor nie powinien sądzić, że pozostanie na stanowisku po wsze czasy, lecz w takim przypadku zawsze musi się pojawić pytanie o cel jego trwania. Czy chodzi o uznanie przeszłych zasług, czy może o coś więcej? W tym przypadku z pewnością chodziło o znacznie więcej, o czym świadczy choćby powszechność protestu przeciwko tej dymisji: od prawicy po liberałów i lewicę.

W moim przekonaniu tajemnica owej powszechności kryje się w postawie, jaką Robert Kostro przyjął w tworzeniu muzeum. Słowo „tworzenie" należy tu rozumieć szeroko, bo to i dobór ludzi, z którymi się pracuje, i podejście do materii historycznej przy kreowaniu wystawy, i cała konstelacja działań wokół, bowiem muzeum to także wydawnictwa, inicjatywy edukacyjne, wystawy czasowe, koncerty. Kostro przyjął postawę, która sprowadza się do jego słów przytoczonych w tytule: „Faktom nie zaprzeczymy". Możemy natomiast mieć w pamięci odpowiedź na pytanie: po co? Po co właściwie opowiadamy tę historię? Po co i dlaczego trudzimy się, aby przedstawić przeszłe wydarzenia? I jaki jest sens tej opowieści?

* * *

Prowadzący utrwaloną w książce rozmowę Piotr Zaremba, który sam jest wysokiej klasy historykiem, czyni to tak, aby – nie nazywając tego w ten sposób – odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Dzięki temu spotkanie zamienia się w fascynującą intelektualną podróż przez polską przeszłość. Podróż, która z jednej strony obejmuje ostatnie czterdziestolecie i jest opowieścią świadków, gdyż zaczyna się od opisania doświadczeń studenckich, zresztą wspólnych obu rozmówcom, a kończy

eprasa.pl 2ea2b4f482

na czasach współczesnych, następnie zaś w polemicznym skrócie pokazuje tysiąc lat historii Polski. Jest to podróż, której towarzyszy przeświadczenie, że „jesteśmy dorosłymi ludźmi, nie ma narodów tylko bohaterskich, odnoszących same sukcesy, lub takich, które nigdy się nie splamiły". Więc nasza duma lub wstyd zawsze muszą być owocami uważnego rozeznania, bo nie ma sytuacji całkowicie jednoznacznych, wszystko jest złożone.

Złych rzeczy nie należy zakrywać, niewygodnym faktom nie wolno zaprzeczać, ale jednak o wiele bardziej trzeba spoglądać na przeszłość Polski jako na historię wolności. Ta idea prof. Andrzeja Nowaka silnie rezonuje w całym wywodzie. W pewnym momencie twórcy muzeum chcieli je zresztą nawet ochrzcić mianem Muzeum Wolności. I oczywiście w rozmowie pojawia się odwieczne dla Polaka pytanie: kiedy wolność przeradza się w anarchię? A także refleksja o tym, że umiłowanie wolności pozwalało przetrwać najgorsze czasy. Dyskusja o rozmaitym rozumieniu wolności, o tym, jak stosunek do wolności zasadniczo różnił nas (i różni do dziś!) od tego, jak ją rozumieją nasi sąsiedzi, i klasyczne pytanie, na jakie każdy z nas musi sobie odpowiedzieć: bić się czy nie bić? Wreszcie, już bliżej współczesności, w rozmowie o dyktaturze Piłsudskiego i ciągotach totalitarnych obecnych wówczas w programach wielu ugrupowań z różnych stron politycznego sporu wraca pytanie o to, czy istotnie można mówić o tym, że wolność jest zawarta w narodowych genach Polaków.

Zaremba ujmuje to brutalnie: „Jest wielki człowiek, niech on rządzi, ba, niech nami pomiata". Jego prowokacyjne pytanie napotyka na opór. „Nie widzę w polskiej tradycji jakiegoś silnego nurtu apologii przemocy czy autorytarnego państwa" – odpowiada Kostro.

Kostro jest przywiązany do wolności, to oczywiste, ale jednocześnie najbardziej jest przywiązany do tego, aby o niej rozmawiać. Muzeum bowiem nie jest podręcznikiem (to znowu cytat), ale miejscem refleksji i ścierania

Robert Kostro

eprasa.pl 2ea2b4f482

się poglądów. Jednak zawsze w poczuciu, że „faktom nie zaprzeczymy”. Nie zaprzeczymy w przypadku opowieści o Jedwabnem czy szmalcownikach, a także o Wołyniu, choć sympatia dla walczącej Ukrainy może prowokować do tego, aby nie tyle zaprzeczać faktom, ile spychać je na drugi plan lub całkowicie pomijać i czekać na sposobniejszy czas. „Nie należy zmieniać historii, bo mamy sympatię do Ukrainy” – powiada Kostro. Jednocześnie jednak powinno dominować przekonanie, że nie należy „pielęgnować nienawiści”. I to zarówno w odniesieniu do Wołynia, jak i do historii dawniejszej, bo skrajne uczucia mogą być karmione także przez pozornie odległy przekaz historyczny.

* * *

Podstawową postawą, jaką przyjmuje Kostro, jest „aprobata dla Rzeczypospolitej” przy pokazywaniu jej blasków i cieni, jednak zawsze z przeświadczeniem, że „muzeum nie jest od tego, żeby wydawać werdykty w każdej sprawie”. To ostatnie zdanie pada przy okazji dyskusji o problemie stosunku do Kozaków, gdy Zaremba dopytuje właśnie o „werdykt”, jaki miałaby wydać muzealna ekspozycja. Ostatecznego orzeczenia nie ma (i być nie może!), ale pozostaje żal, że nasi przodkowie nie zdołali się ze sobą porozumieć, że w XVII w. unia polsko-litewska nie została poszerzona o Kozaków i ten brak porozumienia do dziś „ciąży na historii Polski i Ukrainy”.

Deklarowaną aprobatę dla Rzeczypospolitej zaburza świadomość, że Polacy mają „kłopot z myśleniem państwowym”, że w naszym sposobie funkcjonowania w życiu publicznym dominuje „gest sarmacko-romantyczny i retoryka”. Wraca pytanie: bić się czy nie bić, pytanie o realizm w polityce, granice ugody i o to, czy bardziej sensowny jest nurt powstaniowy, czy nurt współpracy z okupantem, którego nie sposób pokonać. O to, czy warto przelewać krew, czy jednak „ratować substancję”.

To ostatnie nie jest obce postawie, którą przyjmuje Kostro, jednak jego zdaniem realizm nie może być absolutyzowany, nie może iść zbyt daleko i przyjmować postaci „fascynacji silniejszym, apologii ugody za wszelką cenę”. Wielu chciałoby bowiem na nowo rozwiązywać przeszłe dylematy w sposób kusząco prosty, wskazując rozwiązania, które obecnie wydają im się oczywiste, jednak w przekonaniu Kostry to droga donikąd. Bo „są takie sytuacje historyczne, kiedy dobrego rozwiązania po prostu nie ma”. Jedną z nich był ciąg zdarzeń prowadzących do wybuchu II wojny światowej i to, co nastąpiło potem do 1945 r. To był, używając jego określenia, „dylemat Antygony”.

> Robert Kostro ma silne przekonanie, że „polityka historyczna państwa powinna być postrzegana jako dobro wspólne”, czemu zresztą daje wyraz, tytułując tę książkę: „Państwowiec w muzeum”

* * *

Przy końcu rozmowy pojawia się gorzka refleksja dotycząca roli historii we współczesnym życiu politycznym. Kostro ma silne przekonanie, że „polityka historyczna państwa powinna być postrzegana jako dobro wspólne”, czemu zresztą daje wyraz, tytułując tę książkę: „Państwowiec w muzeum”, jednak widzi, że historia nazbyt często bywa używana nie do budowania wspólnoty, ale do realizowania partykularnych celów partyjnych, także przez bliską mu prawicę. W tej materii każdy obóz polityczny z łatwością wysunie wiele oskarżeń pod adresem obozów przeciwnych. Czy nie jest też tak, że polska skłonność do toczenia wojen politycznych na polu historii jest wyrazem głęboko tkwiącego w nas przeświadczenia o ważności gestu? O tym, że słowo może być ważniejsze niż czyn, a czasem może wręcz go zastępować? Jak w ukutym przez Czesława Bieleckiego neologizmie „słowoczyn”? Także dlatego, że jest to łatwiejsze, bardziej efektowne i zrozumiałe dla publiczności niż prowadzenie sporów dotyczących gospodarki, obronności, demografii? Czy nie jest tak, że wielu z nas woli wyżywać się w dziedzinie „soft power”, także narzekając na to, że inne nacje traktują nas niesprawiedliwie, podczas gdy dla pozycji Polski o wiele ważniejsza jest jej „hard power” i to na jej tworzeniu powinniśmy się teraz koncentrować? Zakończenie paradoksalne jak na człowieka, który poświęcił kawał życia na pracę nad „miękką siłą”, jednak jest to swego rodzaju znak czasu, gdy namacalnie czujemy, że zbliża się wojna.

Robert Bogdański

Autor jest dziennikarzem, publicystą. Pracował m.in. w BBC, Polskim Radiu, PAP. Z wykształcenia jest historykiem sztuki.

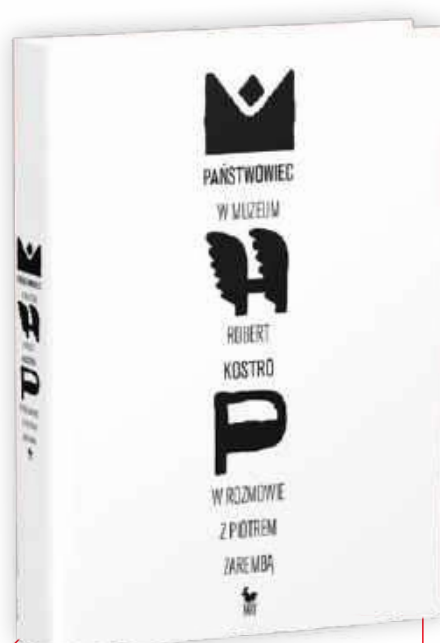

„Państwowiec w muzeum. Robert Kostro w rozmowie z Piotrem Zarembą”, Iskry 2025

eprasa.pl 2ea2b4f482

„Kolejorz” na właściwych torach

MICHAŁ MUZYCZUK

Mimo że walka o tytuł mistrza Polski trwała do ostatniej kolejki, a Lech Poznań miał ostatecznie zaledwie 1 pkt przewagi nad Rakowem, triumfator rozgrywek w pełni na to zasłużył. W ciągu całego sezonu Kolejorz był zespołem grającym najładniej, najbardziej intensywnie i zwyczajnie najlepiej

Kiedy duński trener Niels Frederiksen przejmował Lecha Poznań od Mariusza Rumaka po sezonie 2023/2024, nikt się nie spodziewał cudów. Piłkarze Kolejorza byli określani mianem „sytych kotów” i w stolicy Wielkopolski stanowili obiekt drwin. Zaledwie piąte miejsce w rozgrywkach, w których walkę o mistrzostwo porównywano do wyścigu żółwi, było kompletną klapą. Wątpiono w rządy klanu Rutkowskich, którzy dzierżą władzę w klubie od czasu fuzji Lecha z Amiką Wronki w 2006 r. Ale szybko się okazało, że Frederiksen potrafi trafić do piłkarzy Lecha, a jego zastępca Norweg Sindre Tjelmeland podkręca intensywność ich gry do maksimum.

Trenerom udało się wykrzesać z „sytych kotów” to, co najlepsze. Mikael Ishak, którego kariera jeszcze niedawno stała pod znakiem zapytania z powodu boreliozy, po trzydziestce zaliczył sezon życia, strzelając 21 goli. Podobnie jak Alfonso Sousa, bez wątpienia najlepszy pomocnik minionych rozgrywek w całej Ekstraklasie. Znakomity na prawej flance był Joel Pereira, środek pola trzymał Radosław Murawski, na tyłach szefował Antonio Milić, genialne momenty miał Ali Gholizadeh, najlepszym bramkarzem ligi był niezawodny Bartosz Mrazek.

Wśród liderów drużyny było też kilka nowych twarzy. Patrik Wålemark został wykupiony za rekordowe 1,8 mln euro z Feyenoordu Rotterdam, ale drogi zakup się opłacił. 20-letni Antoni Kozubal decydował o kształcie środka pola przyszłego mistrza, podobnie jak sprowadzony z Włoch Filip Jagiełło. Świetnie prezentował się młodziutki Michał Gurgul – zresztą stawianie na

Fot. Łukasz Gdak/East News

eprasa.pl 2ea2b4f482

młodzież składało się na siłę Lecha. Wzmocnieniem składu byli też Rasmus Carstensen czy Alex Douglas.

Przed sezonem nastroje w Poznaniu były kiepskie, po jego zakończeniu Wielkopolanie pękają z dumy. Kolejorz postawił na ofensywę – zawodnicy z Poznania strzelili aż o 17 bramek więcej niż wicemistrz z Częstochowy.

Niemal dwie dekady rządów Rutkowskich stają się najlepszym okresem w dziejach klubu (cztery mistrzostwa, trzy wicemistrzostwa i cztery najniższe stopnie podium), a przyszłość rysuje się w jasnych barwach. Pyry zamieniły swój matecznik przy ul. Bułgarskiej w prawdziwą twierdzę, wygrywając tam 15 z 17 spotkań. Niemały w tym udział kibiców, którzy tłumnie zasiadali na trybunach Enea Stadionu. Średnia frekwencja była rekordowa, jeśli chodzi o całą Ekstraklasę w XXI w. i wyniosła niemal 29 tys. widzów na mecz, a dwukrotnie przekroczyła magiczną barierę 40 tys. Dla porównania na stołecznym stadionie przy Łazienkowskiej zasiadało średnio niecałe 25 tys. osób, a pozostałe kluby nie przekroczyły poziomu 20 tys. ludzi.

NIE BĘDZIEMY TĘSKNIĆ

Przy tej okazji warto wspomnieć o dwóch klubach, które pożegnały się z Ekstraklasą, ale za którymi kibice raczej nie będą płakać: na Stal Mielec przychodziło średnio niecałe 5 tys. widzów, a Puszcza Niepołomice zamykała stawkę zarówno w klasyfikacji ligowej, jak i kibicowskiej, bo mecze ostatniej drużyny Ekstraklasy obserwowało nieco ponad 2 tys. osób. Stalczanom nie pomogła dwukrotna zmiana szkoleniowca i po pięciu sezonach w elicie nadszedł czas pożegnania dla jedynego przedstawiciela Podkarpacia w najwyższej klasie rozgrywkowej. Natomiast Żubry nie powtórzyły dobrego premierowego sezonu w elicie i podopieczni trenera Tomasza Tułacza, w podkrakowskim mieście znanego jako „Napoleon", spadają po dwóch latach prezentowania futbolu niewygodnego, przez złośliwych określanego wręcz topornym.

Trzeci spadkowicz, Śląsk Wrocław, był z kolei na podium jeśli chodzi o frekwencję, ale na niewiele się to zdało. Wicemistrz z 50-mln budżetem spadający z hukiem z ligi? Oto egzotyka polskiej Ekstraklasy w pełnej krasie. Piłkarze, którzy w sezonie 2023/2024 walczyli o mistrzostwo, w kolejnym przypominali karykaturę samych siebie. To właśnie postawę wrocławian należy uznać za największą negatywną niespodziankę mijających rozgrywek. Na swoim poziomie grali nieliczni (przede wszystkim Petr Schwarz), cała reszta kompletnie zawodziła i Śląsk od szóstej kolejki aż do końca nie opuścił strefy spadkowej. Chyba nikt się nie spodziewał, że brak Erika Expósita, króla strzelców sezonu 2023/2024, oraz przebojowego Matíasa Nahuela tak bardzo rozbiją drużynę Jacka Magiery, który zresztą pożegnał się ze swoją posadą w trakcie sezonu.

PLUSY I MINUSY

Podobny los spotkał inne znane nazwiska z rodzimego światka trenerskiego – wystarczy wspomnieć kwietniowe perypetie Jana Urbana w Zabrzu. Jak się okazało, solidne wyniki nie spełniały ambicji włodarzy Górnika Zabrze. Teraz przeciąga się proces prywatyzacji klubu, również poprzez odwołanie w referendum Agnieszki Rupniewskiej, prezydent Zabrza, miasta popadającego w ruinę. Wielu jednak wciąż liczy na szybkie przejęcie rządów w klubie przez podmioty powiązane z Lukasem Podolskim, który przedłużył kontrakt z Górnikami o kolejny rok.

Głośnym echem odbiło się wyrzucenie już na początku sezonu byłego selekcjonera reprezentacji Waldemara Fornalika po fatalnej porażce Zagłębia Lubin z Rakowem. Postawa Miedziowych to niemiłe zaskoczenie minionego sezonu – we znaki dała się nieobecność kupionego przez Legię Warszawa za niemal 1 mln euro Kacpra Chodyny oraz strzelecka niemoc Dawida Kurminowskiego. Ostatecznie piłkarze z polskiej stolicy miedzi utrzymali się w Ekstraklasie po zatrudnieniu „Rambo", jak pieszczotliwie nazywany jest znany z walki do końca Leszek Ojrzyński. Tym właśnie zasłynął, prowadząc m.in. drużynę Korony Kielce. Włodarze świętokrzyskiego klubu podjęli dobrą decyzję, rozstając się z Kamilem Kuzerą jeszcze w lipcu. „Scyzoryki" słabowały wtedy okrutnie, ale Jacek Zieliński stworzył w Kielcach dobrze naoliwioną maszynę, która wiosną z dużym spokojem utrzymała się w lidze.

Pod koniec sezonu 2023/2024 ten sam Zieliński wyleciał z Cracovii, a zastępujący go Dawid Kroczek stanął na wysokości zadania. Pasy zaczęły sezon z wysokiego „C", kręcąc się w okolicach podium, a ostatecznie finiszowały na dobrej szóstej pozycji i mogą być uznawani za rewelację rozgrywek. Duża w tym zasługa bramkostrzelnego Dawida Kallmana.

Podobnie dobry start zaliczył Piast Gliwice, ale jego piłkarzom nie posłużyło nadejście chłodniejszych miesięcy i już do końca sezonu nie otrząsnęli się z zimowego snu. Nadchodzi nowa era dla Piastunek, bo po trzech sezonach z klubem rozstał się Aleksandar Vuković, którego zastąpił wyjęty z drugiej ligi szwedzkiej Max Molder.

Na przeciwnych biegunach są nastroje w klubach sąsiadujących w końcowej części tabeli. 13. miejsce Widzewa Łódź jest traktowane w kategoriach porażki, bo trzeci sezon w Ekstraklasie po wielkim powrocie miał być tym najlepszym, a okazał się najgorszym. Jako że apetyty kibiców z czerwonej części Łodzi są znacznie większe, działacze rozpoczęli efektowne ruchy na rynku transferowym, które mają zapewnić widzewiakom upragnione miejsce w czołówce w przyszłym sezonie. Z kolei kibice Radomiaka Radom cieszą się z 12. lokaty, bo przed sezonem drużyna była wymieniana w gronie faworytów do spadku. Zieloni podpisali umowę o współpracy z Benfiką Lizbona, tak więc można się spodziewać dalszego poszerzania portugalskiej kolonii, z jakiej słynie zespół dopingowany przez kibiców określających się swojsko brzmiącym mianem Warchołów.

BENIAMINKOWIE ZOSTAJĄ

Powody do radości mają kibice beniaminków. Przez siedem wcześniejszych sezonów z ligi spadał przynajmniej jeden świeżak, więc utrzymanie się całej trójki można traktować jako sporą niespodziankę. Największe turbulencje były udziałem Lechii Gdańsk, awansującej z I ligi jako zwycięzca rozgrywek i mającej zdecydowanie najmłodszą kadrę w całej Ekstraklasie. Na jesień gorszy od fatalnych Lechistów był jedynie tragiczny Śląsk, do tego doszły

eprasa.pl 2ea2b4f282

kłopoty organizacyjno-finansowe. Miejsce Szymona Grabowskiego, jednego z architektów awansu, zajął Anglik John Carver. Kontrowersyjna decyzja popłaciła – na wiosnę Lechia była jedną z najlepszych drużyn w Ekstraklasie. W nadchodzącym sezonie Biało-Zieloni mają zakaz transferowy, a z powodu finansowych niedociągnięć rozpoczną rozgrywki z pięcioma ujemnymi punktami. Dla kontrastu zaskakująco dobrze zaprezentował się najstarszy kadrowo zespół Ekstraklasy, czyli GKS Katowice. Klub zawitał na salony po 19-letniej przerwie, a upragniony powrót do elity łączył się z przenosinami na nowy stadion. Do lamusa odszedł oldskulowy obiekt przy ul. Bukowej, ale kibice Gieksy szybko odbudowali niepowtarzalny klimat słynnego Blaszoka i jednocześnie byli chyba najbardziej hałaśliwą grupą na wyjazdach. Utrzymanie nie było zagrożone ani przez moment, a ósme miejsce oznacza, że Trójkolorowi pod wodzą Rafała Góraka byli najlepszą z drużyn z Górnego Śląska. Ale najlepszym z trójki beniaminków okazał się Motor Lublin, który wracał po 32-letnim rozbracie z Ekstraklasą. Motorowcy byli nonszalanccy w defensywie, tracąc aż 59 bramek (tylko dramatyczna Puszcza dała sobie strzelić więcej), co mogłoby się wydawać przepisem na katastrofę, ale w ostatecznym rozrachunku mijający sezon okazał się najlepszy w całej historii występów reprezentantów Lubelszczyzny w najwyższej lidze. Niemały w tym udział Samuela Mraza, który ugryzł rywali 16 razy.

ZABETONOWANA CZOŁÓWKA

Jens Gustafsson opuścił Pogoń Szczecin, skuszony saudyjskimi petrodolarami, ale to nie zachwiało formą drużyny prowadzonej przez Roberta Kolendowicza. Oczywiście – co powoli staje się nową świecką tradycją – do podium trochę zabrakło, a dodatkowo po raz drugi z rzędu Portowcy przegrali finałowy mecz o Puchar Polski. Tradycyjnie drużyna opierała się na pewnej postawie golkipera Valentina Cojocaru czy starzejącym się jak wino Kamilu Grosickim, który z 10 ostatnimi podaniami został najlepszym asystującym w lidze. W tym sezonie doszło do totalnej eksplozji formy Ethymisa Koulourisa, który strzelił aż 28 bramek. Tym samym Grek wyrównał rekord XXI w. należący do Nemanji Nikolicia, który zaliczył tyle samo trafień dla Legii w sezonie 2015/2016 i bez żadnego zaskoczenia został uznany najlepszym piłkarzem Ekstraklasy. Warto wspomnieć, że Koulouris aż czterokrotnie ustrzelił hat-tricka.

Czy Raków Częstochowa jest zadowolony z wicemistrzostwa? Mimo że kibice na pewno długo będą rozpamiętywać zaledwie punkt straty do Lecha, to obiektywnie za Medalikami świetny sezon. Mistrz Polski sprzed dwóch lat zajął przed rokiem dopiero siódme miejsce. Powrót Marka Papszuna, architekta budowy potęgi Rakowa, okazał się strzałem w dziesiątkę. Papszun i Raków są dla siebie stworzeni, a żelazny sposób gry preferowany przez szkoleniowca po raz kolejny zdał egzamin – częstochowianie stracili zaledwie 23 gole. Klub zarobił wielkie pieniądze na sprzedaży Antego Crnaca, Vladana Kovačevicia czy Johna Yeboaha i różnie je spożytkował. Transfer Jonatana Brauta Brunesa okazał się trafiony, ale ciężko to samo powiedzieć o zakupie Michaela Ameyawa, Patryka Makucha czy Leonarda Rochy. Znakomitą formę prezentowali Ivi López, Vladyslav Kochergin, Gustav Berggren, Stratos Svarnas i Jean Carlos Silva, a za najlepszego młodzieżowca w Ekstraklasie uznano bramkarza Kacpra Trelowskiego. To wszystko wystarczyło, żeby do ostatniej chwili bić się o tytuł mistrza Polski.

> Legia Warszawa z budżetem bliskim magicznej bariery 200 mln zł zawiodła kibiców

Tytułu nie obroniła Jagiellonia Białystok, ale czy ktoś wymagał tego od drużyny z Podlasia? Przecież przed sezonem „Jaga" dysponowała budżetem na poziomie połowy tabeli, a mistrzostwo w sezonie 2023/2024 było naprawdę sporą niespodzianką. Po sukcesie odeszli Bartłomiej Wdowik i Dominik Marczuk, ale w minionych rozgrywkach poziom utrzymali Jesús Imaz, Taras Romanczuk, Afimico Pululu czy Mateusz Skrzypczak, zdecydowanie najlepszy obrońca minionego sezonu w Ekstraklasie. To właśnie na sprawdzonej kadrze Duma Podlasia opierała swoją siłę. Najniższy stopień podium to dobry wynik. Adrian Siemieniec z powodzeniem połączył grę na krajowym podwórku z rywalizacją w Europie, bo ćwierćfinał Ligi Konferencji to niebagatelne osiągnięcie.

Na tym samym etapie odpadła Legia Warszawa, i to mimo triumfu nad Chelsea na Stamford Bridge. Ale piąte miejsce w Ekstraklasie to oczywiście porażka, bo drużyna mająca budżet o połowę wyższy od drugiego w tej klasyfikacji Lecha ma po prostu obowiązek walczyć o mistrzostwo. Dominacja warszawiaków z lat 2012–2021, kiedy w dziewięciu sezonach sięgali po siedem mistrzostw i dwa wicemistrzostwa, to mgliste wspomnienie. Dobrym wzmocnieniem okazał się Ruben Vinagre, kupiony do Ekstraklasy za rekordowe 2,5 mln euro, swoje momenty mieli Ryoya Morishita i Marc Gual, wysoką formę prezentował Bartosz Kapustka, ale więcej spodziewano się po drogich Ilyi Shkurynie czy Migouelu Alfareli. Na osłodę ekipa Goncalo Fei sięgnęła po Puchar Polski, ale kontrowersyjny Portugalczyk pożegnał się już z klubem. Mimo budżetu ocierającego się o magiczną barierę 200 mln zł, Wojskowi od czterech sezonów nie są w stanie wygrać ligi.

SZYBKO WRACAJ!

W lipcu Ekstraklasa powróci, a wśród beniaminków znajdą się Arka Gdynia, Bruk-Bet Termalica Nieciecza oraz ktoś z pary Wisła Płock lub Miedź Legnica. Faworyci do zwycięstwa zostają ci sami, co od lat, ale chyba to właśnie obecny mistrz Polski będzie miał największe szanse. Tym bardziej że według deklaracji nie zamierza oszczędzać na transferach. Czyżbyśmy byli świadkami narodzin nowej dynastii – wielkiego Kolejorza?

Bezpieczne oszczędności, ryzykowne inwestycje

Spada inflacja, spadają stopy procentowe, przybywa chętnych na kredyty. Polacy biorą pod lupę produkty finansowe, by znaleźć coś dla siebie. Najlepiej, żeby były bezpieczne i dały przyzwoicie zarobić

STANISŁAW KOCZOT

Wybór jest szeroki: od obligacji detalicznych po fundusze inwestycyjne i akcje. W grze cały czas pozostają lokaty, choć ich oprocentowanie spada w szybkim tempie. Cięcia rozpoczęły się już w kwietniu, kiedy banki nabrały pewności, że stopy procentowe będą niższe. W maju tak się stało.

Według danych zebranych przez HREIT średnie oprocentowanie najlepszych lokat i rachunków oszczędnościowych wynosi niewiele ponad 5,5 proc. Kilka banków wciąż oferuje zyski na poziomie ok. 7 proc., ale najczęściej są to oferty promocyjne, z reguły dla nowych klientów lub nowych środków.

Podobnie z obligacjami detalicznymi: gorzej oprocentowane były już papiery oferowane w maju, a na czerwiec Ministerstwo Finansów przygotowało jeszcze mniej korzystny zestaw. Zmiany nie obejmą obligacji trzymiesięcznych, ale ich oprocentowanie i tak jest niskie, zaledwie 3 proc. w skali roku. Obligacje roczne i dwuletnie w pierwszym okresie odsetkowym w czerwcu dadzą zarobić o 0,5 pp. mniej niż w maju, a te od trzech lat wzwyż – o 0,1 pp. mniej.

Ministerstwo już od ub.r. stosuje taktykę salami, odcinając plasterek po plasterku oprocentowanie albo kombinując przy opłatach. Tak było we wrześniu 2024 r., kiedy podniosło stawkę za przedterminowy wykup obligacji długoterminowych – o ponad trzyletnim okresie zapadalności. Możliwość wcześniejszej sprzedaży była jedną z ich zalet, ponieważ symboliczna opłata nie niwelowała zysku z odsetek, co niestety jest niemal regułą przy zerwaniu lokaty bankowej.

GOTOWOŚĆ NA RYZYKO

Czy spadek inflacji sprzyja inwestycjom? – Wszystko zależy od naszego podejścia do inwestowania, wzrost czy spadek inflacji ma drugorzędne znaczenie. Kluczowa jest odpowiedź na pytanie, na co jestem gotów jako inwestor – mówi

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 2ea2b4f482

ekonomista Marek Zuber z Akademii WSB. – Jeżeli nie jestem w stanie zaakceptować jakiejkolwiek, nawet krótkotrwałej, straty, nie mogę brać pod uwagę funduszy, które inwestują np. w akcje czy kruszce. Wtedy tak naprawdę mamy do dyspozycji tylko obligacje skarbowe, lokaty w banku i obligacje bardzo dobrych, bardzo pewnych firm.

Gotowość na ryzyko jest kluczem, który otwiera bramę do świata inwestycji.

Dopiero po przekroczeniu tego progu warto zwrócić baczniejszą uwagę na takie parametry, jak np. spadek stóp procentowych, które – o ile z perspektywy lokat bankowych czy obligacji detalicznych oznaczają obniżkę zysku – o tyle z punktu widzenia rynku akcji znaczą coś zupełnie innego. – Zazwyczaj obniżka stóp procentowych sprzyja wzrostom na giełdzie. Wynika to z tego, że tańszy pieniądz rozkręca gospodarkę – zauważa Marek Zuber.

Niższe stopy przekładają się na spadek indeksu WIBOR, co w konsekwencji obniża koszty kredytów, pobudza konsumpcję oraz inwestycje i może się przyczynić do wyższych przychodów oraz zysków spółek, także tych notowanych na giełdzie.

– To dobry czas na inwestowanie na rynku akcyjnym – mówi Andrzej Stefaniak, ekonomista zarządzający aktywami iX Asset Management. – Dzięki obniżkom stóp modele dochodowe pokazują coraz wyższe wyceny firm.

To oczywiście zachęca do inwestycji, bo w ślad za rosnącymi wycenami rosną notowania. Giełda działa na wyobraźnię, ale na tym rynku prawie nic nie jest czarno-białe. – Pamiętamy lata 2008–2009, kiedy stopy procentowe spadały, a jeszcze długo mieliśmy do czynienia ze spadkami na giełdzie wynikającymi z największego kryzysu naszych czasów – dodaje Marek Zuber.

Kto jest beneficjentem, a kto traci na obniżce stóp i spadającej inflacji? Zyskuje sektor deweloperski i budowlany, ponieważ tańsze kredyty hipoteczne napędzają rynek nieruchomości; dzięki niższym kosztom finansowania poprawiają się perspektywy spółek technologicznych i innowacyjnych, ponieważ korzystają one głównie z kredytów, a ich zyski są dopiero kwestią przyszłości. Na niższych kosztach obsługi długu zyskują zadłużone firmy, co poprawia ich rentowność. Na obniżce stóp może stracić natomiast sektor bankowy, gdyż spadają jego marże odsetkowe, czyli różnica między oprocentowaniem kredytów a depozytów.

NAJCHĘTNIEJ W BANKU

Niezależnie od indywidualnych predyspozycji, czyli mniejszej lub większej akceptacji ryzyka, klimat dla inwestycji rzeczywiście jest całkiem dobry. Andrzej Stefaniak uważa wręcz, że znakomity. Według niego złoty już jest silny, a będzie jeszcze silniejszy. Dlaczego? – Ponieważ naszej walucie sprzyjają globalne przepływy kapitału, czego wyrazem jest umacnianie się euro w stosunku do dolara – mówi. – Złoty to euro na sterydach. Kiedy umacnia się wspólna waluta, złoty umacnia się kilka razy bardziej.

Złoty to dla zagranicznego kapitału brama do inwestowania na wszystkich polskich aktywach. – Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że będziemy w Polsce świadkami mocnych rynkowych wzrostów, od złotego po akcje. Perspektywy na kolejne kwartały, nawet na kolejne lata są bardzo optymistyczne dla naszej gospodarki – podkreśla Andrzej Stefaniak.

Na ile Polacy skorzystają z tej dobrej koniunktury i czy przeniosą znaczną część swoich aktywów na rynek akcji, zainwestują w fundusze i w inne instrumenty rynku kapitałowego? Na koniec ub.r. aktywa finansowe gospodarstw domowych wyniosły aż 3,4 bln zł (2,5 bln zł netto, czyli po odjęciu zobowiązań). Aż 944 mld zł leży na nieoprocentowanych rachunkach bieżących (w marcu tego roku było to już 960 mld zł), a 414 mld zł – na lokatach. Według danych Polskiego Funduszu Rozwoju udziały na rynku kapitałowym to zaledwie 17,1 proc. aktywów, a funduszy inwestycyjnych – 5,6 proc.

Polacy zdecydowanie preferują lokowanie kapitałów w bankach, choć bywają okresy, kiedy ruszają np. po zakupy obligacji. Np. w 2022 r. sprzedaż papierów osiągnęła 57,1 mld zł, w 2023 r. spadła do 48,7 mld zł, ale w 2024 r. znowu wzrosła do ponad 80 mld zł. Jak prognozują analitycy PKO BP, w tym roku również może sięgnąć tego poziomu.

Ogólnie Polacy wolą mieć jednak kapitał pod ręką, na kontach w banku lub nawet w portfelu – udział gotówki w aktywach finansowych gospodarstw domowych na koniec ub.r. to 11,6 proc., czyli 392 mld zł.

Przechowywanie pieniędzy na rachunkach w banku albo w ogóle nie przynosi zysku, albo minimalny. Daje jednak poczucie bezpieczeństwa i świadomość, że można po nie sięgnąć, gdy tylko pojawi się taka potrzeba.

ILUZJE OSZCZĘDZANIA

Realnie takie inwestycje mogą oznaczać stratę kapitału, nawet jeżeli nominalnie zysk wygląda całkiem przyzwoicie. Problemem jest inflacja, która zjada odsetki w szybkim tempie, do tego dołącza się fiskus ze swoim 19-procentowym podatkiem od zysków kapitałowych zwanym podatkiem Belki. Obejmuje on dochody z inwestycji, od lokat po akcje, instrumenty rynku kapitałowego, obligacje.

Inflacja wprawdzie mocno spadła – do 4,3 proc. w kwietniu – jednak nadal nie mieści się w tzw. celu inflacyjnym, który wynosi 2,5 proc. z możliwością odchylenia w górę w lub w dół o 1 pp. W porównaniu ze szczytem na początku 2023 r., kiedy inflacja sięgała 18,4 proc., jej obecny poziom to zmiana rewolucyjna, jednak dojście do ideału zajmie jeszcze trochę czasu. Cel inflacyjny może uda się osiągnąć w przyszłym roku albo nawet później. Możliwy jest nawet skok cen konsumpcyjnych na początku przyszłego roku. Wiele zależy od polityki fiskalnej państwa, sytuacji na rynku pracy i globalnej koniunktury.

Inflacja to niezwykle ważny czynnik, który rzadko bierze się pod uwagę, planując inwestycje. Marek Zuber mówi wręcz o „uleganiu iluzji" wielkości nominalnych. – Tymczasem powinniśmy patrzeć na to, czy realnie zarabiamy, biorąc pod uwagę zmiany cen – dodaje.

W praktyce może się okazać, że zysk będzie niewielki, a przy niesprzyjających wiatrach, czyli wzroście inflacji, nawet zniknie. Sam podatek Belki mocno nadszarpnie nasze profity: np. zakładając trzymiesięczną lokatę na 50 tys. zł oprocentowaną na 6,5 proc. w skali roku (to dość optymistyczne założenie, bo w tej chwili takich lokat jest niewiele) powinniśmy dostać ok. 810 zł, jednak z tytułu odsetek na konto wpłynie o ponad 150 zł mniej, bo tyle zabierze nam fiskus. W przypadku lokaty na 12 miesięcy podatek Belki ściągnie z naszego zysku aż ponad 600 zł.

eprasa.pl 2ea2b4f482

KRYSTYNA SOKOŁOWSKA*

Nigdy mi się nie znudzą

Smak, z którym idę przez życie, to smak warzyw i najważniejszych z nich – pomidorów. Warzywa musiały być w menu, bo od małego trenowałam gimnastykę artystyczną. Ta dziedzina sportu była mi bliska przez wiele lat i taka pozostaje, bo teraz jestem trenerką. Trenuję małe dziewczynki.

Od kiedy pamiętam, słyszałam, że warzywa to samo zdrowie. I oczywiście także mało kalorii. Warzywa chyba nigdy mi się nie znudzą. Szczególnie pomidory malinowe i koktajlowe. Uwielbiam też pastę z sosami pomidorowymi. Teraz już częściej pozwalam sobie na makarony, chociaż wtedy muszę więcej ćwiczyć.

Pomidory mogę jeść na okrągło, ale najbardziej smakują mi te zerwane prosto z krzaka w rodzinnym domu. Wychowałam się na wsi. Do tej pory pamiętam piasek za paznokciami, kiedy mama goniła nas do pielenia ogródka. Tej pracy było naprawdę dużo, ale warzywa, a szczególnie pomidory z grządek mamy, miały smak, którego nie zapomnę.

Kulinarnie moje rodzinne Podlasie to przede wszystkim dania z ziemniaków, w tym moja faworytka – baba ziemniaczana. Jest też kiszka ziemniaczana, chociaż akurat ona, może z powodu nazwy i tego, w czym znajdują się ziemniaki, od lat skutecznie mnie zniechęca.

Dziś szefem kuchni staram się być ja. W rodzinnym domu w ciągu tygodnia była nim mama. Tato wiódł prym w niedziele, kiedy robił najwspanialsze placki ziemniaczane. Tajne składniki to bardzo dużo miłości i serca. A także kuchenne doświadczenie nabyte w wojsku.

Za czasów studenckich jadało się potrawy proste, sycące i tanie. Potem przyszły podróże, a wraz z nimi paleta nowych smaków. Najbliższe mi okazały się te odkryte w Azji, przede wszystkim w Indiach, gdzie rok temu byłam na konkursie Miss Świata. Spędziłam w Indiach prawie miesiąc, więc miałam okazję spróbować przeróżnych potraw.

W Tajlandii rozsmakowałam się w pad thai. W ciągu tygodnia udało się nam skosztować 14 wersji tego dania. Wyjątkową kuchnię, zwłaszcza z mojej warzywnej perspektywy, odkryłam w Brazylii. Do każdej potrawy dodawano tam ryż i ziemniaki. Marzy mi się, nie tylko kulinarne, poznawanie Meksyku i Kuby.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

**Miss Polonia 2022, prowadząca program „Pytanie na Śniadanie”*

PAD THAI

(Przepis ze strony „Kwestia smaku”)

Składniki na dwie porcje: 100 g makaronu ryżowego (wstążki 3–5 mm), 2 łyżki oleju roślinnego (np. kokosowego), 3 ząbki czosnku, opcjonalnie: 1 łyżeczka suszonych krewetek, 10 krewetek (obranych) lub 1 pierś kurczaka pokrojona w kosteczkę lub 100 g tofu, 2 jajka, 1 szklanka kiełków fasoli mung, 2 dymki lub 1 pęczek szczypiorku (biała i jasnozielona część).

Składniki na sos: 4 łyżki sosu rybnego, łyżka soku z limonki, 2 łyżki pasty tamaryndowej, 2 łyżki cukru, 1 łyżka sosu sriracha (lub 1/2 łyżki płatków chili), 2 łyżki wody.

Do podania: 2 łyżki posiekanych prażonych orzeszków ziemnych. Opcjonalnie: świeża kolendra, płatki chili, limonka.

Sposób przygotowania: zagotować wodę w garnku, dodać makaron ryżowy i gotować przez ok. 4 min. • Odcedzić na sitku i przepłukać zimną wodą. • Dokładnie wymieszać wszystkie składniki sosu w miseczce. • W woku lub na dużej patelni z nieprzywierającym dnem podgrzać olej. • Dodać starty czosnek, po chwili suszone krewetki, podsmażyć ok. 1 min. • Dodać krewetki (lub kurczaka albo tofu) i smażyć ok. 2–3 min. • Wbić jajka i podsmażyć wszystko przez ok. 1 min, delikatnie mieszając. • Dodać makaron i smażyć, mieszając ok. 4 min (mniej więcej w połowie tego czasu wlać sos). • Na koniec dodać kiełki i posiekaną dymkę (można zachować część do dekoracji) i jeszcze raz wszystko wymieszać. • Posypać posiekanymi orzeszkami ziemnymi i zachowaną częścią kiełków oraz dymki. • Można dodatkowo skropić limonką oraz posypać listkami kolendry oraz płatkami chili.

Fot. Shutterstock, Waldemar Kompała

eprasa.pl 2ea2b4f482

SŁODKO-SŁONY

Kacze jajo

ANNA MONICKA

Kuzynka po przeprowadzce na wieś postanowiła zrealizować swoje kolejne marzenia – o ogródkach: kwiatowym, ziołowym i warzywnym. Wspólnie z mężem zaczęli mozolnie przekopywać i uszlachetniać ziemię. Nasiali się, nasadzili, a gdy przyszło do zbiorów, okazało się, że wszystko zeżarły wielkie nagie ślimaki. Sąsiedzi mieli podobnie, bo działki leżą w jakiejś gliniastej niecce, istnej wylęgarni pomrowów. Walka z nimi jest długa i niekoniecznie zakończy się zwycięstwem. Nie chcieli używać chemii, bo mają psy i koty, bali się więc, że przy okazji potrują swoich czworonożnych przyjaciół.

Jednak kuzynka się nie poddawała – zaczęła przeczesywać internet w poszukiwaniu ekologicznych metod walki i na forach ogrodniczych znalazła informację, że ze ślimakami świetnie radzą sobie biegusy indyjskie. Wprawdzie nie planowała hodowli drobiu – całe życie mieszkała w bloku w mieście – ale słodka kaczuszka? Czemu nie, zwłaszcza jeśli ogródek będzie wyczyszczony z obrzydliwych mięczaków. Pojechała po pisklę aż pod Częstochowę i tam dowiedziała się, że trzeba wziąć dwie sztuki, bo jedno umrze z nudów bez towarzystwa. Wzięła więc parkę dziewczynek, które nadspodziewanie szybko wyrosły, wyjadając ślimaki. Wkrótce się okazało, że to jednak nie dwie samiczki. Kacza mama siedzi więc co jakiś czas na jajach, kuzynka oddała właśnie 30 z nich znajomym (z 25 wykluły się młode), sama kupiła mały inkubator dla słabszych maluchów – trzyma go w saloniku obok terrarium, w którym urządziła kacze przedszkole. Biegusy mają też już wszyscy sąsiedzi, więc problem ślimaków chwilowo został rozwiązany. Dla swoich kaczek musiała wygospodarować sporą zagrodę, żeby w pogoni za ślimakami nie zadeptały wszystkich roślin.

W lodówce zaś stoi zawsze kilka paczek ślicznych dużych jaj w bardzo pięknym błękitnozielonym odcieniu; wnętrzarskie magazyny lansują go także jako szałwiowy, miętowomorski, ogólnie – modny.

Dostałam od niej ostatnio całe pudło – nie nadają się na jajecznicę, bo są bardziej podatne na salmonellę, więc trzeba je dłużej smażyć czy gotować, ale na twardo do kanapek czy past są idealne. Wychodzą na nich bardziej puszyste ciasta i przepyszne makarony. No i są zdrowsze od kurzych – znacznie bogatsze w białko, witaminę B_{12}, wapń, żelazo, selen i kwasy tłuszczowe.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Kukułka pospolita
(*Cuculus canorus*)

Co się kryje za głosem?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Niekiedy za głosem kryje się cała historia. Na przykład za kukaniem kukułki. Jest to ptak, o którego obecności najczęściej dowiadujemy się za sprawą charakterystycznego głosu (nawiasem mówiąc, repertuar kukułki jest szeroki i obejmuje różne bardzo dziwne dźwięki). Samego ptaka widuje się rzadko.

Parę dni temu, kiedy byłem nad brzegiem zalanego wodą wyrobiska, z którego dawno temu był wybierany piasek, stałem się świadkiem ciekawego wydarzenia. Krótkiego, ale pełnego emocji i zapewne konsekwencji.

Wzdłuż linii wody rósł niewielki pas trzcin. Z tej zielonej gęstwiny dobiegał śpiew trzciniaka, niewielkiego ptaka gnieżdżącego się w takich miejscach. Jego głos jest bardzo egzotyczny. Zwłaszcza gdy rozbrzmiewa nad naszymi wodami, a do tego ptak wplata elementy śpiewu gatunków, które spotkał na odległych zimowiskach.

W pewnym momencie w kępę trzcin wleciał drugi, większy ptak. Początkowo myślałem, że to polujący krogulec – tak mi się wydawało, ponieważ zauważyłem brązowawą sylwetkę, długi ogon i krótkie, lekko zagięte skrzydła. W kępie podniósł się rejwach, a po krótkiej szamotaninie wyleciała z niej... kukułka. W locie, zwłaszcza w pierwszej chwili, można ją pomylić z krogulcem, jednak teraz mogłem lepiej się jej przyjrzeć. Po przerwie trzciniak zaczął śpiewać dalej. Czy kukułka złożyła jajo do jego gniazda? Nie wiem, nie chciałem go płoszyć i nie przeszukiwałem trzcin.

Sposób działania kukułek jest bardzo ciekawy. Specjalizują się one w pasożytowaniu na wybranym gatunku drobnych ptaków. Jajo, które składają, jest podobne do jaj, które wcześniej złożył gospodarz. Lokalnie pasożytnictwo gniazdowe kukułki może mieć duże znaczenie przyrodnicze – w niektórych rejonach straty w lęgach u gatunków, które upatrzyły sobie kukułki, mogą sięgać kilkudziesięciu procent – pisklę kukułki bowiem po wykluciu wypycha inne jaja, zapierając się nogami i pchając grzbietem. Ptaki, do których należy gniazdo, zapewne czują, że coś jest nie w porządku, jednak karmią pisklę, nawet kiedy szybko staje się większe od nich.

Mimo powodowanych strat, kukułki i ich sposób na lęgi jest jednym z naturalnych mechanizmów otaczającego nas, bardzo zróżnicowanego świata przyrody.

eprasa.pl 2ea2b4f482

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Historyzm

Felieton ukazuje się dzień po drugiej turze wyborów prezydenckich, a nie znam jej wyników. Czy zainteresuje tych, którzy żyją sprawami publicznymi naszego kraju i chcą wiedzieć, skąd biorą się nasze motywacje wyborcze?

Po pierwsze, wiek zarówno kandydatów, jak i wspierających ich polityków. Przykładem niech będą Sławomir Mentzen, Ewa Zajączkowska, Grzegorz Braun oraz Janusz Korwin-Mikke. Jak sądzę, to ich elektorat mógł przesądzić o takim, a nie innym wyniku wyborów. Pierwszy rząd pod kierunkiem Donalda Tuska to lata 2007–2011, drugi – lata 2011–2014, trzeci od 13 grudnia 2023 r. W 2007 r. Zajączkowska miała 17 lat, Mentzen – 21, Braun – 40, a Korwin Mikke – 65. Kiedy w 1992 r. Tusk obalał pierwszy niekomunistyczny rząd Jana Olszewskiego (takim nie był gabinet Tadeusza Mazowieckiego, bo był ostatnim komunistycznym rządem), Zajączkowska miała 2 lata, Mentzen – 6, Braun – 25, a Korwin – 50. Wcześniej, w 1987 r., kiedy Tusk głosił swoje słynne credo: „Polskość to nienormalność", Mentzena i Zajączkowskiej nie było jeszcze na świecie. W 1992 r. ich starszy kolega Korwin-Mikke miał swój znaczący udział w próbie ujawnienia esbeckiej agentury w gronie ówczesnych politycznych elit. Grzegorz Braun nie reżyserował jeszcze swoich ważnych filmów historycznych, ale znając jego rodzinne korzenie, nie mógł sprzyjać powrotowi komuny i pozostał zdecydowanym antykomunistą.

W czasie ośmiu lat rządów Platformy Obywatelskiej Zajączkowska i Mentzen uczyli się, poznawali świat dorosłych. W latach 2015–2023 do władzy doszło Prawo i Sprawiedliwość i odstąpiło od rozliczania swoich poprzedników z PO i PSL, koncentrując się na odbudowie zniszczeń po liberałach i konstruowaniu przyszłości. Te lata przypadają na początek aktywności zawodowej najmłodszych z wyselekcjonowanej przeze mnie grupy. Zajączkowska miała 25 lat, a Mentzen – 29. To w tych latach wytworzyło się u nich krytyczne myślenie o polityce PiS, tym bardziej że dotknęła ich pandemia i związana z nią kwarantanna, a więc w ich mniemaniu jakaś utrata wolności, którą zabierał im rząd PiS, podobnie jak rządy innych krajów walczących z nieznaną zarazą. Ci młodzi ludzie nie cofnęli się w dalszą przeszłość, bo jej nie znali, w każdym razie nie poznali na własnej skórze. Wówczas zrodził się ich slogan: „PiS, PO – jedno zło". I pod tym hasłem nadal walczą o lepszą przyszłość dla siebie i innych konserwatystów. Nie sięgają w głąb historii, skąd mogliby czerpać wiedzę o polskim postkomunizmie w III RP. Może dlatego w dużym stopniu głosowali na PO w wyborach parlamentarnych oraz na Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich w 2020 r. Jeden z liderów tego ruchu, Krzysztof Bosak, rocznik 1982, opowiadał kiedyś w mediach, że jego formacji nie spieszy się zbytnio do władzy, ponieważ są młodzi, mają na to czas, a wtedy odejdą z polityki ci, których nie akceptują, czyli PO i PiS.

Inaczej postępowała formacja Donalda Tuska, szykując Rafała Trzaskowskiego do objęcia schedy po prezydencie Andrzeju Dudzie. Im zależało na tym, aby władza pozostała w tych samych politycznych kręgach z czasów okrągłego stołu, a więc kiedy Mentzen, Zajączkowska i Bosak byli w planach ich rodziców.

Gdyby młodzi konserwatyści trzymali się zasady historyzmu, a więc myślenia aposteriorycznego w sprawach publicznych, przyspieszyliby upadek postkomunizmu w Polsce zbudowanego na doktrynie rewolucyjnej przyniesionej nam ze Wschodu i kontynuowanej przez Zachód. Jak pisał prof. Feliks Koneczny: „Naród jest wytworem historyzmu, a doktryna rewolucyjna nie dba o sprawdziany historyczne".

Mam żal do młodych konserwatystów, że zbyt mało wysiłku poświęcili kształceniu historycznemu. I to wcale nie sięgając daleko, bo do czasów będących częścią życia ich rodziców i dziadków. Trudno im tłumaczyć, jakie były i są zasadnicze różnice między Platformą Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością, bo trzeba by dokładnie poznać historię III RP, poczynając od 1989 r. A wówczas dowiedzielibyśmy się, dlaczego po tzw. obaleniu komunizmu nie doszło do współpracy między Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi a Donaldem Tuskiem i jakie zagraniczne siły finansowały KLD oraz kolejne partie Tuska. Skąd się wzięli Balcerowicz, Lewandowski, jak dalece ważna była esbecka agentura w ówczesnych elitach władzy (Boni, Skubiszewski) i jak skutecznie broniło się PiS przed tymi samymi zarzutami oraz epitetami, które później były kierowane przeciwko Konfederacji.

Stąd pytanie do młodych konfederatów: której formacji, PO czy PiS, w tym „duopolu" i „wojnie plemiennej", jak mówi dziś Mentzen, bardziej zależało na wolnej Polsce? To historyzm umożliwia zrozumienie wielu rzeczy i zjawisk. Pozwala formułować właściwe sądy i podejmować słuszne decyzje. Historyzm daje perspektywę.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Ruski i Chinol na 5th Avenue

Andrzej Rafał Potocki

Ostatnie z 24 obiecanych przez Niderlandy F-16 zostały przekazane Ukrainie – poinformował minister obrony Ruben Brekelmans. Drugim państwem, które rozpoczęło ich dostawy, jest Dania, która zadeklarowała przekazanie 19 maszyn. Nie jest jasne, ile z nich do tej pory dotarło za Bug. Dotychczasowy wkład Danii opiewał prawdopodobnie na 8–10 maszyn, a w kolejce może ich czekać drugie tyle. Oprócz tego 6–12 F-16AM/BM ma przekazać Norwegia (plus 10 samolotów na części zamienne), a w kolejce czeka Belgia. Biorąc pod uwagę dane jawne, wydaje się więc, że w kolejce dla Ukrainy czeka więc jeszcze ok. 40 F-16, a Kijów dysponuje obecnie nieco ponad 30 maszynami. Oprócz tego przekazano przynajmniej cztery z kilkunastu Mirage 2000, które służą jako nośniki francuskiej amunicji (niekompatybilnej z F-16), która w innym przypadku starzałaby się we francuskich magazynach. Skala tej pomocy jest absolutnie niewystarczająca. By pokonać Moskali na niebie, potrzeba co najmniej 80 F-16, i to nie z tej starszej generacji. Dobrze chociaż, że Kijów wyszkoli pilotów nowych typów myśliwców. Ale front dalej będzie dreptał w miejscu, a wojna będzie wojną zastępczą. W Unii Europejskiej nie ma woli, by zadać Kacapom ostateczny cios.

W nocy z 23 na 24 maja siły Kremla zaatakowały Ukrainę 14 rakietami balistycznymi Iskander M-KN-23 z okolic Taganrogu, Jejska i Briańska, a także Krymu. Użyto również 250 dronów szturmowych Shahed. Oprócz Kijowa celem były obwody dniepropietrowski, odeski i zaporoski. W ukraińskiej stolicy 14 osób doznało obrażeń. Ale tym razem Ukraińcy nie pozostali dłużni. Mieszkańcy 13 regionów Federacji Moskiewskiej będą wspominać noc z 27 na 28 maja niczym zły sen. Wreszcie poczuli to, co czują Ukraińcy od ponad trzech lat. Według komunikatu kacapskiej propagandy w ciągu minionej nocy „dyżurne środki obrony powietrznej zniszczyły i przechwyciły 296 ukraińskich bezzałogowych statków powietrznych typu samolotowego nad terytoriami regionu moskiewskiego oraz innych obwodów. Z tego komunikatu by wynikało, że do celu doleciały tylko 4 z 300 wystrzelonych przez Kijów dronów, co jest wierutną bzdurą. Wywiad Kijowa i internet potwierdzają co innego. Przerażeni atakiem mieszkańcy wrzucili do sieci nagrania z momentu ataku. Do eksplozji doszło w dziesiątkach miejsc. Ukraińskie bezzałogowce dalekiego zasięgu przeprowadziły zmasowany atak na kluczowe obiekty rosyjskiego przemysłu wojskowego, omijając systemy obrony powietrznej chroniące Moskwę. Jednym z głównych celów był zakład produkcyjny Raduga im. Berezniaka w Dubnie położonym ok. 130 km na północ od rosyjskiej stolicy. Sparaliżowane zostały podmoskiewskie lotniska: Szeremietiewo, Wnukowo, Domodiedowo i Żukowski. Kłęby czarnego dymu uniosły się nad zakładem udoskonalania dronów Kronsztad oraz parkiem technologicznym w Moskwie. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Widać Donald Trump powoli ma dosyć starania się, by nakłonić Moskwę do pokoju na Ukrainie. „Nie jestem zadowolony z tego, co robi Putin. Zabija wielu ludzi [...]. Nie wiem, co do cholery stało się z Putinem. Znam go od dawna. Zawsze się z nim dogadywałem. Ale on wysyła rakiety do miast i zabija ludzi, a ja tego wcale nie lubię. Jesteśmy w trakcie rozmowy, a on wystrzeliwuje rakiety do Kijowa i innych miast" – przekazał Donald Trump reporterom agencji Reuters. Zapytany o to, czy po takim wydarzeniu rozważa nałożenie kolejnych sankcji na Federację Moskiewską, stwierdził, że jest to oczywiste. Przytaczając trafną metaforę byłego ministra obrony Jana Parysa: pod wieżowcem Trumpa przy 5th Avenue kręcą się dwa podejrzane typy. Ochrona mówi, że jeden to Rusek, a drugi Chinol. Ten pierwszy od lutego 2022 r. wybija szyby na parterze, a drugi co prawda nie tłucze szyb, ale przygląda się i wieczorami łazi z Kacapem do pobliskiego baru na piwo. Ostatnio chlali kilka dni i ogłosili nawet „wieczną przyjaźń". Trump ma dwóch doradców w tej sprawie. Jeden jest odpowiedzialny za dobre stosunki szefa ze światem – to Marco Rubio. Drugim jest człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo zewnętrzne – to Pete Hegseth. Jego zastępca Elbridge Colby uchodzi za znawcę spraw chińskich. Ten drugi uważa, że Chinol to w rzeczywistości straszny bandyta, który może podpalić całą okolicę. Uważa, zatem, iż trzeba za wszelką cenę przekupić Ruska, by rozbić ich przestępczy związek. Natomiast zdaniem Rubio nie da się skłócić dwóch złoczyńców, a szantażystom nie można ulegać, bo jak się raz ustąpi, to Kacap wspierany przez Chinola będzie powtarzał swe groźby, dalej tłukąc szyby i tak bez końca, aż sięgnie po więcej. Natomiast jak bandziory zobaczą silnych, dobrze uzbrojonych strażników, to uciekną. Nie trzeba być doradcą Trumpa, żeby stwierdzić, że to Rubio ma rację. A wtedy nie tam jakieś sankcje, a broń dla Kijowa i na Moskwę! Tylko kiedy wreszcie dotrze to do prezydenta Trumpa?

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2ea2b4f482

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Śmiech i „śmiech”

Aleksander Nalaskowski

Słynny już na całą Polskę Zorro z Tarnowa być może otworzył zupełnie nowy dyskurs w świecie polityki. Nie tylko bowiem nakłaniał do niegłosowania na Trzaskowskiego, lecz także bezlitośnie ośmieszył całą tę klasę polityczną. Zrobił to w iście stańczykowskim stylu, który najwyraźniej jest zaraźliwy, bo nazajutrz i w kolejnych dniach mieliśmy wysyp postaci w kapeluszu i masce na twarzy. Zorro pokazał, że o Polskę można walczyć także śmiechem. Wszak „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”, ale z tą cnotą u władzy to chyba na bakier, skoro przeciwko zabawnemu przebierańcowi toczy się policyjne śledztwo. Faktem jest, że na wiecu poparcia kandydata pojawił się głupawy uśmieszek bezradności i zaskoczenia. Tak rozbraja się fałsz i nienawiść. Wiele w tym z karnawału, który polega na odwróceniu znaczeń. To, co poważne, staje się niepoważne, a to, co zabawne, staje się śmiertelnie poważne.

W karnawałowych zachowaniach jesteśmy ćwiczeni od ponad roku i nawet już nie chce się nam śmiać.

Już nas nie śmieszy Kołodziejczak na urzędzie ministerialnym, chociaż jego intelektualne deficyty są wyraźne i niekiedy bywały zabawne. Ale już nie są, bo pospolicie szkodzą polskim rolnikom.

Mało zabawna jest Nowacka na stanowisku ministra edukacji narodowej. Kobieta o dziwacznym wykształceniu, bez jakiejkolwiek wiedzy o szkole, jest drwiną z nauczycieli, uczniów i ich rodziców. Jest szyderstwem ze szkoły. Szyderstwem tak grubym, że aż śmiesznym.

Nie mniej zabawna jest Hennig-Kloska. Zarządzająca środowiskiem i klimatem ministrzyca od początku słynęła ze swojej niewiedzy. Na przykład kompletnie się nie orientowała, ile jest w Polsce parków narodowych.

Jej koleżanka z rządu, minister do spraw równości, twierdziła, że ukończyła filologię angielską na UAM, co okazało się bujdą. Nigdy tam nie studiowała i nie uzyskała niczego wyższego niż licencjat. Ale nawet i licencjat jest w tym przypadku wątpliwy. Znów i śmieszno, i straszno. Urzędnik na eksponowanym stanowisku państwowym łże w żywe oczy i nadal jest urzędnikiem?! A poza tym – co to za ministerstwo równości?

Świetnym żartem było nominowanie posłanki Leszczyny na ministra zdrowia. Przecież nikt nie zna się na służbie zdrowia lepiej niż poloniści.

Pięknie własne środowisko ośmieszył i zdemaskował poseł Wilk pytaniem: „Cóż szkodzi obiecać?”. Wypisz, wymaluj kwintesencja obłudnej władzy.

Faktycznie, premier i szef PO musi mieć ogromną skłonność do żartów. Wręcz talent kabaretowy, aby co rusz serwować nam takich specjalistów od stand-upu.

W myśl zasady, że dobrej zabawy nie należy zbyt szybko kończyć, karnawał trwa. Polityczna elita bawi się w stanowiska, urzędy i tytuły. Nam pozostają reakcje à la Zorro z Tarnowa. Tyle możemy zrobić. Takimi happeningami, jak onegdaj Pomarańczowa Alternatywa czy Naszość, możemy drwić z absurdów, głupoty, bezczelności i kłamstw władzy.

Czy na tej uczelni wszyscy już powariowali? Czy nie dławi ich własna poprawność polityczna, która jest śmieszniejsza niż Zorro na dachu?

Kiedy polityka przestaje już śmieszyć, niezawodnym rozśmieszaczem może być najstarsza polska Alma Mater, która wystosowała pismo do swoich pracowników, którego fragment zacytuję: „Zwracamy się wreszcie z usilną prośbą o to, by dostrzegać nasze obligacje, które zaciągamy, gdy stajemy się częścią Wspólnoty Uniwersytetu, tak jako Doktorantki, Doktoranci, Osoby Doktoranckie, jak i Pracowniczki i Pracownicy, bez względu na obszar naszej aktywności. Usilnie prosimy o wzajemną uprzejmość, pozytywny stosunek do siebie, dostrzeganie w drugim człowieka, który ma niekiedy swoje problemy lub po prostu jest przytłoczony zobowiązaniami”.

Powyższy bełkot został wygenerowany na...wydziale humanistycznym (sic!). Mnie najbardziej zaintrygowały osoby doktoranckie. W swojej karierze akademickiej wypromowałem 20 doktorów. Byli wśród nich mężczyźni, były kobiety, ale nie wypromowałem ani jednej osoby doktoranckiej! Czy na warsztatach z równości uczy się odróżniania doktorantów czy doktorantek od osób doktoranckich? Czy osoby doktoranckie mają osobną toaletę? Czy na tej uczelni wszyscy już powariowali? Czy nie dławi ich własna poprawność polityczna, która jest śmieszniejsza niż Zorro na dachu? Czy się opamiętamy i nie będziemy już robić tych wszystkich śmiesznych rzeczy, o których napisałem? Nie możemy być kabaretem Europy. Zacząłem od Zorro, to na Zorro skończę. Człowiek z Tarnowa miał ogromny dystans do siebie i swojego happeningu. To go odróżnia od polityków, którzy swoje idiotyzmy traktują śmiertelnie poważnie. Istny karnawał!

Gdy piszę ten felieton, jest pięć dni do II tury wyborów. Gdy „Sieci” do państwa dotrą, ich wynik będzie już znany. Oby był dobry dla Polski.

eprasa.pl 2ea2b4f482

Michał Korsun prezentuje:
2.06.2025 – łzy Trzaskowskiego ze smutku albo...

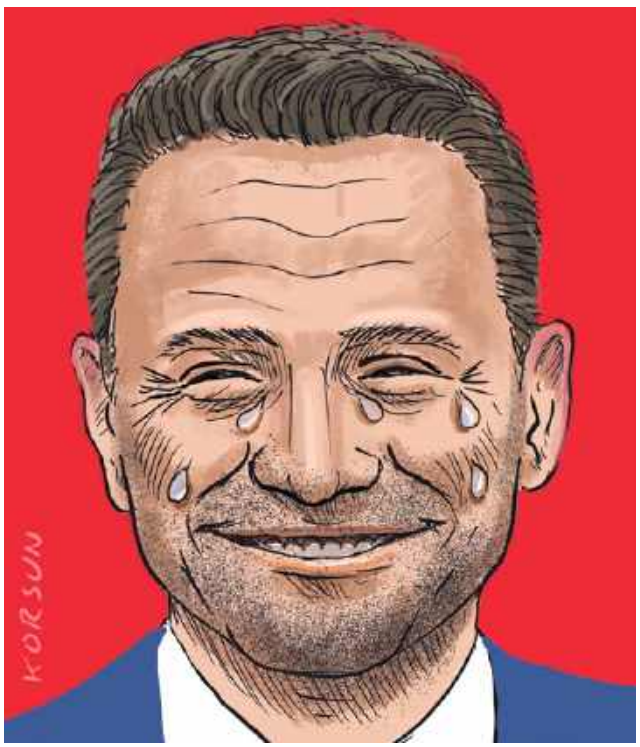

Wycinki z przeszłości

Historia przedstawiona na ilustracji to nie jedne dramatyczne wydarzenie odnotowane w „Przeglądzie Katolickim" z czerwca 1934 r.

„W kopalni potasu w Badeni w Niemczech wybuchł olbrzymi pożar. Powstał on wskutek krótkiego spięcia wywołanego przerwaniem przewodów elektrycznych. Większość załogi zdołała wydostać się z płonącego szybu. We wnętrzu pozostało jednak 80 górników, których los jest niestety przesądzony. Wszystkie próby ratowania nieszczęśliwych okazały się bowiem bezskuteczne, wobec czego, w celu zatrzymania ognia, kopalnię zamurowano".

„Straszny pożar zniszczył Nową Wieś w gminie Brzeźno. Pastwą płomieni padło tam 21 gospodarstw, liczących razem 60 budynków. Dochodzenie ustaliło niezwykłą przyczynę pożaru. Otóż 6-letni syn pewnego gospodarza pokłócił się ze swoim stryjecznym bratem, rówieśnikiem, który złapał jego młodego gołębia i nie chciał go oddać, zamknąwszy się w stodole. Chłopak postanowił go więc »wykurzyć« ze stodoły: zapalił garstkę słomy i podłożył ją pod wrota stodoły. Powstały w ten sposób pożar błyskawicznie zniszczył pół wsi, straty wynoszą 150 tys. zł".

(mk)

Z WOLEJA

Nr 539, czyli Bronek Mistrz

Ryszard Czarnecki

Gdyby żył, miałby 74 lata. W tym tygodniu upływa rocznica śmierci jednego z najwybitniejszych biegaczy w dziejach Polski – Bronisława Malinowskiego. Jego ojciec Anastazy służył w Polskich Siłach Zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Zakochał się w Szkotce, pannie Dovell. To musiała być wielka miłość, bo gdy Malinowski senior po wojnie wracał do kraju, szkocka żona pojechała za nim.

Bronek zaczął na poważnie trenować biegi dopiero w wieku 17 lat. Po ledwie dwóch latach w Paryżu został mistrzem Europy juniorów w biegu na 2 tys. m z przeszkodami. Po kolejnych dwóch latach na igrzyskach olimpijskich w Monachium otarł się o podium, zajmując czwarte miejsce. Jak na długodystansowca był wtedy młokosem – miał 21 lat.

Do końca życia zapamiętam jego nieprawdopodobny bieg po złoto na igrzyskach w Moskwie. Były to dziwne IO, bo bez reprezentantów wielu państw Zachodu bojkotujących zawody po agresji ZSRS na Afganistan rok wcześniej. I choć zdobyliśmy na nich największą liczbę medali w historii startów Biało-Czerwonych na igrzyskach (aż 32), to tylko trzy razy wysłuchaliśmy „Mazurka Dąbrowskiego". Dzięki Malinowskiemu, Władysławowi Kozakiewiczowi w skoku o tyczce i Janowi Kowalczykowi, który tak jak Malinowski pokonywał przeszkody, tyle że na koniu.

Do Moskwy nasz biegacz, chłopak z Grudziądza, jechał jako jeden z faworytów. Był wtedy aktualnym i dwukrotnym z rzędu mistrzem Europy w biegu na 3000 m z przeszkodami oraz aktualnym wicemistrzem olimpijskim (Montreal 1976). Ale podczas biegu wydawało się, że przegra, będzie drugi jak w Kanadzie. Jego główny rywal Filbert Bayi z Tanzanii na czwartym okrążeniu przyspieszył i odskoczył od Polaka na 70 m. Wydawało się, że jest pozamiatane. Nic bardziej mylnego. Malinowski gonił, gonił, aż dopadł Afrykanina na ostatnim okrążeniu i na koniec wyprzedził go o 6 sek. Ten bieg cały czas przewija mi się w głowie niczym polski tyczkarski rekord świata i „gest Kozakiewicza" na tych igrzyskach czy złote skoki wzwyż Jacka Wszoły na IO cztery lata wcześniej.

To nieprawdopodobne, ale po pół wieku do Bronka Malinowskiego wciąż należy pięć rekordów Polski: na 3000 i 5000 m, 1 i 2 mile oraz na jego koronnym dystansie „trójki" z przeszkodami. Ba, dopiero miesiąc temu, po 52 latach (!), pobity został jego rekord na 10 km w kategorii do lat 23.

Mistrz Bronisław zginął w wypadku samochodowym w wieku zaledwie 30 lat. Sowiecki samochód ciężarowy Kamaz zmiażdżył auto, którym kierował Malinowski na moście w jego rodzinnym Grudziądzu. Dziś most nosi jego imię, tak jak 16 szkół w Polsce.

Zamykam oczy i widzę, jak podczas soweckich IO Polak na ostatnim okrążeniu dokonuje mission impossible. Miał wtedy na koszulce numer 539, a sprawozdawca Bohdan Tomaszewski – też legenda, tyle że dziennikarstwa sportowego – szalał ze szczęścia.

eprasa.pl 2ea2b4f482

OD A DO ZYBERTOWICZ

Pilniczek Nitrasa

Jako osobę wierzącą wkurza mnie uleganie przez Kościół i jego organizacje dyscyplinującym zapędom środowiska „Gazety Wyborczej"

„Czy sztuczna inteligencja pomaga Tuskowi manipulować Polakami? To nie żart, to temat parafialnego spotkania" – donosi „Gazeta Wyborcza". Już w samym tytule ogłasza rzecz nie do pomyślenia. Jej tekst zawiera relację ze spotkania zorganizowanego przez Akcję Katolicką w parafii na Jelonkach w Warszawie wieczorem 22 maja 2025 r.

Cóż, to nic nowego, że środowiska około-„Wyborcze" gorliwie tropią „politykę w Kościele". Robią to nie tylko w okresach wyborczych. Jednak w tym tekście widać coś więcej. Coś znacznie bardziej niepokojącego. Uległość niektórych przedstawicieli Kościoła hierarchicznego.

Obszerne omówienie spotkania, które odbyło się przy parafii (w salce), zostaje w internecie opublikowane w niespełna dobę po wydarzeniu. W tym czasie dziennikarz „GW" zdążył uzyskać odpowiedź na e-mail wysłany do kurii warszawskiej.

„Chciałem wiedzieć, czy zdaniem metropolity warszawskiego abp. Adriana Galbasa, parafia jest odpowiednim miejscem do podejmowania tematów krajowej polityki. Rzecznik odesłał mnie do Akcji Katolickiej, bo jak powiedział, to oni zorganizowali spotkanie. Prowadzący Akcję Katolicką, organizacji powołanej dekretem Konferencji Episkopatu Polski, poinformowali nas, że zarząd organizacji na poziomie archidiecezjalnym »nie był pomysłodawcą ani współorganizatorem tego spotkania«. Za jego organizację odpowiada parafialny oddział Akcji. *Uważamy, że Kościół – a w tym wypadku Akcja Katolicka Archidiecezji Warszawska, powołana dekretem Konferencji Episkopatu Polski – nie powinien opowiadać się po stronie lub przeciwko jakiegokolwiek polityka lub ugrupowania* – czytamy w stanowisku zarządu" (kursywa – „GW").

Czy zdanie kursywą ma dobitnie pokazać, że ogólnie Akcja Katolicka doskonale zna granice dyskursu publicznego? Że dobrze rozumie, w jakich granicach dopuszczalne jest dyskutowanie wiernych, ale nie zawsze sobie radzi z niesubordynacją na niższych poziomach działania?

Grunt, że grzecznie odpisali i wiedzą, co im wolno.

Przyznam, że to mnie razi – traktowanie „Wyborczej", jakby miała prawo występować w roli ostoi moralności i depozytariusza praw obywatelskich. Kościół to przede wszystkim zwykli ludzie troszczący się o nasz kraj. Niepokoją się np. tym, jak bardzo nowe technologie wywracają nasze życie do góry nogami. A w to wszystko jest wplątana także polityka. I co, nie wolno nam dyskutować o polityce i politykach w salce przy parafii? A gdyby debata dotyczyła LGBT+ albo pedofilii w Kościele, byłoby w porządku?

W stanie wojennym kościół był dobrym miejscem do dyskusji politycznych, a dzisiaj już nie? Nie akceptuję tego.

Dziennikarz przyznał: „Dojście do slajdu na temat Tuska (czyli jakby się wydawało z hasła spotkania – głównego tematu) zajęło około godziny". Ale czytelnikowi „GW" ten niuans przecież umknie. O wiele mocniej zakotwiczy się fragment mówiący, jak dziennikarz podszedł do księdza i zapytał: „Czy parafia to odpowiednie miejsce do tego, żeby organizować spotkanie z hasłem przeciwko Tuskowi. Ksiądz odpowiedział, że polityka była jedynie przy okazji, główny temat dotyczył nauki. – A tytuł spotkania o manipulacji i Tusku? – Taki był tytuł? O niech go licho, to ja nie wiedziałem o tym! Ja wiedziałem, że to będzie o sztucznej inteligencji i tylko tyle! – zezłościł się ksiądz i powiedział, że za tytuł odpowiada Akcja Katolicka. Mężczyzna z Akcji Katolickiej stwierdził z kolei, że za tytuł odpowiadał prof. Zybertowicz". Tak, to mój mąż wraz z prof. Jackiem Koronackim wystąpili na tym spotkaniu.

Jako osobę wierzącą wkurza mnie uleganie przez Kościół i jego organizacje takim dyscyplinującym zapędom środowiska „Gazety Wyborczej". Cała ta sytuacja wygląda bowiem niczym sukces Sławomira Nitrasa (dziś ministra sportu i turystyki). Jeśli w ogóle przejdzie on do historii, to za ideę „opiłowania katolików z pewnych przywilejów", którą postulował w 2021 r. na Campusie Polska Przyszłości w Olsztynie.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 2ea2b4f482

Tropimy afery.

Wyjaśniamy tajemnice.

WYBIERZ I OSZCZĘDZAJ 50%!

wPolityce.pl Premium + + SIECI

- mnóstwo do czytania – bo **nawet 3 000 tekstów rocznie**
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00
- **w prezencie świetne e-booki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 2ea2b4f482

wPolsce 24

WESPRZYJ patriotyczne media

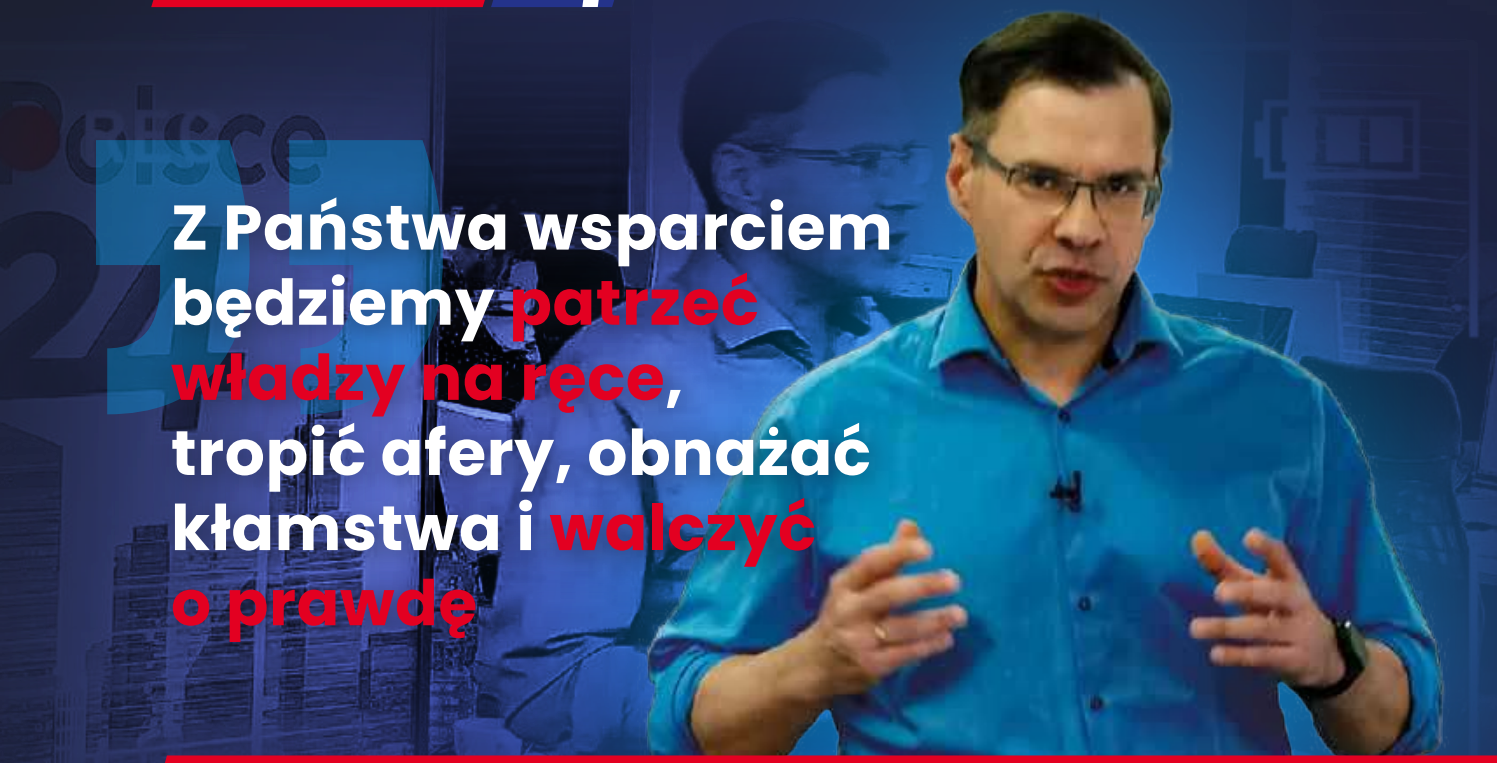

Zbieramy na dziennikarstwo śledcze
FUNDAMENT WOLNYCH MEDIÓW

NUMER KONTA:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

TYTUŁ WPŁATY: **DAROWIZNA**

wesprzyj.wpolsce24.tv

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej upc	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl 2ea2b4f482